

1.571.393

KSAWERY de MONTEPIN.

PODPALACZKA

POWIEŚĆ W SZĘŚCIU TOMACH.

KSIĘGARNIA
MARYI REPER
w Puławsku.

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO

20. J.



KSIĘGARNIA
S. BUCDOWSKI
w Puławsku.

TOM V-ty.

WARSZAWA.

Nakładem Księgarni H. Olawskiego.

1891



Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Октября 1890 года.



f. 5.

I 1.571.393

1992 Wb 41 / 34d

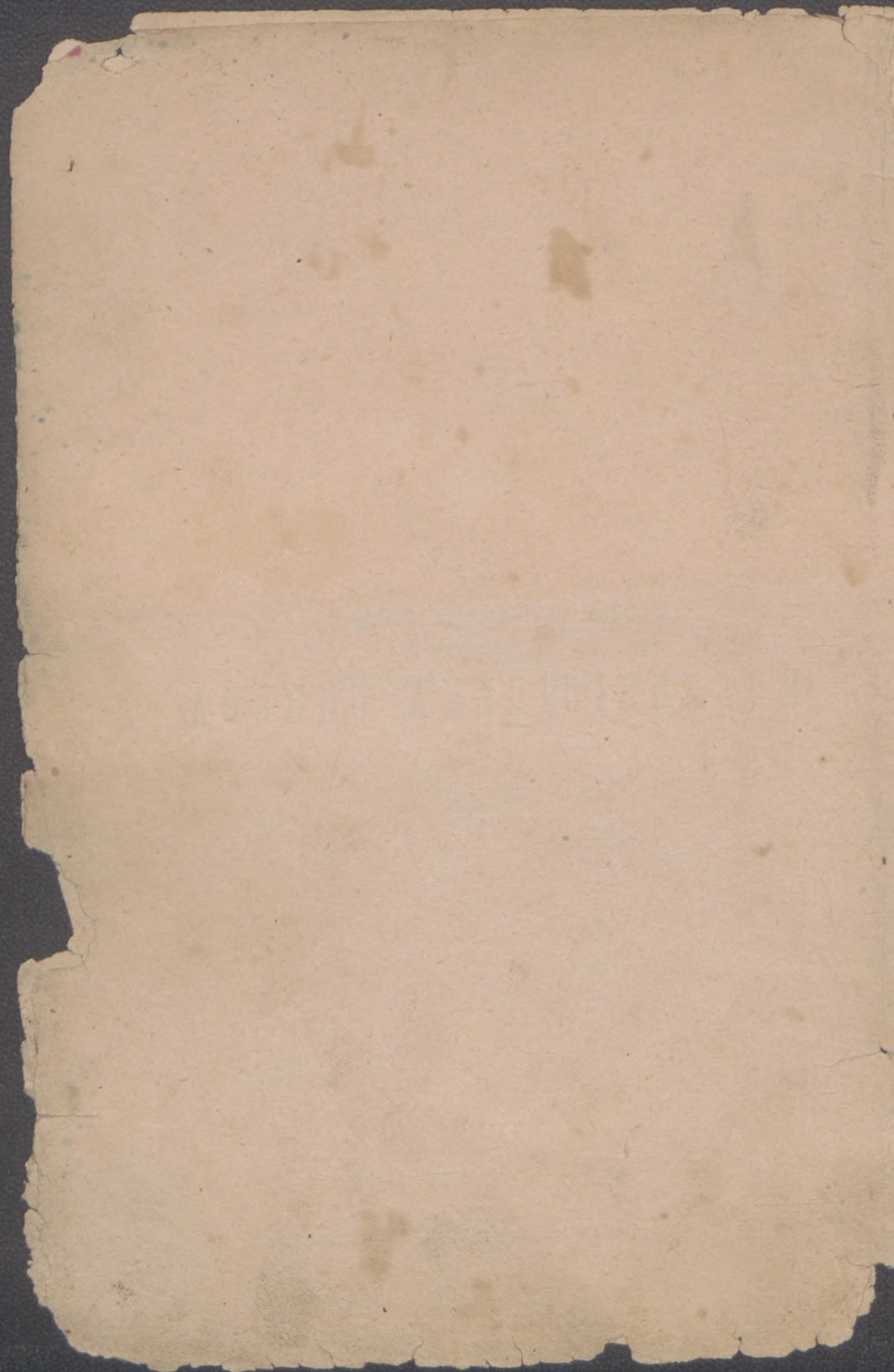
3

CZEŚĆ III.

TOM V-ty i VI-ty

ROZNOŚCIELKA CHLEBA.

UWAGA Niniejszą kartkę wkleić należy po karcie tytułowej tomu piątego.





TOM PIĄTY.

I.

Nazajutrz, po dniu, w jakim się działy opowiedziane przez nas powyżej wypadki, Owidyusz przed jedenastą z rana przybył do restauracyi, na ulicę św. Honoryusza, gdzie zwykle jadał śniadanie z Amandą i polecił takowe przygotować według gustu młodej szwaczki. Nie dała ona długo na siebie oczekiwać. Wszedłszy, powitała uśmiechem swojego wielbi-ciała, wołając:

— Zabierzmy się do śniadania... jestem bardzo głodną!

Przyniesiono potrawy. Amanda nie przesadzała. Zaja-dała z wilczym apetytem.

Soliveau jadł mało, zdawał się być w myślach pogrążonym. Robotnica pani Augusty, z pod oka nań spoglądała.

— Co ci jest baronie? — nagle zapytała — nie jesz... nie pijesz... Dziwnie mi jakoś wyglądasz... Nie jesteś chorym?

— Nie!

— Mów zatem... co tobie?

— Nudzę się...

— Zemną? a! piękna grzeczność! Dziękuję za ten kom-
bement.

— Nie do ciebie to stosowałem,.. Nudzi mnie jedno-
tajność mego życia...

— Cóż łatwiejszego jak je zmienić.

— W jaki sposób?

— Wyjedźmy na wieś razem na dni kilka...

3

Powiedziawszy to, Amanda spełniła wielką nieroztropność.

Soliveau uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Ależ nie jesteś wolną?

— Pozyskam urlop od mojej zwierzchniczki.

— Czyż ona ci go udzieli?

— Na długo nie... ale na tydzień...

— Zatem rzecz ułożona. Staraj się o urlop... jedziemy na wieś na osiem dni.

— Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— Kiedyż wyjedziemy?

— Dziś w wieczór, jeżeli zechcesz.

— Doskonale! A gdzie się udamy?

— Wybieraj miejscowość.

— Wszystko mi jedno... aby nad brzegiem rzeki. Wynajmiesz czółno, będziemy pływali od rana do wieczora. Możebyśmy się udali do Asnières?

Owidysz się skrzywił.

— Zbyt blisko Courbevoie... — pomyślał sobie.

— Nie podoba ci się ta okolica? — pytała Amanda.

— Tak; nazbyt jest ona zaludnioną... Nie jest to wieś w pełnem znaczeniu tego słowa.

— Sam więc obieraj.

— A gdyby w Bois-le-Roi?

— Zgoda. Na skraju lasu Fontainebleau, nad brzegiem Sekwany. Czy masz znajomych w Fontainebleau?

— Niektórych... z jakimi wiążą mnie stosunki finansowe.

— Zatem jedziemy do Bois-le-Roi. Znajdziemy tam bez trudności przyzwoite mieszkanie.

— Po śniadaniu, wyjadę do Bois-le-Roi drogą żelazną i zajmę się szczegółami. Ty staraj się otrzymać uwolnienie od pani Augusty, dokonaj potrzebnych zakupów na osiem dni wilegiatury, a następnie tu się spotkamy.

To mówiąc, dobył z pugilaresu bilet bankowy, wręczając Amandzie.

— Pojedziemy więc razem? — pytała.

— Nie... czyż lękasz się jechać sama?

— Bynajmniej. Zobaczymy się więc jeszcze podczas obiadu.

Postanowiono, iż Amanda wyjedzie pociągiem, odcho-
żącym o piątej po południu, i że on połączy się z nią na sta-
cyi w Bois-le-Roi.

Po ukończonem śniadaniu odszedł, aby zająć się przygo-
towaniem do podróży. Dziewczyna, którą nadzieja próżnowa-
nia, przez cały tydzień, napełniała radością, udała się do
szwalni.

— Pani... — wyrzekła do swej zwierzchniczki, przykła-
dając chustkę do oczu — biedna moja ciotka niebezpiecznie
zachorowała. Jest to zacna kobieta, kocha mnie bardzo...
Prosi, ażebym ją przez kilka dni pielęgnowała, racz pani uwol-
nić mnie łaskawie na tydzień czasu.

Pani Augusta, będąc bardzo wyrozumiałą dla swoich ro-
ttnic, uwierzyła słowom Amandy.

— Jedź... moje dziecko — wyrzekła — jest to obowiąz-
kiem z twej strony. Udzielam ci urlop na osiem dni.

— Mogę jechać zaraz?

— Możesz... Potrzebujesz nieco pieniędzy?

— O! nie... nie pani!.. Mam oszczędności, wystar-
czą mi one.

— Jedź zatem... ale pamiętaj, że za dni osiem ocze-
kiwać cię będę.

Amanda, pożegnawszy zwierzchniczkę, odeszła. Po za-
twnieniu sprawunków, wsiadła na pociąg, idący w stronę
Bois-le-Roi.

Soliveau, opuściwszy swą towarzyszkę, udał się na ulicę
Michele, gdzie w walizę, obok bielizny i ubrania, umieścił flaszkę
ze znanym nam płynem, przywiezionym z Ameryki, poczem
zawoławszy fiakra, jechał z tem wszystkiem na stację Lyon-
skiej drogi żelaznej.

O piątej przybył do celu podróży.

Wśród wsi, rozłożonej na pochyłości pagórka, nad brzegiem Sekwany znajdowała się oberża, *Domkiem Myśliwych* nazwana. Wszedł tamże.

— Pragnąłbym wynająć mieszkanie na tydzień — rzekł do właścicielki.

— W oberży mamy obecnie wolne tylko pojedyncze pokoje — odpowiedziała — lecz o sto kroków ztąd, wśród lasu, posiadamy pawilon, umeblowany, możebyś pan go wynajął. Chcesz go widzieć?

— Naprzód jestem pewien, iż mi się podoba, lecz pragnąłbym wynająć mieszkanie ze stołowaniem.

— Owszem, śniadanie i obiad mogą być tu wydawanemi, albo zanosić je mogą do pawilonu, stosownie do pańskiego życzenia.

— Dobrze.

— Z pawilonu, będziesz pan miał piękny widok na Sekwanę.

— Lecz potrzebowałbym czółna..!

— Mamy ich sześć. Wybierzesz pan, które się podoba...

— Doskonale! Proszę więc o przygotowanie zaraz obiadu.

— Dla pana samego?

— Nie... na dwie osoby.

— Na którą godzinę?

— Na ósmą wieczorem.

— Racz pan wybrać potrawy... Mam nadzieję, iż będziesz zadowolonym.

Owidysz dania wymienił.

— Wszystko będzie gotowem na ósmą, a teraz zaprowadzę pana do pawilonu — mówiła oberżystka — złożysz tam pan swoją walizę.

Przyzwawszy służącą, wydała jej stosowne rozkazy.

Pawilon ów, przedstawiający się nader powabnie, zawierał cztery pokoje, jadalnię, dwie sypialnie i kuchnię, wszystko starannie umeblowane.

Owidyusz włożył walizę do szafy, zamknąwszy na klucz takową.

— Proszę codziennie przychodzić dla uprzątnięcia — rzekł do służącej.

— Przybędę, bądź pan spokojnym.

Soliveau wrócił do oberży na obiad, gdzie zażądawszy pióra i atramentu, siadł, pisząc następujące słowa:

„Kochany kuzynie!

Przebywam na willegiaturze w Bois-le-Roi. Gdybyś potrzebował widzieć się ze mną, napisz lub zatelegrafuj pod adresem, barona Arnolda de Reiss, do oberży pod znakiem *Domku Myśliwych*.

Twój Owidyusz.“

Włożywszy w kopertę ów list, zaadresował, Pawłowi Harmant w Courbevoise, a przywołaawszy oberżystkę, rzekł:

— Jestem baronem Ardoldem de Reiss, chciej pani zapamiętać moje nazwisko.

— Niezapomnę... — odpowiedziała kłaniając się z poszanowaniem.

— Oczekuję na moją kuzynkę, która przepędzi dni kilka w mojem towarzystwie. Gdyby nadeszły do mnie jakie listy lub telegramy, chciej pani bezwzględnie oddać takowe do rąk mnie samemu.

— Dobrze panie... Ścisłe wypełnię zlecenie.

— Lecz gdzie tu jest biuro pocztowe? — zapytał.

— Oto tam, na wzgórzu panie. Najlepiej jednak wrzucić do skrzynki, na stacyi.

Soliveau udał się w stronę drogi żelaznej, gdzie wyprawił swój list.

Pozostawała mu godzina czasu, do przybycia Amandy.

II.

Lasek Fontainebleau, otaczający wioskę Bois-le-Roi, przedstawiał ponętą przechadzkę.

Owidyusz zagłębił się w cienistą aleję, idącą równolegle z linią drogi żelaznej. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, spostrzegł grupę, z pięciu osób złożoną, siedzącą u stóp dębu. Pośród tej grupy, znajdował się siwowłosy starzec, którego skóra żółkniała, nakształt pergaminu, pokryta zmarszczkami, oznajmiała wiek sędziwy tegoż. W rzeczy samej, był to starzec osiemdziesięcioletni, wszak pełen sił jeszcze, z żywym spojrzeniem, wspierający się na lasce, jaką trzymał w ręku. Obok niego znajdowała się kobieta, mogąca mieć około lat pięćdziesięciu i dwie młode panienki, a dalej mężczyzna czterdziestoletni starannie wygolony, w czarnym ubraniu, typ adwokata albo doktora. Powiedzmy zaraz, że to był doktor. Starzec mówił głośno, lecz zwolna. Słuchano go z religijnem poszanowaniem.

Owidyusz zbliżał się właśnie w tę stronę. Gdy przybył ku owej grupie i głos starca dobiegł do jego uszu, drgnął nagle, utkwivszy wzrok w mówiącego. Spostrzegłszy to starzec, zamilkł, spojrzawszy bacznie na nadchodzącego, wzrok wszakże wiek mu osłabił, widział go jak przez mgłę tylko.

Soliveau minawszy siedzących, poszedł w swą drogę.

— To szczególne... — rzekł sam do siebie — ten głos jest zkądś mi znany... był młodszym natenczas, brzmienie jego jednak toż samo pozostało. Przypominam nawet sobie, że widział tę twarz, lecz gdzie... i kiedy? I tego drugiego mężczyznę w czarnym tużurku znam również.

I zaczął szukać w pamięci.

Lecz wróćmy do grupy tych osób.

— A zatem, w 1861 roku — mówił doktor — wsiadłeś pan w Londynie na okręt *Lord-Major*, aby popłynąć do Ameryki?

— Tak, w końcu Września — rzekł starzec. — Wszystko to sobie tak przypominam, jak gdyby było to wczoraj. Po otrzymaniu emerytury, a miałem natenczas lat sześćdziesiąt, płynąłem do mojej córki. Mieszkałem szesnaście lat w Ameryce; ogarnięty jednak tęsknotą za rodzinnym krajem, wróciłem do Bois-le-Roi wraz z moją córką i wnuczkami, które kocham nad wszystko na świecie, pragnąc sierotom tym ojca zastąpić.

— Wypadek zbliża często ludzi ku sobie niespodziewanie — rzekł doktor. — Wiesz pan, iż zdaje mi się, że musieliśmy płynąć razem na tym samym okręcie.

— Na *Lordzie-Majorze*?

— Tak, panie Bosse! płynął natenczas wraz z nami sławny amerykański przemysłowiec, którego poznałem później w New-Jorku, Jan Mortimer i pewien francuz, który został później jego zięciem, niejaki Paweł Harmant.

— Tak... tak! razem odbywaliśmy tę podróż, to pewna! — rzekł starzec. — Nazwisko Jana Mortimera jest tego dowodem, przypominam sobie zarazem pewną awanturę, jaka mi się przytrafiła podczas tej drogi... a mianowicie usiłowanie kradzieży...

— Kradzieży?

— Tak, której jaomal nie stałem się ofiarą. Miałem na sobie w skórzanej torebce, znaczną sumę, zebraną z trzydziestoletnich mych oszczędności, słowem, cały mój skromny majątek. Pewien nędznik, przeciąwszy rzemień torebki, zabrał mi ją.

— Lecz zwrócił ją panu?

— Tak, dzięki jednemu z podróżnych, który spostrzegłszy kradzież, schwytał łotra na gorącym uczynku.

— Nic nie słyszałem o tej kradzieży.

— Nie mogłeś pan słyszeć, ponieważ na prośby owego pasażera, który znał rodzinę złodzieja, przyrzekłem o tem zamilczeć.

— Na tym samym okręcie — mówił doktor dalej — spotkałem pewnego kanadyjczyka, który dał mi poznać rzecz najbardziej zadziwiającą, jaką kiedykolwiek poznałem.

— Cóż to takiego?

— Płyn, który Indyanie nazywają *Likierem mowy*, a jaki dorównywa w działaniu płynowi Jawa, otrzymanyemu z wyciągu *Pohou-upas*.

— Tak... tak. Znam to — rzekł Ireneusz Bosse. — Słyszałem o skutkach tego płynu, jaki zmusza do zeznań, najbardziej uporzecznych ludzi. Sądziłem jednak, że jego cudowne skutki są tylko bajką, używaną w melodramach.

— Mylisz się pan w tym względzie, panie Bosse.

— Tak pan sądzisz?

— Więcej niż sądzę... jestem tego pewny.

— Robiłeś pan z nim doświadczenia?

— Po kilkakrotnie, a zawsze ze skutkiem pożądanym.

— Przestaję więc być niedowiarkiem. I coż doktorze, przywoziłeś zapewne z Ameryki, wiele odkryć naukowych? — pytał dalej Bosse.

— Poznałem niektóre rośliny, nie zamieszczone we francuskiej medycynie, a posiadające niezaprzeczenie wysoką wartość działania.

— I używasz tych roślin?

— Ilekroć razy wymagają tego okoliczności.

— Jak długo pan w naszym kraju pozostaniesz?

— Przybyłem na kilka dni tylko, by widzieć się z chorą mą siostrą, a korzystając z tego pobytu, wypoczywam sobie, jak pan widzisz.

— Zatem dopóki pozostaniesz, doktorze, w Bois-le-Roi, odwiedzaj nasz proszę codziennie. Będziemy mówili o pięknej tej Ameryce, którą kocham, lecz w której jednak nie chciałbym umierać.

— Przyrzekam panu z przyjemnością me odwiedziny.

Dwie młode panienki podniosły się, tak, jak ich matka.

— Dziaduniu! — wyrzecze starsza z dziewczynek — czas nam będzie może powracać, pora obiadowa się zbliża.

— Zresztą — dodał doktor — wilgoć wieczorna w lesie źle może oddziaływać na pańskie zdrowie. Wracaj do mieszkania, radzę ci szczerze.

— Podaj mi więc rękę, mój bracie, trudno, mi wstać z miejsca, nie jestem lekkim i rzeźwym jak niegdyś.

Doktor, dopomógłszy podnieść się starcowi, podał mu ramię, na którym tenże wsparłszy się, szedł naprzód, wiodąc za sobą córkę z dwiema wnuczkami.

Ireneusz Bosse, były agent policyi, zamieszkiwał w małym domku wiejskim w Bois-le-Roi, nad brzegiem Sekwany.

We drzwiach, doktor powierzywszy go opiece córki i wnuczek, oddalił się. Idąc drożyną, kręto sunącą nad rzeką, miał oberżę, zwaną *Domkiem myśliwych*, gdy przemówiła doń stojąca w progu właścicielka.

— Jakże się miewa pańska siostra, panie doktorze?

— Lepiej... dziękuję pani... jest bliską wyzdrowienia.

— Zatem pan nas wkrótce opuścisz?

— Za dni kilka odjechać będzie mi trzeba.

Tu skłonił się, idąc w swą drogę.

Owidyusz wracał zarówno po krótkiej przechadzce. Rozmyślał, usiłując przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział dwóch mężczyzn, rozmawiających pod dębem. Gdy podszedł ku temuż miejscu, nie zastał tam już nikogo. Jednocześnie dobiegł go świst lokomotywy, co oznajmiało przybycie pociągu z Paryża.

Przyśpieszył kroku, aby powitać Amandę.

Robotnica ze szwalni pani Augusty, wysiadła z wagonu pierwszej klasy, zalotnie i strojnie ubrana. Miała wraz z sobą iniańtko znacznej objętości, jakie oddała posługującemu. ⁶go

— Znalazłżeś coś odpowiedniego? — spytała, podając rękę mniemanemu baronowi de Reiss.

— Zobaczysz za chwilę.

— A obiad?

— Oczekuje nas.

— Czółno?

— Posiadają ich aż sześć w oberży, wybierzesz, które zechcesz.

Za kilka minut Soliveau wraz ze swą towarzyszką przybył do oberży. Położono nakrycia. Owidyusz zlecił służącemu, aby przyniósł ze stacyi bagaż i zaniósł takowy do willi Róż.

— Co to jest willa Róż?—pytała Amanda.

— Domek, który zajmiemy.

— Idźmyż tam coprędzej.

Owidyusz, wzięwszy klucze, poprowadził Amandę.

III.

— Ach! jak tu pięknie!—wołała w zachwycie.—Będziemy jak u siebie. Lecz w jakim sposobie urządzić się ze śniadaniem i obiadem?

— Będziemy się stołowali w oberży.

— E! nie... to niedogodne. Śniadania zresztą jakkolwiek, ale obiady... wołałabym, abyśmy tu obiadowali, u siebie. Gdyby wypadkiem czas był nie pogodnym, musielibyśmy chodzić po błocie i moknąć. Każ tu przynosić obiady.

Służący wniósł na tę chwilę tłumoczek, który zamknąwszy w pokoju, wrócili oboje do oberży.

— Jesteś pani zadowoloną z pawilonu?—pytała właścicielka.

— W zupełności.

— Tak sądziłam... Willa ta jest położoną w zupełnym osobnieniu... Żadnych bliskich sąsiedztw nie posiada, z w

jątkiem domku po prawej stronie, zamieszkałego przez doktora, pana Richard'a.

— Doktora?...—powtórzyła, śmiejąc się Amanda. — I to przydatnem być może, gdybym bowiem zachorowała, zawezwę go przez ścianę.

— Nie usłyszałby pani — rzekła oberżystka; — znaczna przestrzeń dzieli te obie wille; drugi domek znajduje się na końcu ogrodu, grubym murem otoczony.

Owidyusz słuchał z uwagą, notując w pamięci każdy wyraz mówiącej.

— Obiad gotowy?—pytała Amanda.

— Gotowy... oczekiwaliśmy na pani przybycie.

— Proszę więc podawać... Każdego rana będziemy przychodzili tu na śniadanie, wieczorem jednak proszę o przysyłanie obiadu do pawilonu.

— Lecz zechce pani wskazać mi dania codziennie, z jakich obiad ma być złożonym.

— Pan baron raczy się tem zająć—odrzekła Amanda.

Zasiedli do stołu, jedząc z apetytem, czyniącym zaszczyt kuchni *Domku myśliwych*.

Nie będziemy śledzili pobytu naszych dwojga amatorów willegiatury, ograniczając się na przytoczeniu zdarzeń, mających łączność z głównymi osobistościami naszej powieści.

Amanda używała z całą swobodą wiejskich przyjemności, mając jednakże pilnie na oku barona Arnolda de Reiss, którego podejrzywała, że jest czemśinnem, a nie baronem i którego postępowanie coraz więcej dziwnem jej się wydawało. W jakim celu i bez wachania zgodził się on na tę ośmiodniową wiejską wycieczkę, wkrótce się dowiemy.

Od czterech dni już obie wspomniane osobistości zamieszkiwały w Bois-le-Roi. Przejazdźki czólnem na rzece, wędrówki do lasu, zwiedzanie okolicy i ciekawości jarmarcznych, bezustannie po sobie następowały. Dziewczyna, widząc owego pseudo barona tak dla niej uprzejmym, gotowym do spełnienia każdego jej życzenia, poczęła żałować, iż mylnie go

osądziła, iż być może, nie miał on zamiaru użyć przeciw niej owego fatalnego zeznania, jakie miał w swych rękach, i żałowała, iż na czas dłuższy nie prosiła o urlop pani Augusty. Soliveau zaś ze swej strony rozważał, iż czas mu rozpocząć działanie. Po śniadaniu Amanda miała chęć odbyć przejażdżkę po rzece. Odgadując jej zamiar, Owidyusz począł się skarżyć na gwałtowny ból głowy, zagrażający migreną.

— Moja piękna — rzekł — nie będę ci mógł towarzyszyć dnia dzisiejszego. Mocno cierpiącym się czuję... pozwól mi spocząć nieco. Zostawiam cię samą do południa.

— Nie chcę nadużywać twej uprzejmości, baronie. Wyjdę nad rzekę, zabrawszy wędkę z sobą, może co ułowię. Idź spocznij... parę godzin snu ulgę przynieść ci może.

— Będę korzystał z twego pozwolenia, gdyż mocno jestem cierpiącym.

— A może chcesz, bym pozostała przy tobie?

— Nie pozwoliłbym na coś podobnego. Idź na przechadzkę; potrzebuję właśnie spoczynku i samotności. Wracam do willi, ty udaj się w swą stronę.

— Lecz gdzież się spotkamy?

— Tu, przed obiadem. Przyjdę na kieliszek absyntu.

Owidyusz pożegnał Amandę, która zaopatrzwszy się w rybackie przybory, wsiadła w czółno, stojące pod cieniem wierzby, podczas gdy pseudo-baron zmierzał w stronę willi wolnym, chwiejnym krokiem, jak winien iść człowiek, cierpiący na migrenę.

Przybywszy do pawilonu, zamknął drzwi i usiadł, mówiąc do siebie:

— Przed laty dwudziestu jeden zapragnąłem poznać przeszłość mniemanego Pawła Harmant, dowiedzieć się o jego zamiarach. Wyjawił mi wszystko. Dziś chcę wiedzieć, co o mnie myśli Amanda... co odgaduje... i dowiem się o tem...

Tu otworzywszy szafę, w której umieścił walizę, wyjął z niej flaszkę, ukrytą w bieliźnie.

— Likier prawdy!—zawołał z uśmiechem, przyglądając się płynowi—odda mi tak ważną przysługę, jak niegdyś...

Postawił fiaskę na stole między kilkoma butelkami, zawierającymi różne likiery, jak Chartreuse, Curaçao i tym podobne. Jedna z tych butelek, a mianowicie Chartreuse, zawierała parę zaledwie kieliszków płynu.

— Ona ten likier najbardziej lubi — rzekł.—Wypije go jak zwykle wieczorem, a skutek wkrótce nastąpi.

Tó mówiąc, wlał dwie łyżki kanadyjskiego płynu w pomienioną butelkę, poczem schowawszy takową do walizy, położył się i zasnął.

Amanda tymczasem bawiła się łowieniem kielbików w Sekwanie. Nagle, zwrócił jej uwagę niezwykły gwar i hałas, biegnący od strony drogi żelaznej. Świstawka maszyny przebiła powietrze, poczem słycać było huk straszny, krzyki, jęki rozpaczliwe i wołania o pomoc.

Stanąwszy na ławce czółna, dojrzała ludzi, biegnących ku tamtej stronie z pośpiechem. Krzyki i wzywania pomocy nie ustawały.

— Nastąpił jakiś straszny wypadek... — szepnęła strwożona—dwa pociągi spotkały się z sobą bezwątpienia.

I wiedziona ciekawością, przyplnęła ku brzegowi, a wyskoczywszy z czółna, pobiegła na miejsce katastrofy. Wróż z nią dążyła tamże znaczna liczba osób.

Skoro przybyła na stację, straszny widok przedstawił się jej oczom. Trzy wagony były doszczętnie zgruchotane, inne powywracane, stały jeden na drugim. Ze wszech stron wznosiły się okrzyki bólu i trwogi. Wynoszono na tragach ludzi ranionych, skrwawionych i na pół umarłych. Naczelnik stacji blady, objęty nerwowem drżeniem, głośno powtarzał:

— Przenosić ranionych do oberży!... Spieszyć co żywo!...

Amanda stanęła w pobliżu wyjścia, pragnąc zobaczyć nieszczęśliwych. Tłum ciekawych popchnął ją naprzód, tak, iż znalazła się tuż przy relsach drogi żelaznej.

Przeskakiwano przez kupy zmiądzonych szczątków, żeby się dostać do trupów i ranionych. Urzędnicy drogi żelaznej pod wodzą naczelnika, dosięgnęli wgląd jednego z wagonów, aby wydostać ztamtąd pozostałych podróżnych.

Czterech pasażerów, pokrytych ranami, lecz żywych, wynoszono ztamtąd na materacach.

Z wnętrza wagonu dobiegł głos urzędnika:

— Hej! do mnie z tragami, jeszcze tu pozostał jakiś młody mężczyzna, omdlały, czy umarły.

W chwili tej właśnie przybyli dwaj miejscowi lekarze i doktor Richard, którego widzieliśmy rozmawiającego z Ireneuszem Bosse pod dębem.

Wszyscy trzej bezzwłocznie zajęli się opatrywaniem ranionych.

IV.

Młodego mężczyznę, którego uważano za zmarłego, z trudem wydobyto z wagonu. Miał w głowie ranę głęboką, krew strugą po twarzy mu spływała.

Na wołanie naczelnika stacyi przybiegł doktor Richard.

— Obejrzyj pan tego nieszczęśliwego!— rzekł pierwszy, wskazując na bezwładną postać złożonego na ziemi młodzieńca.

Amanda, wypadkiem tuż się znajdująca, rzuciła okiem na zemdlonego i okrzyk trwogi z jej ust wybiegł pomimo-wolnie.

— Boże! to on... on... Duchemin! — wołała przerażona Naczelnik stacyi dosłyszał ów okrzyk.

— Pani znasz tego człowieka?—zapytał.

— Sądziłam... — wyjąknęła, żalując swego pośpiechu — sądziłam... lecz widzę, że się pomyliła, złudziło mnie wielkie podobieństwo...

— Ten człowiek jest tylko ranionym—rzekł doktor Ri

chard—omdlał skutkiem upływu krwi. Niechaj go położą na tragi i przeniosą do oberży, ja zaraz tam przybędę.

— Lecz czy znajdziemy tam miejsce? — pytali posługujący.

— Powiedzcie, że ja proszę, ażeby go przyjęto.

Poniesiono rannego.

— Fatalny zbieg okoliczności! — pomyślała Amanda — nie chciałam, ażeby baron spotkał się z Duchemin'em.

I poszła w stronę rzeki, gdzie wsiadłszy w czółno, zajęła się dalej łowieniem kielbików. Rozrywka ta jednak obecnie już jej nie zajmowała; po kwadransie wyskoczyła na brzeg, udając się do oberży.

— Wiesz pani zapewne o tym strasznym wypadku? — pytała ją właścicielka.

— Miał on miejsce prawie w mych oczach. Przeniesiono do pani ranionych?

— Tak, troje. Dwie kobiety i jakiegoś mężczyznę. Doktor Richard przyjdzie tu do nich za chwilę. Jest to wielkie nieszczęście, które zdaje się wynikało ztąd, iż na czas nie wywieszono sygnałów, potrzebnych dla pociągu lionńskiego, który tym sposobem spotkał się z pociągiem, przychodzącym z Paryża.

Na słowa te wszedł Owidyusz. Wyglądał doskonale, z migreny śladów nie pozostało.

— Mówicie panie o zaszłym wypadku? — zapytał — cóż się to stało?

Amanda opowiedziała szczegóły, zamilczając wszelako o Duchemin'ie, którego poznała, a na życzenie pseudo-barona udała się wraz z nim na stację. Smutek malował się na twarzach wszystkich. Okazało się jedenastu zmarłych, a dwudziestu siedmiu po większej części ciężko ranionych.

Sąd zjechał na miejsce wypadku.

Około siódmej Soliveau wraz ze swą towarzyszką powrócił do willi Róż, gdzie przyniesiono im obiad.

Amanda była zamyśloną, smutną.

— Co ci jest? — pytał Owidyusz. — Miałżeby ów wypadek tak silnie na ciebie podziałać?

— Istotnie — odparła Amanda — przejęło mnie to do głębi.

— Ach! cóż to nas tak dalece obchodzi?... nie znajdowaliśmy się tam, to rzecz główna.

— Jakież egoizm w tych słowach!...

— Tak... jestem samolubem — odrzekł — nie kryję się z tem wcale!

Rozmowę powyższą przerwała służąca, wnosząca obiad. Oboje nasi znajomi zasiedli przy stole.

— Kawę postawiłam na kuchni — wyrzekła posługująca; — po ukończeniu obiadu może pani raczy wziąć takową, ponieważ bardzo się spieszę z przyczyny wielkiego zajęcia u nas w dniu dzisiejszym.

— Dobrze — odpowiedziała Amanda — podam ją sama, lecz zamknij drzwi za sobą, gdyż nigdzie nie wyjdziemy dzisiejszego wieczora.

Służąca odeszła.

Po skończonym obiedzie szwaczka pani Augusty sprzątnęła nakrycie i przyniosła kawę.

— Z czem będziesz pił, baronie? — spytała.

— Z rumem, jak zwykle, a ty?

— Ja z likierem Chartreuse... to mój napój ulubiony.

Amanda, nalawszy kawę w filiżanki, podała jedną z nich Owidyuszowi, stawiając obok niego butelkę z arakiem, napełniwszy zaś kieliszek do połowy Chartreus'em, zaprawionym przez Owidyusza kanadyjskim płynem, wlała takowy w swoją filiżankę i zapaliwszy cygaretkę, siadła prowadząc rozmowę, ijąc jednocześnie i paląc. Soliveau odpowiadał na zapytania, bacznie na nią spoglądając. Czas uchodził. Uderzyła godzina dziesiąta, potem jedenasta.

Owidyusz wstawszy, podszedł do okna i zamknął okiennicę, poczem wróciwszy usiadł naprzeciw Amandy, paląc cygara jedno za drugim.

Nagle, jak niegdyś Jakób Garaud przed dwudziestu jeden laty, dziewczyna drgnęła, jak gdyby zelektryzowana działaniem płynu, i znane nam już symptomata pojawiać się zaczęły. Przyłożyła rękę do czoła, a potem do szyi.

— Pali mnie w gardle... — wyrzekła — czuję niezwykle pragnienie...

I nalawszy pełną szklanekę wody, chciwie ją wypila. Przyśpieszyło to działanie płynu. Zerwała się nagle z wyprężonymi rękoma, obłąkanym wzrokiem, wybuchając nerwowym śmiechem. Soliveau patrzył spokojnie, wiedząc, co się rozpoczyna i pozwalając jej przez kilka minut chodzić szybko po pokoju. Następnie pojmując, iż chwila badania nadeszła, zapytał:

— Zatem odgadłaś, kto jest ów człowiek, który kupił nóż w sklepie przy ulicy Bourbon?

Amanda badawczo spojrzała.

— Pytasz mnie, kto jest ów człowiek? — odrzekła przerywanym głosem; — ależ ty znasz go lepiej odemnie! to ten sam, który wykupił w Joigny weksel sfałszowany przez Duchemin'a i moje zeznanie o popełnionej kradzieży u pani Delion... Tym człowiekiem jesteś ty!... Sądziś więc, iż ja cię oddawna nie przeniknęłam do głębi? Posiadam sąd bystry... nie łatwo jest mnie oszukać lub podejść! Ty to owego wieczora, gdyś mnie do Łucyi odwoził, kupiłeś ów nóż, podczas, gdy ja u niej bawiłam... Ty to, wybadawszy mnie zrecznie w szczegółach, zacząłeś się przy drodze, chcąc zamordować tę biedną dziewczynę!... jesteś bardziej nikczemnym odemnie!... Ja stałam się złodziejką... owładnięta szalem... zapomnieniem... ty zaś... ty jesteś mordercą... zbrodniarzem!...

Amanda ożywiła się coraz więcej. Głos jej ostrym, skrzypiącym się stawał. Owidyusz powstał, chcąc jej nakazać milczenie, a w razie potrzeby, przemocą zamknąć jej usta.

— Odejdź! zdala odemnie!... — krzyknęła. — Ha! ja znam ciebie... — mówiła dalej — a wkrótce wiedzieć będę, kim jesteś! Poszukuję i odnajdę twoje prawdziwe nazwisko, które ukry-

wasz pod przybranem mianem Arnolda de Reiss, a wtedy... biada ci, biada! Kupiłeś sobie na własność dowód spełnionego przeze mnie występku... możesz mnie zgubić... ale zaczekaj... pierwiej ja zgubię ciebie... lub zapłacisz mi drogo za moje milczenie!... Dlaczego Łucyę zabić chciałeś?... Kryje się w tem tajemnica, którą wyjaśnię, wyjaśnić muszę, a skoro światło zabłyśnie, rozpocznie się walka pomiędzy nami, wśród której wydrę ci piśmienne moje zeznanie!...

Owidysz pobladł, drząc cały.

— Milcz! — wołał, przyciszonym głosem — słyszysz... ja milczeć ci nakazuję!

— Każesz mi milczeć... — krzyknęła gwałtownie — nie! ja chcę mówić... i mówić będę. Ha! sądziłeś mnie więc być ślepą... nic nie widzącą... — wołała z rozplamioną twarzą — sądziłeś mnie być głupią zupełnie?... Otóż myliłeś się... ciężko myliłeś! Widziałam... słyszałam... i rozumiałam. Odtąd, krok za krokiem, trop w trop, śledzić cię będę... stanę się twym cieniem! Potrzeba mi pieniędzy... wiele pieniędzy... ty mnie je dać musisz. Chcę być bogatą... ty mnie nią uczynisz... inaczej, ześlę cię na galery... Słyszysz... rozumiesz, baronie de Reiss... na galery!.. Ha! ha! ha! na galery... na galery!...

Tu wybuchnęła długim, ostrym, konwulsyjnym śmiechem.

V.

Soliveau obawiał się, ażeby brzmienie tego śmiechu nie wybiegło na zewnątrz.

— Zamilkniesz ty nareszcie? — groźnie zawołał.

— Milczeć... dlaczego milczeć? — powtórzyła ze wzrastającym szalem. — Ty nie jesteś baronem de Reiss... ja zedrę ci tę maskę... Mówiłam przed chwilą o galerach, lecz nie... To szafot raczej i gilotyna cię czeka!..

Owidyusz zapłonął; gniew i przestрах nim owładnęły. Skoczywszy ku Amandzie, zacisnął palce wokoło jej szyi. Chciał ją udusić, aby jej nakazać milczenie.

Dziewczyna z dzikiem wyciem, wymknęła mu się z rąk, jak żmija.

Łotr w jednej chwili odzyskał przytomność. Zabić Amandę w tym pawilonie, było to wystawić się samemu na niebezpieczeństwo, oddać się w ręce sprawiedliwości. Zresztą na co mogła mu się przydać śmierć tej dziewczyny? Dowiedział się, co myślała o nim, co odgadywała i co zamierzała uczynić. Czuwać pilnie odtąd nad jej postępowaniem wystarczającym dlań było. Gdyby zaś kiedykolwiek stała się niebezpieczną, dość byłoby wtedy ją zgładzić, w sposób przeczorny, nie narażając siebie.

Amanda obecnie zamilkła. Skutek kanadyjskiego płynu, dosięgał zakresu ostatecznego działania. Niezrozumiałe dźwięki, podobne do zwierzęcego skomlenia, zastąpiły słowa. Po kilku minutach padła na ziemię w konwulsyjnym paroksyzmie, na ustach jej piana się ukazała.

Owidyusz zdrzął.

— Miałaby umierać? — zapytywał sam siebie. — Niedługo ów płyn indyjski nie wywarł takich skutków na Jakóbie Garaud. Być może doza była zbyt silną? Gdyby dziewczyna nieszczęściem skonała, nastąpiłoby śledztwo, które zgubiłoby go mogło.

Konwulsye nie ustawały. Owidyusz pochwyciwszy butelkę z resztką Chartreus'u, wylał ją w popiół kominka i pobiegł szukać doktora.

Przy wyjściu z ogrodu, znalazł się naprzeciw dwóch osób, kobiety i mężczyzny, stojących nieruchomie i zdających się jakoby nasłuchiwać. Gdy przechodził koło nich, kobieta, która była właścicielką oberży, zawołała:

pr — Ależ to baron de Reiss...

— Tak pani... — odrzekł — biegnę, ażeby przywołać doktora.

— Dla siebie?

— Nie, dla osoby, mieszkającej ze mną w pawilonie.

— Ta pani zasłała?

— Tak... jestem mocno zaniepokojony.

— A więc te jęki, które dosłyszeliśmy...

— Ona je wydawała.

— Jestem właśnie lekarzem — ozwał się stojący dotąd w milczeniu, doktor Richard — bolesne jęki dobiegły do mego mieszkania, wyszedłem, aby zobaczyć co się tu dzieje.

— Pójdź więc pan... pójdź prędko, proszę... — wołał Soliveau. I poprowadził go z sobą do willi.

Oberżystka poszła za nimi. Amanda leżała wstrząsana konwulsyjnymi ruchami.

Był to widok przerażający. Doktor Richard pochylił się ku chorej. Owidyusz wraz z oberżystką patrzeli, przejęci trwogą.

Doktor, ująwszy rękę chorej, zaczął puls śledzić z uwagą. Następnie uniósł jej powieki i otworzył zaciśnięte usta. Powstawszy, spojrział badawczo na Owidyusza.

— Rzecz dziwna — rzekł.

— Co takiego? — pytał Soliveau, zdjęty bojaźnią.

— Pan byłeś w Ameryce... nieprawdaż? — mówił lekarz — znasz pan Chuchillina z New-Jorku?

Owidyusz zadrzał, poznawszy w mówiącym doktora, którego przed dwudziestu jeden laty słyszał rozmawiającym ze starym kanadyjczykiem na pokładzie okrętu Lord-Major.

— Tak panie... — wyjąknął zmieszany.

— Masz pan tu amoniak?

— Nie... nie mam.

— Potrzebuję go jaknajspieszniej... Inaczej nie ręczę za życie tej kobiety.

— Natychmiast przyśle go panu — wyrzekła oberka, i śpiesznie wybiegła.

Po jej odejściu lekarz zbliżył się do Owidyusza.

Nie tylko pan znasz w New-Jorku kanadyjczyka Cuchilino — przemówił z groźną powagą — ale kupiłeś u niego flaszkę tego płynu, który Indianie nazywają *likierem wyznania*.

Soliveau zrozumiawszy, iż wszelkie zaprzeczanie byłoby tu daremne, skinął głową potwierdzająco.

— Pragnąłeś pan... lub miałeś potrzebę być może wybadania tej młodej kobiety — mówił doktor, wskazując Amandę — i użyłeś ku temu kanadyjskiego płynu...

— Nie przeczę... Powody jednak legalnemi były z mej strony.

— To mnie nie obchodzi... — rzekł lekarz — fakt istnieje, ot wszystko... Szczęście, żeś mnie pan spotkał... Zwiększyłeś nazbyt dozę, co nieszczęśliwą niechybnie o śmierć przyprawićby mogło.

— Nie miałem takich zamiarów... niech mnie Bóg sądzi!

— Wierzę... lecz to, co mówię panu, jest również prawdą niezachwianą.

W chwili tej oberżystka we drzwiach się ukazała. Doktor Richard, wzięwszy od niej flakon z trzeźwiącym pierwiastkiem, wpuścił dziesięć kropel tegoż w pełną szklanekę wody.

— Proszę podnieść głowę tej kobiety — rzekł.

Soliveau wraz z właścicielką oberży, przyklekli, unosząc głowę słabej. Doktor z trudnością otworzywszy zaciśnięte usta Amandy, wlał w nie kilka łyków wody z amoniakiem. Skutek był natychmiastowym. Drgania nerwowe zniknęły, ciało bezwładnem się stało. Po pewnym upływie czasu, dano chorej następnie dwie łyżki tegoż napoju.

— Położyć trzeba teraz na łóżku tą kobietę — rzekł doktor. — Niebezpieczeństwo obecnie zniknęło. Jutro tu znów przybędę.

Owidyusz się skłonił, wyrażając kilkoma słowy swą wdzięczność.

Po odejściu lekarza, oberżystka rozebrawszy Amandę, poniosła ją na łóżko z pomocą Owidyusza, poczem odeszła.

Soliveau pozostał sam przy chorej.

— Szczęściem, że nie umarła... — wyszepnął — gdyż w takim razie pociągnąłby mnie był doktor nieodwołalnie do protokołu, a ztąd i zmuszony byłbym stanąć przed sądem... Zła sprawa... piekielnie zła sprawa... — mówił dalej — nie obawiam się jednak, skoro ta ladacznica ocaloną została. Doktor jest przekonany, że działał jako zazdrosny kochanek, nie zwróci na to uwagi i cała ta rzecz pójdzie w zapomnienie. Lecz jakież szczególny zbieg okoliczności... ów doktor jest jednym z tych mężczyzn, których widziałem siedzących pod dębem. Obok niego znajdował się starzec. Nie mogłem sobie natenczas przypomnieć, z kąd ja znam tego lekarza... wiem jednak teraz... widziałem go na pokładzie okrętu *Lord-Major*. Wypytywał wtedy kanadyjczyka o właściwości *Likiernu prawdy*. I znalazł się do stu piorunów właśnie, ażeby odgadnąć działanie tego płynu i ocalić Amandę. Inny, nie zrozumiawszy przyczyny złego, wierzyłby w otrucie dziewczyny. Ha! dobra gwiazda mnie nie opuszcza — mówił z uśmiechem. — Wiem teraz co myśli Amanda... znam jej zamiary, będę się pilnował. Dziewczyna ta przestała być dla mnie niebezpieczną. Skoro odzyska przytomność, o niczem pamiętać nie będzie... oto rzecz główna!

Tak myśląc, rzucił się na kanapę, lecz zasnąć nie mógł.

Amanda leżała na łóżku nieruchomo. Od czasu do czasu wstrząsało nią nerwowe drżenie, poczem zapadła w bezsenność. Nadedniem cierpienie zniknęło.

— Chcę pić... mam pragnienie... — szepnęła unosząc głowę.

Soliveau podał jej szklanke wody z cukrem, jaką chciwie wychyliła, poczem padła bezwładnie na poduszki z przymkniętymi oczyma.

VI.

Powróćmy do Paryża, gdzie pozostawiliśmy Joannę Fortier, obok swej córki.

Łucyę przygniałał smutek nieopisany. Minęła niedziela, a wbrew zwyczajowi swemu, Lucyan się nie ukazał. Ani listu... ani jednego słowa wyjaśnień z jego strony. Co znaczyło to groźne milczenie?.. biedne dziewczę po tysiąc razy stawało sobie to zapytanie, rozwiązać go nie mogąc.

Daremnie matka Eliza wytłumaczyć jej usiłowała, iż pilne roboty być może zatrzymały go w fabryce.

— Czyż te roboty przeszkodzić by mu mogły w nakreśleniu do mnie słów kilku? — ze smutkiem Łucya odpowiedziała. — Nie, matko Elizo, w tem coś innego się kryje!

Joanna cierpiała wraz z córką, więcej nawet od niej, nie miała jednak odwagi wykryć jej prawdy.

Ponura boleść dziewczęcia zwiększała się z każdą chwilą. Wszystko zdawało się jej mówić: Opuścił cię... nie kocha cię więcej! Rzeczywistość nakazywała w to wierzyć. Rana zadana sercu młodej dziewczyny, była zbyt krwawą, głęboką. Łzy bezprzestannie spływały na jej blade policzki. Przez dwa dni jeszcze czekała, umacniając się pobłyskiem nadziei; gdy jednak boleść sroga coraz się cięższą stawała, napisała list do Lucyana, żądając wyjaśnienia. List ten pozostał bez odpowiedzi.

— Ach! matka Eliza nie jej więc nie mówiła—wołał Larroué po przeczytaniu wyrazów dziewczęcia, pełnych głębokiego smutku. Pojmuję jak biedna Łucya strasznie cierpieć musi... Cóż jednak mogę uczynić? Cierpieć będzie wraz ze mną długo... a kto wie... i całe życie być może! Fatalność tak to zrządziła!

Milczenie Lucyana strasznym ciosem ugodziło w serce córki Joanny Fortier

— Ona mi go zabrała... ta milionerka! — wołała, załamując ręce z rozpaczą — ona mi go ukradła!

I zazdrość gwałtowna ogarnęła jej duszę.

— Ha! pójdę do niego... — wyrzekła z postanowieniem — nie po to, ażeby żebrać dla siebie miłości, nie dla czynienia mu wyrzutów o zdradzenie przysięgi, ale dla otrzymania wyjaśnień nikczemnego z jego strony postępowania.

Z wykonaniem jednak tego projektu kilka godzin zatrzymać się należało. Lucyan wychodził z fabryki o siódmej wieczorem. O wpół do ósmej postanowiła zatem Łucya udać się na ulicę Miromesnil, nie zwracając uwagi, iż bytność jej w mieszkaniu młodego mężczyzny, źle zrozumianą być może. Co ją to obchodziło? Jedyne cel miała przed oczyma, zbadać prawdę... dowiedzieć się o wszystkim, za jaką bądź cenę. Nie zważała na resztę. Świat i jego sądy, były dla niej w tej chwili obojętnymi zupełnie.

Matka Eliza zatrudniona w piekarni, nie przyszła dnia tego.

Łucya w każdym razie nie usłuchałaby jej, nie prosiła o radę.

O wpół do ósmej wyszła z sercem, ściśniętem boleścią, biegnąc raczej niż idąc, jakby w przystępie obłąkania. Przybywszy do domu na ulicy Miromesnil, wesprzeć się ościanę była zmuszoną, nogi chwiały się pod nią, gwałtowne uderzenie serca oddech jej powstrzymywało. Stała wachająca, oniesmielona.

— Co ja mu powiem... czem usprawiedliwię moje przybycie? — zapytywała siebie.

Nagle spojrzenie jej zabłysło; odzyskała utraconą energię.

— Czyż potrzebuję usprawiedliwiać się? — zawołała. — Nie działamże w pełni praw moich? Lucyan jest moim narzeczonym... był nim dotąd przynajmniej... chcę... i powinna zapytać go o powody, odsuniecie się odemnie... o męki ni zasłużone, na jakie mnie skazał.

Umocniona tą myślą, weszła w głąb kamienicy.

Po kilkakrotnie towarzyszyła ona Lucyanowi do domu, w którym zamieszkiwał, wskazywał jej z ulicy należące doń okna, nie wiedziała jednak, które drzwi do niego prowadzą na trzeciem piętrze. Zmuszoną była zatem udać się o objaśnienie do odźwiernego w tym względzie.

— Gdzie mieszka pan Lucyan Labroue? — zapytała, przystępując do okienka, gdzie siedzieli oboje odźwierni, jedząc obiad.

— Na trzeciem piętrze—odrzekła zapytana—drzwi po...

Nagle uderzenie łokciem małżonka, nie pozwoliło skończyć kobiecie.

— Pan Labroue jest nieobecny... — sucho zawołał odźwierny.

— Nie powrócił więc jeszcze? — pytała Łucya nieśmiało.

— Nie powrócił... i nie powróci... wyjechał!

— Wyjechał? — powtórzyło dziewczę ze zdziwieniem.

— Tak!

— Na długo?

— Nic nie wiem... Pan Labroue nie potrzebuje zdawać nikomu rachunku ze swych czynności.

Łucya pochyliła głowę.

— Dziękuję! — wyrzekła, oddalając się. I wyszła.

— Ach! ty głupia głowo... — krzyknął odźwierny na żonę w gniewie — nie pamiętasz więc polecenia, jakie nam pan Lucyan pozostawił?

— Zapomniałam...

— No to ja *tobie przypomnę... — Mówił wyraźnie. — „Ktokolwiek bądź pytałby się o mnie, bądź to kobieta w starym wieku, bądź młoda, pamiętajcie powiedzieć, żem wyjeżdżał i niema mnie w domu.“ Zdaje mi się, że to jasne... he?

— Tak... jasne... to prawda... lecz żal mi było tej młodej dziewczyny. Dlaczego on widzieć się z nią nie chce?

— A co nam pytać o to?.. ciekawa... patrzajcie... Nie chce jej widzieć... i rzecz skończona.

— Och! mężczyźni... mężczyźni! Istoty bez serca — mruzczała odźwierna.

Lucya tymczasem szła zwolna, w myślach pogrążona.

— Jeśli wyjechał jak mówią — powtarzała — byłby po części usprawiedliwionym. Brakło mu czasu być może, aby napisał do mnie przed odjazdem... Kto wie... może list jutro od niego odbiorę.

Wyszędłszy na ulicę, zatrzymała się na przeciwnej stronie trotuaru i podniósłszy głowę spojrzała ku oknom Lucyan.

Światło lampy w pokoju jego zabłysło.

Zachwiała się i zbladła.

— Ach! — zawołała, przytłumionym głosem — zatem skłamali przedemną! Lucyan nie wyjechał... on jest u siebie w mieszkaniu. Dlaczego to kłamstwo! To jego okna... Ja je poznaję... on jest tam... ja muszę się z nim zobaczyć... I z pośpiechem wróciła w głąb domu,

Poznał ją stojący w bramie odźwierny.

— Pani tu... znowu? — rzekł, zastępując jej drogę.

— Tak... wracam... Dlaczego skłamaliście przedemną? Pan Labroue nie wyjechał...

— Zkąd panna możesz to wiedzieć?

— Widzę światło w oknach jego mieszkania... Chcę wejść.

— Nie wejdiesz pani!

— Jakiem prawem pan śmiesz mi tego zabraniać? — wołała Lucya, owładnięta gniewem.

— Prawem, jakie mi nadał właściciel domu. Spełniam rozkazy lokatorów. Proszę tu nie czynić hałasu i odejść.. słyszysz panna co mówię?

VII.

Prostaczy ton mowy odźwiernego oburzył do najwyższego stopnia biedną dziewczynę.

— Do kogo pan przemawiasz w ten sposób? — zawołała.

— Do kogo mówię?—odrzekł drwiąco — do ciebie, moja ty piękna! Wiedziano o tem, że przyjdiesz i miano się na ostrożności. Otrzymałem rozkaz niewpuszczania cię... rozkaz wyraźny od pana Labroue... A! dojrzałaś światło w jego mieszkaniu... Więc tak, on jest u siebie, ale przyjąć cię nie chce... Przewidział, iż przyjdiesz go niepokoić i przedsięwziął odpowiednie środki ostrożności.

Łucya czuła się bliską omdlenia.

— A więc to przeciw mnie wydał wam ów rozkaz pan Labroue?—pytała słabym, ledwie dosłyszalnym głosem.

— Tak... widzisz więc panna, że zmuszony jestem wykonać to, co mi poleconem zostało.

— Skoro tak, nie chcę przekraczać zakazu... odchodzę.. I wyszła, chwiejąc się cała.

Odźwierny, wzruszywszy ramionami, zamknął za nią bramę domu. Biedna dziewczyna szła jak wpół obłąkana; jej umysł, przyciśnięty tym nagłym, niespodziewanym ciosem, niezdolnym był do jakiegokolwiek bądź myślenia. Posuwała się, jak pogrążona we śnie. Zwolna jednakże równowaga następować zaczęła, a z nią uspokojenie; myśl odzyskała swe prawa, lecz zarazem pojawiło się wspomnienie strasznej rzeczywistości. Cios, jaki nieszczęśliwa otrzymała, był straszniejszym nad wszystko. Po usłyszeniu słów odźwiernego, wątpić o prawdzie niepodobna jej było.

Lucyan zakazał, by jej do niego nie wpuszczano. Nieleśn więc, że ją opuścił, lecz nie chciał widzieć jej wcale, podzielił ją wygnąć i zelżyć, jak się wygania najnikczemniejszą

uliczną dziewczynę. Było to niewytłumaczonym, potwornem... lecz było, istniało...

Do owych cierpień moralnych przyłączyło się i fizyczne. Otrzymana z ręki mordercy rana boleśnie dziewczęciu dokuczwała, a świeżo przebyte gwałtowne wzruszenie podwajało to cierpienie. Czuli się złamaną na duszy i ciele.

Przywłókszy się z trudnością do stacyi fiakrów, wsiadła do jednego z takowych, polecając się zawieźć na ulicę Bourbon. Matka Eliza wróciła na krótko przed przybyciem Łucyi. Nie przewidując, ażeby ona udać się mogła do Lucyana Labroue, sądziła, iż dziewczę poszło odnieść do szwalni robotę. Przedłużająca się nieobecność Łucyi zaniepokoiła Joannę; troskliwość macierzyńska nasuwała jej myśl straszną... myśl o samobójstwie dziewczęcia. Biedna kobieta przez kilka dni strasznych tych cierpień zmieniała się do niepoznania. Cios, który uderzył w jej dziecię i w nią uderzył zarówno.

Wieczór zwolna upływał. Wpół do dziesiątej uderzyło na pobliskim wieżowym zegarze, a Łucya nie powracała. Z natężonym słuchem, przyspieszonym biciem serca, stała Joanna nad schodami, śledząc najmniejszy szelest. Nareszcie od wejścia w kierunku szóstego piętra dały się słyszeć kroki... Roznosicielka pochyliła się nad poręczą schodów.

— Czy to ty, drogie dziecię, pytała drżącym głosem.

— Ja, matko Elizo.

— Ach! Bogu chwała! — odrzekła biedna kobieta, odechnąwszy z ulgą.

Za chwilę Łucya, przybywszy na szóste piętro do swej stancyjki, rzuciła się z płaczem w objęcia Joanny.

— Boże... mój Boże!... co tobie? — pytała Joanna, nie odgadując powodu tak nagłej rozpaczycy swej córki.

— Pytasz, co mi jest, matko Elizo? — odpowiedziało dziewczę, dusząc się łzami i łkaniem. — Zostałam zdradzo opuszczoną... On mnie już nie kocha... zapomnieć chce o mnie

— Łucyo!... lecz nie należy tak jeszcze rozpaczać...

— Nie spodziewam się już niczego... nie chcę się ludzi nadzieją!

— Milczenie to Lucyana skończy się nareszcie...

— I ja tak sądziłam przed dwoma godzinami—odrzekła Łucya, łzy ocierając;— wierzyłam, iż Lucyana, udawszy się w podróż niespodziewanie, nie miał czasu, być może, napisać do mnie. Obecnie rozproszyła się i ta nadzieja. Nie mogąc pozostać dłużej w niepewności, jaka mnie zabijała... postanowiłam dowiedzieć się... i wiem!... Byłam u Lucyana...

— U Lucyana?—powtórzyła ze drżeniem Joanna.—Nieszczęsna! ty byłaś u niego? Widziałas się z nim? I wyjaśnił ci powody zerwania z nami stosunków... powiedział, dlaczego się usunął?...

— Widzieć go... słyszeć... ach! byłoby to jeszcze szczęściem dla mnie! Najokrutniejsze słowa z jego strony, nie sprawiłyby mi takiej boleści... Wolałabym uleść najcięższym cierpieniom duszy i serca ponad obelgę, jaka mnie spotkała.

— Obelgę?—powtórzyła w osłupieniu roznosicielka.

— Tak... Lucyana dał rozkaz odźwiernemu, by ten nie wpuszczał mnie do jego mieszkania!

Tu dziewczę głośnym wybuchnęło płaczem.

— Córko moja... najdroższe dziecię!—wołała Joanna, tuliąc ją ku sobie i płacząc — nie należy rozpaczać, ale przeciwnie, zbroić się nam w siłę i odwagę!

— W siłę i odwagę... ach! czyliż ja je mieć mogę?... ja... która włożyłam całe me życie w tę miłość? Czyż ja, sierota, mogę żyć teraz, sama bez pociechy, bez rodziny?... Nie... nie... wokoło mnie taka straszna próżnia... bezdenna, zabijająca ciemność i próżnia! Moją przyszłością, mem szczęściem był Lucyana... Dziś, gdy mi go zabrano, umrzeć mi jedynie pozostaje i umrzeć!...

— Łucyo!... och Łucyo! — wołała Joanna, owładnięta boleścią — odpędź te myśli przerażające... odpędź je copędzej!...

— Ja ich nie odegnam... Ja umrzeć muszę! Lecz zanim umrę... chcę się z nim zobaczyć... muszę poznać przyczynę, dla której mnie opuścił... chcę wiedzieć, czyli ów człowiek, który mi przysięgał dozogonną miłość, sprzedał się za miliony pannie Harmant? Będąc uczciwą dziewczyną, spojrzę śmiało mu w oczy, ponieważ nie mam sobie nic do wyrzucenia. Ja nie chcę, ażeby świat sądził, iż stałam się przyczyną własnego nieszczęścia. Nie chcę... ażeby najmniejszy cień podejrzenia o nieuczciwość padł na mą mogiłę. Lucyan nie chciał mnie przyjąć u siebie... spotkam go więc gdzieindziej... Będę czekała u drzwi jego domu... u drzwi fabryki, a wtedy będzie zmuszonym ze mną pomówić!..

— O! nie... nie Łucyo... ty tego nie uczynisz... — wołała Joanna Fortier z niepokojem.

— Dlaczego nie miałabym uczynić? Cierpię... strasznie cierpię... nie mamże więc prawa zapytać, z kąd pochodzą te niezasłużone me męki?

— Opuścił cię... zbadź to pogardą... milczeniem. Co cię obchodzić mogą powody?

— Osobista ma godność... poszanowanie samej siebie poznać mi je nakazują.

— A gdyby to wyjaśnienie przyniosło ci jedną boleść więcej?..

— Jedną boleść więcej? — powtórzyła Łucya, patrząc badawczo w roznosicielkę, — jakim sposobem... dlaczego? Ty domyślasz się czegoś, matko Elizo...

— Ja nic... nic nie wiem, me dziecko... — jękała Joanna, czując, iż nie może, nie powinna dziewczęciu odkryć tajemnicy.

— Cóżby mnie gorszego spotkać mogło? — odrzeczę Łucya z powagą. — Lucyan, zanim mnie ukochał, wiedział, że jestem sierotą, opuszczonem dzieckiem, w przytułku wychowanem... Wiedział, iż na życie zarabiam własną mą pracą, lecz obok tego, że nie zboczyłam nigdy z drogi uczciwej prawości,

wiedział, iż śmiało mogę w górę wznieść czoło. Wystarczało to mu niegdyś... dlaczego dziś nie wystarcza? Oto, o czem chcę wiedzieć i wiedzieć muszę!.. Powtarzam, zobaczę się z Lucyanem.

— Nie Łucyo... ty widzieć się z nim nie będziesz!..— wołała Joanna, przejęta do głębi wzruszeniem — nie zobaczysz go... ja błagam cię o to!.. błagam na kolanach.

— Musisz zatem wiedzieć, matko Elizo, dla czego on tak nagle usunął się odemnie?.. Ty wiesz z jakiego powodu on tyle cierpieć mi daje...

— Nie żądaj poznać... zaklinam!.. tej strasznej tajemnicy.

— Zatem ty ją znasz?

— Tak... wyszeptała Joanna.

— Zkąd?

— Widziałam się z Lucyanem...

— Widziałas go... i nic mi o tem nie mówiłaś?

— Chciałam ci oszczędzić boleści...

— Oszczędzić boleści... Ach! czyliż mogę cierpieć więcej jak cierpię? nie ochraniaj mnie... wyznaj mi prawdę... Być może w czem wykroczyłam... i z mojej własnej to winy Lucyan usunął się odemnie?

— Nie, moje dziecię... Najmniejszy cień winy nie ciąży na twojem postępowaniu. Lucyan usunął się od ciebie... ponieważ zaślubić cię nie może!

— Nie może?! Jedyne tylko powód mógłby go usprawiedliwić w tym razie, a to... gdybym się stała nikczemną... zboczyła kiedykolwiek z prawej, uczciwej drogi. To nie istnieje... jestem czystą wobec Boga i ludzi! Wytłumacz mi więc to, proszę...

— Drogie, ukochane dziecię... bywają w życiu tajemnice jakich badać nam nie należy.

— Tajemnice? Czyż jakie ciążyą na mojem sumieniu? Mielizby ci, którzy mnie na świat wydali i bezlitośnie

tułku rzucili, mieliżby oni spełnić jaką zbrodnię? Jeśli mój ojciec był nieczemnym, mamże ja niewinna nosić na sobie piętno jego występków i hańby?..

VIII.

— Dziecię... moje dziecię... och! milcz przez Boga!.. — wołała Joanna, wyciągając ku Łucyi ręce błagalnie. — Bluźnisz!.. ubliżając pamięci twojego ojca!

— Kogóż więc mam oskarżyć... kogo? — wołało dziewczę gwałtownie. — Błądzą w ciemnościach i wyjść z nich pragnę. Wszystko raczej... po nad zwątpienie... niepewność!.. Matko Elizo, ty widziałas się z Lucyanem... on tobie powierzył fatalną ową tajemnicę... Tej tajemnicy nie powinnaś... nie możesz kryć dłużej przedemną. Jakkolwiek straszną by była... mów!.. Jeżeli bluźnię, oskarżając mego ojca... zatem matka... moja matka okryła mnie hańbą?..

Joanna zachwiała się drżąc cała. Chciała zawołać: „*Twoją matką ja jestem... niesprawiedliwie mnie oskarżono!*.. Niepodobna jej było jednak tego uczynić. Nie wystarczyło albowiem ustne zaprzeczenie swej winy... potrzeba to było stwierdzić dowodami, dowodów tych nie posiadała.

Nie mając co odpowiedzieć, pochyliła głowę w milczeniu.

Łucya mówiła dalej:

— Mów!.. ależ mów proszę!.. Matka więc moja miałaby spełnić jakąś zbrodnię? Dlaczego Lucyan ci oznajmił, iż zawarciu naszego małżeństwa jest niemożliwym... dlaczego?

— Zmuszono go do tego.

— Lecz któżby miał prawo... kto mógł?..

— Nie odgadujesz więc?— zawołała Joanna. — Czyliżby Lucyan był się dowiedział o tej tajemnicy, jaka wykopała przed wami, gdyby ktoś nie miał własnego interesu

w odsłonięciu mu tejże? Pewien człowiek szperał umyślnie w przeszłości... i ten to człowiek powiedział Lucyanowi:

„Jeżeli nie zaślubisz mej córki, ja nie pozwolę ci Łucyi zaślubić... Wzbronię ci tego małżeństwa! A gdybyś się poważył postąpić wbrew temu, wszyscy wiedzieć będą...”

Tu Joanna nagle przerwała, zabrakło jej sił do dalszego wyjawienia prawdy.

— Ależ co wiedzieć będą... co? — pytała Łucya gwałtownie. — Trzymasz mnie na mękach, matko Elizo. Życie we mnie zamiera... dostaję obłąkania!... Mówiłam ci, że wiedzieć muszę! Jeżeli ty mnie nie powiesz, dowiem się od Lucyana... zmuszę go, ażeby mi powiedział... Gdyby nie chciał, dowiem się od panny Harmant. Przyszędłszy tu ona, na klęczkach mnie błagała... ofiarowała mi majątek... nie sądziła mnie być nie godną Lucyana. Ona wie wszystko... do niej więc się udam, będę ją błagała, by mi wyjawiała tajemnicę hańby, ciężącej nademną. Jeśli odmówi, pójdę do jej ojca...

— Nie Łucyo... nie pójdziesz.

— Któż mi zabroni?

— Ja!

— W jaki sposób? dlaczego?

— Ponieważ sama wszystko ci opowiem.

— Wszystko... jaknajsumienniej... przysięgasz?...

— Przysięgam!

— Nie pozostawisz mi żadnych powątpiewań? będę mogła wybaczyć Lucyanowi?

— Lucyan nie może ciebie zaślubić... Sama zresztą nie chciałabyś zostać jego żoną, jestem przekonaną, przed zyskaniem niewinnienia dla swojej matki.

Łucya pobladła.

— Przed niewinnieniem mej matki? matka więc moja o coś oskarżoną została?

— Tak.

— Oskarżoną... o jaki występki?...

— O zbrodnię morderstwa. Twoja matka została skazaną na dożywotnie więzienie za zamordowanie ojca Lucyana Labroue.

Lucya, wydawszy krzyk rozdzierający, ukryła twarz w dłoniach. Przez kilka sekund zapanowało ponure milczenie.

— Zatem moja matka jest tą kobietą, która zabiła pana Labroue, która go okradła i podpaliła fabrykę?... — zaczęło dziewczę przerywanym głosem. — Ach! to okropne, przerażające!

— Matka twoja była niewinną! — zawołała Joanna.

— Ależ ją skazano...

— Niesłusznie... niesprawiedliwie! Nie słyszałaś po wiele razy mówiącego Lucyana, iż jest przekonany o niewinności tej nieszczęśliwej kobiety.

— Gdyby w to wierzył, nie usunąłby się odemnie.

— Powątpiewa i trwa w zwątpieniu. Zresztą, czyż wolno mu lekceważyć opinię ogółu?

— Boże... mój Boże!... — wołała Lucya z rozpaczą — czemuż mnie matka na świat wydała!

Strumień łez wytrysnął z oczu Joanny!

— Nie złorzecz swej matce, me dziecię — wyrzekła głosem złamanym. — Ulitowałabyś się nad nią, gdybyś ją знаła, jak ja znałam niegdyś tę biedną Joannę.

Lucya z osłupieniem patrzyła na roznosicielkę.

— Ty, ty, Elizo, znałaś mą matkę?

— Tak, moje dziecię... była to kobieta uczciwa, pracowita, niezdolna do spełnienia nikczemnego czynu. Całą duszą kochała swojego męża... Kochała zarówno swe dzieci, a miała ich dwoje, syna i córkę.

— Syna? — zawołała Lucya gorączkowo — zatem ja miałam brata?

— Tak, miałaś go...

— Gdzież on jest? czy żyje?

— Nic nie wiem... zniknął, jak i ty zniknęłaś. Uwielbiała swe dzieci ta biedna Joanna, nie przewidując, iż fatalność

wydrze je kiedyś. Tak, znałam ją, dobrze znałam—mówiła dalej;—była to dobra, łagodna, kochająca kobieta. Niestety, pewien nędznik, wmieszawszy się w jej życie, popełnił wszystkie te zbrodnie i przez zemstę z piekielną zręcznością rzucił na nią wszelkie pozory ich wykonania. Nadaremnie starała się zyskać uniewinnienie... przekonać sędziów o błędzie, w jakim pozostawali... daremnie... kłamliwe pozory ją obciążały! Jedyny dowód jej niewinności spłonął w czasie pożaru fabryki. O wierzaj mi Łucyo, drogie me dziecko, nie przeklinaj, lecz żałuj biednej twej matki!

— Och! ja jej nie przeklinam... nie chcę jej złorzeczyć, mimo, iż ona jest przyczyną tych ciężkich moich boleści!...

— Własnem życiem... przysięgam... radaby ona twe łzy okupić... gdyby je widziała.

— Nie wątpię o tem, gdy ty mi to mówisz, matko Elizo...—odpowiedziała Łucya ze łkaniem.—Mimo to jestem bardzo nieszczęśliwa. Wyrok niesłuszny obciążył mą matkę... niezasłużona hańba ją okrywa... I ja zmuszoną jestem dźwigać część owej hańby! Jestem córką kobiety przez sąd zawyrokowanej na więzienie za kradzież, podpalenie i morderstwo!... Wszyscy ze wstrętem odwróca się odemnie... tak jak to Lucyan uczynił!... Ach! czyż to nie jest okropnem... osądź, matko Elizo? Teraz dopiero rozumiem postępowanie Lucyana. Rozdziela nas krew jego zamordowanego ojca, dopóki nie zostanie dowiedzionem uniewinnienie mej matki!

— Nie traćmy nadziei, me dziecko!—odrzekła Joanna.—Kto wie, czy światło nie zabłyśnie, a z niem i cierpienia twoje nie skończą się nareszcie? kto wie, czy twoja matka nie odnajdzie rzeczywistego zbrodniarza?

— Uciekła z więzienia... to prawda... Lucyan mi kiedyś o powiedział.

— Tak jest... uciekła!—zawołała żywo roznosicielka.— Jestem przekonana, że jej ucieczka miała za cel odszukanie kóba Garaud, owego prawdziwego mordercy.

— Gdyby jej się to dokonać udało, my o tem wiedzieć nie będziemy.

— Ty pierwsza dowiesz się o tem.

— W jaki sposób?

— Twoja matka cię odnajdzie... serce ją ku tobie poprowadzi! Miejmy nadzieję, lube me dziecko... Życ trzeba, a żyć z nadzieją, iż nadejdzie dla tej nieszczęśliwej dzień rehabilitacyi... że przyjdzie tu ona z uściskiem, by zarazem oznajmić, iż słońce dla ciebie zajaśniało nareszcie.

— Niestety! będzie zapóźno... Lucyan już inną poślubi...

— Kto wie? nic go nie popycha do tego małżeństwa, do którego go zmuszają, a które może nie nastąpić wcale. Panna Harmant, jak ci wiadomo, jest chorą... mocno chorą... dni jej życia są policzone, być może... Lucyan usunął się od ciebie, aby być posłusznym obowiązкови honoru... lecz on cię kocha... nie zapomni o tobie. Widziałam to w jego zmienionem obliczu, w oczach napełnionych łzami. Podczas gdy mówił, iż kochać mu ciebie nie wolno, widziałam, iż kocha cię jeszcze!

— Ależ ten człowiek niegodny, ów Paweł Harmant, miałże prawo szperać w przeszłości i okrywać mnie hańbą? — wołała Łucya z oburzeniem. — Czyż prawo nie użyczy mi swojej opieki przeciwko takiej podłości?

— Niestety, me dziecko, prawo w wielu wypadkach bezsilnem się staje... nie należy nam liczyć na pomoc z tej strony. Odwagi, moja córko, odwagi! — mówiła roznosicielka głosem przepełnionym łzami. — Matka Eliza jest przy tobie... ona cię nie opuści... kochać i pocieszać cię będzie.

Tu przycisnęła Łucyę do wezbranego żalem i radością serca. Chwilowe milczenie przerwało rozmowę dwóch kobiet.

— Trzebaby ci się jednak czemś posilić, biedne me dziecko! — odezwała się Joanna.

— Nie, niepodobnaby mi było jeść teraz, nie czuję głodu, matko Elizo!

— Należy zmusić się do tego... Mam dobry bulion u Ji-
bie, przyniosę ci filiżankę. Jzu

I przyrządziwszy napój, uprosiła Łucyę, aby go wypila, poczem, ucałowawszy dziewczę, odeszła.

Znalazłszy się w swojej stancyjce, Joanna Fortier padła na kolana.

— Boże! mój Boże!—szeptała z płaczem — udzieliłeś mi siłę do zachowania tajemnicy, dzięki ci za to, o Paniel! Kiedy jednakże skończą się moje cierpienia i boleść mej córki? Widzę ją upadającą pod ich brzemieniem, a ulżyć jej nie jestem w stanie! Po tylu latach ciężkich katuszy, czyż nie zesłesz mi, o Boże, choć jednej chwili radości?... czyż nigdy nie postawisz na mojej drodze człowieka, który mnie zgubi?... czyż nie dozwolisz mi odnaleźć mojego syna, któremu nie zawahałabym się wszystko, wszystko opowiedzieć? Dziś... jeśli on żyje, jest mężczyzną dojrzałym, mogącym działać, osłaniać mnie i bronić! Jedyna moja nadzieja w Tobie, o Boże!... Stwórcu, wysłuchaj mej prośby, zeslij mi pomoc i siłę do dalszej, a tak ciężkiej walki z ludzką niesprawiedliwością!

IX.

Nazajutrz po owym dniu tak bolesnym dla obu kobiet, Lucyan Labroue dowiedział się od odźwiernego o bytności Łucyi w tym domu. Z udzielonego sobie opisu poznał, iż była to ona. Serce jego ciężko się krwawiło na wspomnienie, ile biedna dziewczyna przecierpieć musiała, nie mógł jednakże zmienić raz powziętego postanowienia bezsprzyjających ku temu okoliczności.

— Czy one kiedy nadejdą wreszcie? Czy Joanna Fortier zdoła się kiedy oczyścić z ciężącej nad nią hańby?

Oto pytania, które sobie zadawał, nie mogąc na nie znaleźć odpowiedzi.

*

*

*

Paweł Harmant zaczął wykonywać ważne roboty w wielkiej giserni, znajdującej się na lewym brzegu Sekwany. Pomienione prace wymagały zręcznego i starannego kierownika; przemysłowiec zatem powierzył je Lucyanowi Labroue. Obecnie przeto Lucyan chodził tylko zrana do fabryki w Courbeveoie, a resztę dnia spędzał w Paryżu.

Syn Juliana Labroue, pracując z całym zapałem, w pracy jedynie szukał ulgi i zapomnienia. Oddawna już nie odwiedzwszy swego przyjaciela Jerzego Darier, postanowił pewnego popołudnia udać się do niego, tem więcej, że gisernia, w której obecnie pracował, znajdowała się w pobliżu mieszkania młodego adwokata.

Przybywszy tam, zastał Jerzego przy śniadaniu, w towarzystwie Edmunda Castel.

Darier, ujrawszy wchodzącego Lucyana ze zmienionem i smutnem obliczem, na którym widniały ślady ciężkiego cierpienia, nie zdołał powstrzymać okrzyku trwogi i niepokoju.

— Co tobie? na Boga! — pytał, ujmując rękę przybyłego; — byłżebyś chorym, Lucyanie?

— Nie, mój kochany — odrzekł Labroue z westchnieniem.

— Zkąd więc ta bladość... zmienione rysy twarzy?

— Nadmiar pracy, być może? — odezwał się Castel.

Lucyan w milczeniu poruszył głową.

— Siądźże i opowiadaj nam, co zaszło od chwili, w której widzieliśmy się po raz ostatni... może straciłeś miejsce w fabryce Harmanta?

Labroue powtórnie potrząsnął głową przecząco.

— Nie stawiałbyś tego zapytania, mój Jerzy — rzekł Edmund Castel — gdybyś był obecny przed kilkoma dniami odwiedzinom panny Harmant w mojej pracowni. Mówiła mi o panu Labroue w najbardziej pochlebnych wyrazach, dając do zrozumienia, iż oczekuje go świetniejsza przyszłość nad dyrektorstwo robót w fabryce. Wyraźnie była tam mowa o wspólnictwie w zakładach milionera.

— W rzeczy samej... spółka ta była mi proponowaną—
rzekł Lucyan.

— Ależ to rzecz świetna! przechodząca wszelkie nadzieje!—zawołał Darier. — Od trzech miesięcy zaledwie pracujesz w fabryce Harmanta i masz już przed sobą spółkę w perspektywie!

— A może i małżeństwo...—rzekł Castel.

Lucyan zdrzął na te wyrazy.

— Na honor! — mówił młody adwokat — nie dziwiłoby mnie to wcale. Słowa panny Harmant, gdy mi mówiła o tobie, czynią możebnem to przypuszczenie. Gorące uczucie z jej strony dla ciebie było widocznem i ona to, jestem pewien, wymogła na ojcu, by cię przypuścił do wspólnictwa w fabryce. No! wyznaj Lucyanie!—kończył żartobliwie—nie nadmieniałże ci Harmant co o małżeństwie?

— Mówił mi o tem...

— Zatem wybornie, mój przyjacielu! Oto wiadomość, która prawdziwie mnie uszczęśliwia! Witam w tobie przyszłego milionera! Kiedyż nastąpią zapowiedzi? ponieważ nie wątpię, żeś przyjął tę propozycję.

— Przeciwnie... odrzuciłem!

— Odrzuciłeś?!—zawołał Jerzy—ależ to szaleństwo!

— Żle sądzisz...—odrzekł smutno Labroue.

— Ach prawda!—zapomniałem, że inną kochałeś.

— I kocham całą mą duszą, mimo, iż obowiązek nakazuje wyrzec mi się tej miłości. Pytałeś mnie przed chwilą, czy nie jestem cierpiącym... a więc tak! cierpię, o ile człowiek najcięższej cierpieć może, a cierpię z przyczyny owej miłości, która była mem szczęściem... moją radością!

— Nic nie rozumiem — rzekł Jerzy.—Jeśli prawdziwie kochałeś, najświetniejsze widoki przyszłości i majątku nie powinny cię odwieść od tego. Własne, osobiste szczęście przede wszystkim, a znajdujemy je, mój drogi, częściej w mierności niżli w bogactwie...

— Powtarzam ci, że nie powinienem kochać Łucyi—szepnął z boleścią młodzieniec.

— Ależ dlaczego?

— Fatalność mi tego zabrania... Pomiędzy Łucyą a mną stała, jak opoka, zbrodnia... krew... krew... mojego ojca!

Edmund Castel drgnął, zaciekawiony.

— Co ty powiadasz?—zawołał Darier, przesuwając ręką po czole.

— Łucya jest córką Joanny Fortier... kobiety skazanej za zamordowanie mojego ojca.

Jerzy oniemiał, oszołomiony temi słowy. Edmund tknięty, jak iskrą elektryczną, zerwał się z miejsca.

— Ta, którą kochasz, byłaby córką Joanny Fortier?—zawołał.— Jestżeś tego pewien?

— Niestety, jaknajzupełniej!... miałem dowody w ręku i posiadam je jeszcze.

— Kto ci je dał?

— Pan Harmant.

Edmund Castel zadumał się głęboko.

— Pan Harmant?—powtórzył—a z kąd je wydobyl?

— Z merowstwa w Joigny, gdzie mamka Łucyi złożyła deklarację, oddając ją do przytułku dla opuszczonych dzieci w Paryżu.

— Lecz z kąd mu przyszła myśl, ażeby Łucya mogła być córka Joanny Fortier?—pytał dalej artysta!—Jadąc do Joigny dla szukania dowodów, które pragnął ci złożyć przed oczyma, potrzebował wiedzieć, iż Łucya była wychowaną w Joigny... Z kąd mógł o tem wiedzieć?

— Nie odgaduję... nie wiem!—rzekł Lucyan, przykładając rękę do czoła. — Chwilami mieszać mi się w głowie zaczyna.

— Twierdziłeś niegdyś, iż wierzysz w niewinność Joanny w tej zbrodni?

— Tak, ale to moje przekonanie nie opiera się na żadnych podstawach. Sprawiedliwość ludzka potępiła wdowę

Fortier, jako morderczynię mojego ojca. Mógłżebyś więc wobec tego zaślubić jej córkę?

— Ochl nigdy... nigdy!—zawołał Darier.—Wszelkie wachanie nie powinno mieć miejsca w tym razie. Zapomnij o Łucyi, zapomnij o niej na zawsze! panna Harmant kocha cię... tam przyszłość twoja... ożeń się z nią!

— Lecz Łucya umrze... ona nie przeżyje tego!

— E! nie sądzę, by można było umrzeć z miłości... Zre-sztą, cóż innego mógłbyś przedsięwziąć?

— Pragnąłbym wyświecić niewinność Joanny Fortier... zrehabilitować wobec świata tę nieszczęśliwą.

— Dobrze... lecz jakież posiadasz środki ku temu? Gdzie są dowody, którebyś mógł dostarczyć?... gdzie fakta, na których mógłbyś oprzeć żądanie powtórnej rewizji tego krymi-nalnego procesu?

— Nie posiadam ich, niestety!

— Nic zatem rozpocząć nie jesteś w stanie?

— Gdybym mógł się widzieć z Joanną Fortier, być mo-że, dostarczyłaby mi ona środków, których mi obecnie brakuje.

— Wiemy, iż uciekła z więzienia; przypuśćmy zatem, iż gdyby została schwytaną, mógłbyś się z nią widzieć—rzekł Jerzy.—cóż jednak z tego? Jeżeli przez dwadzieścia jeden lat nie zdołała dostarczyć dowodów swego uniewinnienia, zka-ż mogłaby dostarczyć je dzisiaj? Okaż się mężnym... odwa-żnym... bez wachania i rozmyślań przyjm fakta, jak się przed-stawiają. Pomiędzy Łucyą a tobą wzniosła się nieprzełamana zaporą, zapomnij więc o niej... ożeń się z córką Harmanta. Wszak potwierdzasz me zdanie, kochany opiekunie? — dodał, zwracając się do Edmunda Castel.

— Nie!—odrzekł krótko artysta.—Traf nieprzewidziany dozwolił spotkać się synowi Juliana Labroue z córką Joanny Fortier... z tego spotkania wyniknąć może nagłe uniewin-^{nie}nie Joanny.

— A jeřliby to nie nastąpiło — rzekł Darier — Lucyan zniweczy swą przyszłość.

— Gdyby zaś nadszedł dzień, w którym Joanna zyska uniewinnienie, będzie żałował przez całe życie straconego szczęścia!

— Położenie jest okropnem! — szepnął Labroue — co czynić?

— Pozyskać zwłokę, pozwalając wierzyć Harmantowi, że kiedyś zaślubisz jego córkę, a jednocześnie w najgłębszej tajemnicy poszukiwać Jakóba Garaud, którego odnalezienie obecnie nie jest może niepodobnem...

— Miałżebyś pan posiadać jakie wskazówki w tym względzie?—zapytał żywo Labroue.

— Dotąd nie jeszcze... ale rozpocznę poszukiwania, na które liczę wiele, posiadając przyjaciół, zajmujących wysokie stanowiska w społeczeństwie... Ale powracam do tego, com ci, Lucyanie, mówił przed chwilą: *Staraj się zyskać na czasie!* Obecnie zaś pozwól, iż zadam ci jedno pytanie...

— Mów pan, proszę.

— Czy nie wiesz, jakim wynalazkiem głównie zajmował się twój ojciec w chwili, gdy go zamordowano?

— Moja ciotka niejednokrotnie mi powtarzała, iż ojciec mój spodziewał się zebrać wielki majątek za pomocą nowo wynalezionej przez siebie maszyny do giloszowania.

Na te wyrazy Edmund Castel zmarszczył czoło pomimo-wolnie, zachowując jednak pozorną spokojność. Lekkie jedy-nie drżenie ust świadczyło o jego wewnętrznem wzruszeniu.

— Zatem był to jego jedyny i główny wynalazek? — py-tał dalej.

— Ciotka o tym jednym tylko mi wspominała.

Rozmowę przerwało wejście służącej z oznajmieniem, iż klienci oczekują na widzenie się z adwokatem. Edmund i Lu-cyan pożegnali Jerzego, rozszedłszy się na ulicy, przy bramie
temu.

X.

Lucyan Labroue udał się do giserni na ulicę Vavin. Castel, wróciwszy do siebie, zamknął się w pokój, który^{mu} służył jednocześnie za bibliotekę i gabinet pracy. Otworzywszy kasę żelazną, dobył z niej pęk papierów, na kopercie których wypisanem było wraz z datą następujące nazwisko:

JERZY DARIER.

Rok 1861.

Wewnątrz koperty mieściła się druga paczka, czarnym lakiem zapieczętowana, i kilka arkuszy papieru zapisanego notatkami. Artysta zagłębił się w czytaniu tych notat. W jednych widniało powtarzane często nazwisko Jakóba Garaud, w innych nazwisko Pawła Harmant, a wszystkie kreślone były ręką Edmunda Castel.

Dlaczego były opiekun Jerzego układał sobie protokół, odnoszący się do tych dwóch osobistości, tak różnych z pozoru, przyszłość to okaże.

* * *

Amanda, wyszedłszy z obezwładnienia, jakie było zwykłym następstwem działania napoju kanadyjskiego, zapytywała siebie, co się jej stało i dlaczego czuła się tak złamaną, bezsilną, jak gdyby po przebyciu długiej i ciężkiej choroby. Poczęła badać pseudo barona de Reiss w tym względzie, gdy nagle dźwięk dzwonka dał się słyszeć na zewnątrz.

— To doktór...—wyrzekł Owidyusz — biegnę otworzyć.

— Doktór...—powtórzyła szwaczka, usiłując cośkolwiek sobie przypomnieć.—ależ on chyba nie do mnie przyszedł... Co się ze mną stało?—powtarzała.—głowa mi cięży... w piersiach czuję ogień... co się ze mną dzieje od wczoraj?

W chwili tej wszedł Soliveau z doktorem Richard. Amanda za pierwszym spojrzeniem poznała w lekarzu czło-

wieka, którego po katastrofie na drodze żelaznej widziała pochylonego nad zemdlonym Duchemin'em.

— No, jakże pani czujesz się teraz?—zapytał nowoprzybyły.

— Byłam więc chorą?

— Owładnął panią gwałtowny atak nerwowy... Szczęściem na czasie uśmierzyć go zdołałem i widzę z przyjemnością, iż stan zdrowia pani jest obecnie zadawalniającym.

— Uczuвам wielkie znużenie... zdaje mi się, że moje nerwy i mięśnie są poprzerywane... Zkąd to pochodzi?

— Zwykły to skutek nerwowego ataku... Bądź pani jednak spokojną... nie obawiaj się; spoczynek i dieta przez dzień cały, a do jutra zupełnie pani wyzdrowiejesz.

— Bezustanne pragnienie mnie pali...

— Możesz je pani gasić letnią limoniadą.

— Zkąd jednak u mnie objawił się ów kryzys, którego nie pamiętam wcale?

— Ten pan — rzekł doktor, wskazując na Owidyusza — może panią lepiej odemnie o tem objaśnić. Nie byłem obecny przy początku paroksyzmu, a skorom tu przybył, rozwinęły się niebezpieczne symptomy.

— Po południu owładnął tobą nagle atak nerwowy — rzekł Soliveau — i to bez żadnego powodu. Jęki twe i krzyki objaśniały, żeś mocno cierpiała. Wilaś się w spazmach po podłodze.

— To szczególne... — szepnęła Amanda; — nie przytrafiło mi się nigdy nic podobnego.

— Nie wysilaj pani umysłu na zgłębienie owej zagadki — rzekł doktor. — Powtarzam, iż wszelkie niebezpieczeństwo minęło, starania moje obecnie są bezpotrzebnymi. Żegnam więc panią.

Owidyusz wyprowadził lekarza do ogrodu.

— Strzeż się pan — rzekł tenże — dawać tej kobiecie raz drugi podobną dozę kanadyjskiego płynu, jaką dałeś jej wczoraj bez umiarkowania. Zabiłbyś ją odrazu! Pragnąłeś zapewne zmusić ją do wyjawienia sobie czegoś. Szczegóły te mnie nie

obchodzą, lecz jakimikolwiekbaż byłyby one, popełniłeś występki!

— Nie powtórzę tego już więcej — wyrzekł Soliveau zmieszany — a teraz proszę, racz pan przyjąć należność, jaką dłużny mu jestem.

Doktór Richard odmówił przyjęcia honorarium i odszedł.

— Szczęściem, że nie umarła! — myślał, wracając Owidyusz! — ten człowiek byłby mnie z pewnością oskarżył.

I wszedł do pokoju Amandy.

— Proszę cię, baronie — wyrzekła — teraz, gdy jesteśmy sami, powiedz mi otwarcie, co się to stało?... Z jakiego powodu dostać mogłam tak gwałtownego nerwowego ataku?

— Mówiłem ci już przed chwilą, że nic nie wiem. Nie widzę powodu, który wywołał owo cierpienie. Wybiegłem zaniepokojony po doktora i szczęściem znalazłem ot tego.

Amanda opuściła głowę na poduszki w zamyśleniu.

— Jesteś skazaną na dyetę — mówił Soliveau dalej — sam więc dziś pójdę na śniadanie. Przyślę ci przez służącą limoniadę.

— Dobrze, dobrze... przyślij mi Magdalenę.

Soliveau wyszedł. Amanda ściagała go ponurym, nienawistnym wzrokiem aż ku drzwiom.

— Nie... nie! — szepnęła — on kłamie... to nienaturalne, Im więcej rozważam, tembardziej ta rzecz cała podejrzaną mi się wydaje. Byłam więc chorą niebezpiecznie... miałam atak, w którym umrzeć mogłam!...

Na wspomnienie śmierci zadrżała.

— I nic sobie nie przypominam! — mówiła dalej — a jednak... Tak... tak! piłam czarną kawę, wlawszy w takową dwa kieliszki likieru Chartreuse... gdy nagle mgła rozpostarła się przed memi oczyma... nic nie widziałam... nie słyszałam! Ach! czyliżby ten łotr nikczemny otruc mnie usiłował!

I zapomniawszy o swem osłabieniu, zerwała się z łóżka, podeszła do stołu, nieuprzątniętego jeszcze od dnia wczoraj-

szego i wzięwszy butelkę od likieru Chartreuse, oglądać ją poczęła. Butelka wypróżniona była zupełnie.

— A jednak ja nie wypilałam wszystkiego!—zawołała—pamiętam to... pamiętam! Zostało jeszcze ze trzy kieliszki na dnie tej flaszki. W ten więc to likier nikczemnik wlać musiał truciznę, a następnie wylał pozostałą mieszaninę, by jego zbrodnia się nie wydała. Miałam więc słuszność, nie ufając temu zbrodniarzowi! Poznawszy, że go zbadala, chciał mnie się pozbyć... rzecz jasna. Lecz gdzie on wylał pozostałą resztę tego zatrutego napoju?

Tu spojrziała na wygasłe ognisko kominka. Garstka zwilgoconego popiołu zwróciła jej uwagę.

— Tu więc—rzekła, wskazując—ukrył dowód swej zbrodni. Doktor nie mógł pojąć, z kąd pochodziło to nagle moje zasłabnięcie... lecz ja to dobrze rozumiem. Ha! teraz bardziej niż kiedy będę się pilnowała... Kim jest ten nędznik, który nie zawahał się tak mnie jak Łucyi życia pozbawić? Wiedzieć to muszę... będę wiedziała... za jakąbądź cenę!

Tu położyła się na łóżku. Za chwilę później weszła służąca z oberży, przynosząc limoniadę, którą napiła chorą.

— Jakże? czy lepiej pani teraz?—pytała.

— Znacznie lepiej — odpowiedziała Amanda—jutro już wstanę.

— Mamże przynieść śniadanie?

— Nie... doktor polecił mi najściślejszą dyetę.

— Zatem pani nic nie potrzebujesz?

— Nic... nic zupełnie.

— Mogę więc odejść?

— Opowiedz mi co wprzódy o tych ranionych, których pomieszczono w waszym domu.

— Ach! biedni oni... źle z nimi!

— Był wśród nich, o ile sobie przypominam, młody mężczyzna?

— Tak, pani.

— Cóż się z nim dzieje?

— Dziś w nocy dopiero odzyskał przytomność i rano rozmawiał z doktorem. Ma w głowie ranę głęboką.

— Jeśli rozmawiał, wiecie zapewne, kto on jest?

— Tak... wymienił swoje nazwisko... Jest to pan Raul Duchemin.

— Nie omyliłam się więc—pomyślała Amanda—to on.— Może go przewiozą do jego rodziny?—pytała.

— Nie, pani — rzecze służąca. — Pan doktor Richard oznajmił właścicielce oberży, że on nie będzie mógł wyjść z pokoju wcześniej, jak za dwa tygodnie.

— Biedny chłopiec!

Prowadząc powyższą rozmowę, służąca uprzątała w pokoju.

— A teraz pozwoli mi pani odejść?—spytała.

— Idź... nie zatrzymuję cię, a skoro tu powtórnie przybędziesz, przynieś mi papier, pióro i atrament, słowem wszystko, czego potrzeba do napisania listu.

Służąca się oddaliła.

Duchemin w rzeczy samej otrzymał w głowę ciężką ranę, a stan jego zdrowia, mimo, że nie przedstawiał niebezpieczeństwa, wymagał jednak troskliwego pielęgnowania. Umieszczono go w pokoju na drugim piętrze, a doktor kilka razy dziennie odwiedzać go przychodził.

XI.

Po odzyskaniu przytomności, Duchemin zmuszonym był odpowiadać na zapytania naczelnika stacyi drogi żelaznej, oraz komisarza policyi z Bois-le-Roi. Prokurator i sędzia śledczy mieli przybyć z Mélnun tegoż rana dla wyprowadzenia dalszych badań.

Owidysz Soliveau po śniadaniu wrócił do willi Róz i przez dzień cały pozostał przy Amandzie, otaczając ją najczyliwszem staraniem.

Szwaczka pani Augusty z pozorną wdzięcznością przyjmowała tę jego życzliwość, ukrywając w głębi powzięte podejrzenia.

Służąca, przybywszy po odebranie poleceń względem obiadu, przyniosła żądane materyały do pisania.

— Chcesz list wysłać do kogoś?—pytał z przybraną obojętnością Soliveau.

— Tak, chcę napisać do pani Augusty!

— I o czym-że chcesz ją powiadomić?

— Będę ją prosiła o przedłużenie urlopu, pragnę pozostać dłużej w Bois-le-Roi.—Nie podoba ci się to może?

— Bynajmniej.. lecz właśnie chciałem ci powiedzieć, że będę zmuszony wyjechać na dni kilka.

Amanda zadrżała na myśl, że ów pseudo-baron wymknąć się jej może, a tym sposobem, gdy straci wszelki jego ślad, ów wróg tem niebezpieczniejszym dla niej się stanie.

— Chcesz odjechać... zostawić mnie samą... dlaczego?—pytała.

— Powiedziałem w domu u siebie, że wyjeżdżam tylko na tydzień, dłuższa nieobecność zaniepokoiłaby moją rodzinę.

— Nie możesz-że do nich napisać?

— Nie mogę.

— Czemu?

— Marka pocztowa na liście świadczyłaby o moim pobycie w Bois-le-Roi, wówczas gdy sądzą, że jestem w Marsylii. Byłaby to niezręczność, jakiej wystrzegać mi się należy.

— Jeśli tak — rzekła Amanda — razem pojutrze wyjeździemy.

— Wolalbym, żebyś tu przez dwa dni jeszcze pozostała, oczekując na mój powrót.

— Smutno mi będzie bez ciebie w samotności...

— Dwa dni prędko przeminą.

— Dziewczyna rozważywszy, iż ów baron tak dobrze mógł jej zniknąć w Paryżu, jak w Bois-le-Roi, gdyby to zechciał uczynić, odpowiedziała:

— Masz słuszość... napiszę zatem do pani Augusty, podniosę się z łóżka, to wzmocni me siły, a po napisaniu listu przejdę się nieco po ogrodzie.

I wdziawszy ranny swój negliż, siadła do pisania, poczem, wsunawszy list w kopertę, zakleiła takową, napisała na niej adres i podała Owidyuszowi.

— Zechciej list ten wrzucić do skrzynki—wyrzekła.

— Natychmiast... wrócę za kilka minut.

— O! nie śpiesz się z powrotem;—wezmę książkę i wyjdę do ogrodu.

Owidyusz poszedł z listem. Amanda z książką w ręku usiadła w altance, wzniesionej przy murze willi, zamieszkałej przez siostrę doktora Richard. Nie miała jednak chęci do czytania. Położywszy zamkniętą książkę na kolanach, zagłębiła się w rozmyślanii.

— Nie... nie!—szepnęła—on mi się wymknąć nie zdoła. Gdyby to zechciał uczynić, potrafię go odnaleźć. Skoro upewnię się, że on mnie otrucił—usiłował i Łucyę chciał zabić, zemszczę się na nim, chociażby ta zemsta zgubić mnie nawet miała!

Wyszedłszy z willi z listem w ręku, Owidyusz rozmyślał również nad swem położeniem. Nagle, w niejkiej przed sobą odległości, spostrzegł doktora Richard w towarzystwie starca, którego widział w lasku Fontainebleau, w dniu swego przybycia do Bois-le-Roi.

Kobieta w średnim wieku i dwie młode panienki szły wraz z nimi. Ireneusz Bosse posuwał się zwolna, wsparty na ramieniu doktora. Starzec ten miał na głowie kapelusz z szerokimi skrzydłami, który przytrzymywał lewą ręką, zabezpieczając się, by wiatr nie zerwał mu takowego. Przechożąc około tej grupy, Soliveau pozdrowił doktora Richard, który na jego ukłon odpowiedział lekkim poruszeniem głowy.

Ireneusz Bosse przez grzeczność skinął również głową, pytając:

— To zapewne jeden z twych pacjentów, doktorze?

— Bynajmniej!—rzekł tenże z pogardliwym uśmiechem Zaledwie Owidyusz uszedł kilka kroków, gdy krzyk, biegnący od strony wyżej wymienionych osób zwrócił jego uwagę. Obróciwszy się, dostrzegł słomiany kapelusz starca unoszony wichrem. Schwycił takowy w biegu i zwrócił się ku idącym.

— To pański kapelusz?—rzekł, podając go starcowi.

— Dziękuję panu—odpowiedział Ireneusz Bosse z utkwionem spojrzeniem w twarz Owidyusza—bardzo...

Tu przerwał rozpoczęte zdanie, cofnąwszy się nagle.

— Ach! pan tu jesteś?!—zawołał—opuściłeś więc Amerykę?

— Rysy pańskiego oblicza są mi znajome... w rzeczy samej—mówił, zatrzymując się Soliveau—przypomnieć sobie jednak nie mogę...

— Zatem ja tobie przypomnę—odrzekł Bosse. — Płynąłem na okręcie *Lord-Major* wraz z tobą w roku 1861...

Owidyusz zadrżał.

— Cóż?—mówił dalej były agent policyi—jeżeli ty sobie mnie nie przypominasz, ja za to ciebie pamiętam doskonale. Jestem Ireneusz Bosse.

I nie dodawszy nic więcej, obrócił się plecami do mniemanego barona de Reiss, który błądy i drżący, szybko oddalać się zaczął.

— Znasz pan więc tego człowieka?—pytał z ciekawością doktor Richard.

— Tak... znam go... i opowiem panu wszystko natychmiast.

Owidyusz myślał, pomykając ku stacyi wielkimi krokami:

— Do pioruna! ów były policyant przebywa w Bois-le-Roi i żyje w stosunkach przyjaźni z doktorem Richard... trzeba przyspieszyć swój wyjazd... zostać mi tu dłużej niepodobna...

Nagle zatrzymał się.

— Lecz jeśli pozostawię Amandę—wyszepnął—ona może się spotkać z doktorem i dowiedzieć od niego, o czym go powiadomi Ireneusz Bosse, że baron de Reiss nazywa się w rzeczywistości Owidyuszem Soliveau. E!—dodał po chwili—czyż to mi wreszcie zaszkodzić może? Dostawszy się do Paryża, Owidyusz Soliveau zniknie dla niej na zawsze, tak dobrze, jak baron de Reiss.

Przybywszy na stację, wrzucił list w skrzynkę, a wszedłszy do biura telegrafu, nakreślił następującą depezę:

„Paweł Harmant, przemysłowiec, w Courbevoie, nad Sekwaną.—Przybywam jutro do Paryża.

Baron de Reiss.“

Załatwiwszy to, wrócił do oberży, polecając przygotować sobie na jutro rachunek.

Ireneusz Bosse z rodziną i doktorem Richard, udał się do siostry tegoż ostatniego, której mieszkanie, jak wiemy, sąsiadowało z willą Róż.

Młoda ta i bogata wdowa miała przy sobie pannę do towarzysztwa, z którą właśnie siedziała w ogrodzie pod cieniem wysokich drzew, rosnących tuż przy parkanie, dzielącym dwie wille. Spostrzegłszy ją zdaleka, doktor poprowadził ku niej przybywających wraz z sobą gości, których przyjęła z życzliwością.

— Siądź pan przy mnie, proszę, panie Bosse—rzekła do starca—drzewa osłonią cię przed wichrem.

Nowoprzybyli zasiedli.

— W rzeczy samej wicher dokucza nam dziś gwałtownie—rzekł Ireneusz.—Zerwawszy mi kapelusz przed chwilą, postawił mnie wypadkowo wobec nędznika ostatniego rodzaju.

Amanda, jak wiemy, usiadła z książką w ogrodzie pod altanką, przytykającą do parkanu tej willi. Rozmawiających dzieliło od niej tylko drewniane przegrodzenie. Wyrazy Ireneusza Bosse wyrwały ją z rozmyślenia. Słuchała z namiętną uwagą, a słowa jasno i czysto do jej uszu płynęły.

— Nędznika najgorszego rodzaju?—powtórzył doktor.—
Pan mówisz zapewne o osobie, która ci podniosła kapelusz.

— Tak.

— O baronie de Reiss?

Posłyszawszy to, Amanda zerwała się nagle.

— Ach... ach!—szepnęła—o nim więc mówią w willi sąsiedniej.—Jak to dobrze, że tu przyszła.

— Co pan wyrzekłeś?—zapytał Ireneusz Bosse, patrząc z uśmiechem na doktora.

— Mówiłem o baronie de Reiss...

— Nadajesz pan tę nazwę człowiekowi, z którym, jak ci mówiłem, podróżowałem na okręcie *Lord-Major* w 1861 roku?

— Tak, panie.

— Lecz z kąd go znasz?

— Wezwany przezeń zostałem ubiegłej nocy do młodej kobiety, mieszkającej z nim od kilku dni w willi Róż.

Amanda, ażeby lepiej posłyszeć, weszła na ławkę i przyłożyła ucho do parkanu.

— Ależ kochany doktorze—śmiejąc się, mówił Bosse dalej—on jest takim baronem, jak ja, lub ty nim jesteś. W jakimś ukrytym, a podejrzanym zapewne celu, przybrał ów tytuł i nazwisko. W rzeczywistości nazywa się on Owidyusz Soliveau...

— Jestżeś tego pewien, panie Bosse?

— Jak to, że żyję! Twierdzenie moje, doktorze, opieram na ważnych podstawach.

XII.

Podczas, gdy prowadzono w willi sąsiedniej powyższą rozmowę, Amanda powtarzała zcicha:

— Owidyusz Soliveau... nie zapomnę tego nazwiska! Dziwny traf pozwolił mi poznać to, o czem wiedzieć pragnęłam.

— Ów to właśnie człowiek, mechanik z powołania—mówił dalej Ireneusz Bosse—zostawał pod wyrokiem we Francyi. Chcąc ujsć przed karą, płynął do Ameryki, zamówiony do warsztatów Jana Mortimera w New-Yorku, i tym sposobem znalazł się wraz zemną na pokładzie *Lorda Majora*. Ty, doktorze, również się tam znajdowałeś.

— To rzecz szczególna..—rzekł lekarz.

— Dziwne, nieprawdaż? Lecz bardziej się jeszcze zadziwisz, usłyszawszy, że to jest właśnie ów nędznik, który mi ukradł wówczas torebkę z pieniędzmi.

— I pan puściłeś tę zbrodnię bezkarnie?

— Mówiłem ci już, że pewien pasażer, nazwiskiem Paweł Harmant, wstawiał się za nim, oddawszy mi nienaruszonymi moje pieniądze. Przyrzekłem więc nie oskarżać go przed kapitanem okrętu. W New-Yorku źle się prowadził, uczęszczał do szulerni, gdzie przegrywał swą pensję, wynoszącą znakomitą sumę, gdyż ów podróżny, który mnie prosił za nim, stawszy się wspólnikiem Mortimera, powierzył mu główny nadzór w jego fabryce. Od chwili mego powrotu do Francyi urwisza tego nie widziałem wcale, aż nagle odnajduję go dzisiaj pod przybranem nazwiskiem barona de Reiss. To przywłaszczenie sobie tytułu i nazwiska ukrywa znów niewątpliwie jakieś przestępstwo, ponieważ, powiadam wam, Owidyusz Soliveau jest zdolnym do wszystkiego, z wyjątkiem uczciwego czynu.

— Nic o tem wszystkim nie wiedziałem — rzekł doktor—a jednak fizyognomia jego od pierwszej chwili wstręt we mnie budziła.

— Nie myli cię to — odpowiedział Bosse. — Łotr ten przybył do Bois-le-Roi bezwątpienia z jakimś zbrodniczym zamiarem.

— Bardzo być może. Tej nocy bowiem w willi Róż zaśzło coś nader podejrzanego.

— Któż jest ta kobieta, która z nim mieszka? — pytał Ireneusz.

29

30

— Żadna osoba... kochanka jego bezwątpienia.

— I prawdopodobnie współniczka zarazem. Gdybym należał jeszcze do policyi, wszystkoby to zaraz na jaw wyprowadził.

Amanda pobladła, drżąc cała.

— Nie zadziwiłbym się bynajmniej, posłyszawszy — mówił starzec dalej — gdyby ów nędznik skazanym został na śmierć przez powieszenie, a jego kochanka na dożywotnie więzienie. Kto się z kim wdaje, takim się staje. Lecz powiedźże mi, doktorze, cóż się tam stało dzisiejszej nocy w willi Róż, o czem przed chwilą wspomniałeś?

— Pamiętasz pan, com ci opowiadał przed kilkoma dniami o skutkach płynu kanadyjskiego?

— Tego, który nazywają w Ameryce *napojem prawdy*? Pamiętam to doskonale.

— Otóż ów mniemany baron de Reiss użył go tej nocy, aby wywołać atak obłądu, a w nim wydobyć zeznanie od towarzyszącej mu kobiety.

— I sądzisz, że mu się to udało?

— Napewno... Kobieta owa w przystępie szału wyjawiała mu wszystkie swe myśli, poczem nastąpił straszny, przerażający kryzys. Szczęściem, żem na czas przyszedł, inaczey śmierć jej groziła niechybna.

— Dlaczego?

— Dał jej zbyt wielką dawkę tego płynu. Bez przeciwdziałającego lekarstwa ta nieszczęśliwa byłaby skonała niewątpliwie.

— Spisałżeś z tego protokół?—pytał starzec.

— Nie było zasady.

— Żle sądzisz... ja widzę przeciwnie, wyraźne usiłowanie otrucia tej kobiety.

— A może to była tylko nieroztropność z jego strony?

— Ależ to, jak uważam, są nader niebezpieczni sąsiedzi—odezwała się siostra doktora. — Dobrze byłoby może powiadomić właścicielkę oberży o postępowaniu jej lokatorów.

— Na co się to przyda? przybyli tu oni tylko na dni kilka... jutro lub pojutrze znikną... dozwoliwszy się schwytać i powiesić gdzieindziej.

— Byłoby mi jednak przyjemnie dotrzymać obietnicy, danej niegdyś Owidyuszowi Soliveau...

— Jakiej obietnicy?

— Że nie będę go oszczędzał, skoro go schwytam gdzie na spełnieniu jakiego przestępstwa. Lecz dość już o tych dwojgu nikczemnych... mówmy o czem innym.

Tu rozmowa przeszła na całkiem nowy, a obojętny przedmiot. Amanda zeskoczyła z ławki drżąca i blada, zaledwie na nogach utrzymać się mogąc, weszła do pawilonu.

— A więc...—szepnęła—dobrze odgadłam. Był to niegdyś złodziej, który stał się teraz mordercą. Nazywa się on Owidyusz Soliveau, a nie baron de Reiss. Przebywał w Ameryce, będąc protegowanym przez Pawła Harmant, ojca panny Maryi, dla której Łucya suknie odrabiała... Wszystko to dziwnie łączy się z sobą. Potrzebując objaśnień, wybrał mnie do udzielenia sobie takowych i ja bezrozumnie, o niczem nie wiedząc, stałam się jego współniczką! Doktor mówił, że omal mnie nie zabił, wlawszy mi do napoju płyn kanadyjski, aby wydobyć odemnie zeznanie... i wszystkie moje myśli wyjawiałam mu bezwątpienia. Obecnie wie on, co o nim sędzę; lecz o tem nie wie, com usłyszała o nim przed chwilą. Rozpocznie się walka pomiędzy nami, w której zobaczymy, kto się mocniejszym okaże. Niech jedzie do Paryża... odnajdę go z pomocą owego Pawła Harmant... odkryję gdzie mieszka... i dowiem się, w jakim celu jeździł do Joigny.. Ów płyn, którym mnie omal nie zabił, znajduje się tu zapewne... och! gdybym go mogła odnaleźć!

I rozpoczęła poszukiwanie, gdy nagle dały się słyszeć kroki od strony wejścia.

Dziewczyna szybko usiadłszy na krześle, chwyciła książkę, pozornie zatopiona w czytaniu.

Owidyusz wszedł uśmiechnięty.

- Sądziłem—rzekł—iż cię zastanę w ogrodzie.
— Wiatr nazbyt zimny zmusił mnie do powrotu.
— I zabawiasz się lekturą?
— Tak... w twojej nieobecności potrzeba mi było czemś czas sobie zająć. Oddałeś list na pocztę?—pytała.
— Przedewszystkiem to wypełniłem, następnie kazałem w oberży przygotować sobie rachunek.
— Postanawiasz więc nieodmiennie jutro wyjechać?
— Tak, radbym był nawet wyjechać dziś wieczorem...
— Zkąd i dlaczego ten pośpiech?
— Aby tem rychlej wrócić do ciebie.
— Jeżeli tak, to wyjedź dziś i staraj się ukończyć przedko swe interesa... A kiedyż powrócisz?
— Pojutrze nieodwołalnie. Wszak nie zostawię cię tu bez pieniędzy... Oto na twoje wydatki—rzekł, kładąc na stole bilet bankowy. — A teraz żegnam cię... czyli raczej do widzenia... uciekam...

— Już?

— Zaledwie zdołam zdążyć na pociąg.

— Idź więc...

Owidyusz, dobywszy z szafy walizę, spakował w nią swe rzeczy.

— Nie tęsknij za mną zbyt—rzekł do Amandy.— Gdybyś czuła się słabą, wezwij doktora... Myśl o mnie... do widzenia wkrótce...

I uściskawszy rękę dziewczyny, wybiegł z pośpiechem.

— Ach! łotrze potrójny!... złodzieju, morderco, oszuście!—szepnęła Amanda, słysząc szelest oddalających się jego kroków.— Uciekasz z obawy przed Ireneuszem Bosse... Obiecuje powrócić pojutrze i mówi to tak poważnie. Jakaż bezczelność!... czyliż nie odgaduje, że ja zbadała, iż nie powróci wcale? Jest przekonany, iż nie spotkamy się więcej... Ha! ha! mylisz się w tym razie, baronie Arnoldzie de Reiss, czyli raczej Owidyuszu Soliveau... my wkrótce zobaczymy ię z sobą.

Jednocześnie zapukano do drzwi i Magdalena, służąca z oberży, ukazała się w progu.

— Jakże zdrowie pani?—spytała.

— Lepiej... znacznie lepiej.

— Pani nie pojechała z panem baronem?

— Nie, jeszcze tu kilka dni pozostanę.

— W czym teraz pani usłużyć sobie rozkażesz?

— Czuję wielki apetyt... radabym zjeść obiad...

— Mamże go tu przynieść?

— Nie, nie! ubiorę się i pójdę do hotelu.

— Dobrze... przygotuję dla pani nakrycie w oddzielnym gabinecie.

— Lecz jeszcze słówko, Magdaleno. Zdajesz mi się być dobrą dziewczyną... Zechcesz-że mi wyświadczyć przysługę, za którą cię sownie wynagrodę?

— Jestem gotową... o cóż chodzi?

— Potrzebuję widzieć się z tym młodym mężczyzną, którego przyniesiono do was zranionego... z panem Duchemin...

— Rzecz najłatwiejsza.

— Lecz o tem, prócz ciebie, nikt wiedzieć nie powinien— dodała Amanda.

— Rozumiem...

— Mogłażbyś więc zaprowadzić mnie do jego pokoju, tak, aby tego nie spostrzeżono?

— Najchętniej.

— W jaki sposób?

— Przejdziemy podwórzem wokoło stajen i remiz, a następnie udamy się bocznymi schodami...

— I nikt nas nie zobaczy?

— Nikt! a kiedy pani iść zechce?

— Później oznaczę ci dzień i godzinę — rzekła Amanda, wsuwając luidora w rękę służącej. — Pan Duchemin jest może obecnie nazbyt cierpiącym i nie mógłby ze mną rozmawiać.

— Być może... — odpowiedziała Magdalena.— Czy mam powiedzieć mu, że pani chce z nim się widzieć?

— Niech Bóg zachował nakazuję ci najściślejszą tajemnicę w tym względzie.

— Dobrze, pani.

— Powiadomisz mnie, skoro pan Duchemin zdrowszym nieco będzie.

— Nie omieszkam.

— A teraz idź przygotować dla mnie nakrycie. Ubiore się i przyjdę na obiad.

Służąca pobiegła spełnić zlecenie.

XIII.

Amanda, ubrawszy się szybko, poszła do hotelu. Właścicielka, zapytawszy o stan jej zdrowia, dodała:

— Ależ pan baron opuścił nas... Czy tu jeszcze powróci?

— Jeżeli mu na to pozwolą jego interesa—odparła szwaczka.—Napisze on do mnie bezwątpienia... proszę więc, odbieraj pani wszelkie listy, jakieby przychodziły pod adresem Amandy Régamy.

— Dobrze.

Amanda, siadłszy przy stole, wbrew poleceniom doktora Richard, zajadała z wielkim apetytem, a około dziewiątej w towarzystwie Magdaleny wróciła do willi Róż.

* * *

List, napisany przez nią do pani Augusty, otrzymał skutek pożądaný. Prosiła w nim Amanda swoją zwierzchniczkę o przedłużenie urlopu, tłumacząc się koniecznością dłuższego pozostania przy ciotce chorej niebezpiecznie.

Pani Augusta, wzruszona szlachetnem uczuciem swej pracownicy, odpowiedziała przychylnie na jej prośbę i miała właśnie list wysłać na pocztę, gdy oznajmiono przybycie pani Harmant, oczekującej na nią w salonie. Właścicielka ma-

gazynu zdumioną została nagłą zmianą, w całej postaci swej klientki. Marya jaśniała powróconem zdrowiem. Policzki jej wypełniły się, wzrok mniej był gorączkowym, palące rumieńce zniknęły.

— Przybywasz pani do mnie z naganą... nieprawdaż?— pytała magazynierka.

— Za co? dlaczego?

— Za niewykończenie dotąd zamówionych kostyumów. Na moje uniewinnienie jednakże przytoczę łagodzące okoliczności. Nie chciałaś ich pani przymierzać, zkąd powzięłam przekonanie, iż nie są one zbyt pilno potrzebne.

— Tak, w rzeczy samej, przypominam sobie...— odrzekła córka milionera—byłam słabą natenczas i nie myślałam o ubiorach. Co robić obecnie? zachowam je chyba na rok przyszedły.

— Lecz wyjdą z mody...

— Mniejsza z tem... daruję je mej pokojówce. Mówmy raczej o tem, co mnie do pani sprowadza. Chciałabym wybrać fasony i materiały.

— Na toalety spacerowe?

— Nie, na ubiory wizytowe, balowe i toalety dla młodej mężatki.

— Dla młodej mężatki?—powtórzyła pani Augusta—będeż miała zaszczyt robić dla pani ślubne ubranie?

— Ma się rozumieć... — odpowiedziała Marya z uśmiechem. — Rzecz jest postanowioną w zasadzie, lecz dzień jeszcze nieoznaczony. Nagła decyzja w tym względzie nastąpić może lada chwila; nie chcąc zajmować się podobnemi szczegółami w wigilię dnia tak uroczystego, wolę to wszystko zawczasu sobie przygotować.

— Jestem na pani rozkazy... Niestety jednak nie mam obecnie robotnicy, jaka dla pani zwykle pracowała. Mocno jest chore biedne to dziewczę.

— Znajdziesz pani inną...—odrzekła sucho milionerka.—

v ż mi, proszę, najmodniejsze materye.

— Miałaby Łucya wypadkiem nie dogodzić w czym pani lub ją obrazić?—pytała modniarka.

— Proszę, nie wspominaj mi pani o tej dziewczynie!— przerwała Marya niecierpliwie.

— Zastosuję się do tego; radabym wiedzieć jednakże, w czym Łucya przewiniła? Jest obowiązkiem z mej strony nie trzymać robotnic, pozbawionych grzeczności w postępowaniu z klientkami. Łucya mimo, iż jest sierotą, w przytułku wychowaną, nie pozwoliła mi dotąd nigdy uskarżać się na siebie. Wyjątkowo mogę jej udzielić tylko pochwały...

— Nie obwiniam panny Łucyi... nie skarżę się na nią — odrzekła córka Harmanta. — Proszę jedynie, ażeby dla mnie na przyszłość nie pracowała i aby nie poważyla się nigdy pojawić w naszym mieszkaniu.

— Dlaczego?

— Ponieważ tak chcę!—zawołała Marya wyniosłe.

Pani Augusta, jak wiemy, uczuwała dla Łucyi tkliwe, macierzyńskie przywiązanie. Niezmiernie przeto bolesnem jej było to zachowanie się panny Harmant względem tej ubogiej dziewczyny.

— Mimo to wszystko — odpowiedziała grzecznie, lecz z silnem wewnętrznem postanowieniem — ja nie mogę poprzestać na wydanem mi przez panią poleceniu.— Wyrazy pani budzą we mnie podejrzenia względem tego dziewczęcia, w którym pokładałam dotąd zupełne zaufanie, dziewczęcia, które podczas pełnienia dla mnie obowiązków ciężko ranionem zostało! Pani masz do niej jakąś osobistą urazę... to jasno widzieć się daje! Mam prawo zatem nalegać o wyjawienie mi tejże... Jeżeli Łucya okazała się być niegodną mych względów, pozbawię ją takowych...

— Nie mam nic pani do powiedzenia na jej zapytanie— odpowiedziała z dumą córka milionera.

Jednocześnie gdy wymawiała powyższe wyrazy, unię się portyera, przysłaniająca drzwi salonu, i Łucya, śmierciabłada, ukazała się w progu.

— Gdy kto ma odwagę spełnić nieszczęście, panno Harmant! — wyrzekła głosem przerywanym z nadmiaru wzruszenia — niechaj ma mężstwo dokonać to w zupełności.

Marya zerwała się, ogarnięta gwałtownym gniewem.

— Łucyo... na Bogal... — wołała pani Augusta, drżąc cała.

— Och! przebac mi pani... — mówiło dziewczę błagalnie. — Stałam za portyerą z zamiarem wejścia, sądziłam, iż jesteś samą... traf dozwolił mi posłyszeć wyrazy, rzucone przez pannę Harmant, oburzenie mnie ogarnęło... nie byłam panią siebie. Lżyła mnie ona, wyrażając się w sposób, który mnie mógł zbeszcześcić wobec ciebie, pani... skutkiem czego mogłabym stracić twe zaufanie i życzliwość, które są mi tak drogiemi... pozbawić mnie środków zapracowania na życie! Wyrazy te dotykały mego honoru... mej uczciwości nieskalanej. Mogłażem słyszeć coś podobnego, nie stanąwszy we własnej obronie? Weszłam... i oto jestem... Proś pani panny Harmant, niechaj ci powie w mojej obecności, dlaczego żąda, abym u niej w pałacu nie pojawiła się więcej? Niech kończy swe dzieło potwarzy... słucham... i oczekuję!...

— Pani! — zawołała Marya, zwracając się ku modniarce — pani w swym domu zobelzać mnie pozwalasz?

— Ja proszę o wytłumaczenie... — przerwała Łucya — to nie jest obelgą. Ha! zapomniałaś więc już, panno Harmant — mówiła dalej — iż przed ośmioma dniami, ty, milionerka przybywszy na szóste piętro do ubogiej robotnicy na ulicę Bourbon, błagałaś ją tamże na klęczkach ze łzami?...

— Dość! — przerwała Marya rozkazująco.

— Nie! ty musisz mnie wysłuchać... Ja chcę usprawiedliwić się w oczach mej zwierchniczki, wołała córka Joanny. — Chcę tego! rozumiesz?

— Nie wytrzymam tu dłużej! — krzyknęła Marya, ku zwiom się zwracając.

v Narzeczona Lucyana Labroue zastąpiła jej drogę.

— Łucyo... och! Łucyo! — jękała z przerażeniem pani Augusta.

— Pozwól mi się pani usprawiedliwić!... — powtarzało dziewczę. — Mam wszelkie ku temu prawo... Potem uczynisz pani, co zechcesz. Panna Harmant nie przypomina więc sobie, iż przed ośmioma dniami padła przedemną na kolana, błagając, bym poświęciła się dla niej... Nie przypomina sobie, że ofiarowała mi wielką sumę pieniędzy, trzysta tysięcy franków, jeśli wyjadę z Paryża... A czy wiesz pani, w jakim celu to wszystko czyniła? Ponieważ jestem jej rywalką! Kocha człowieka, którego ja kocham i przez którego była kochaną! Oto przyczyna jej względem mnie nienawiści! Zapytaj ją pani, czy tak nie jest?

Marya, owładnięta wściekłością, darła w kawałki swą chustkę i rękawiczki.

— Jest ona zazdrosną zapamiętała!... — mówiła Łucya dalej — i zazdrość popycha ją do tego wstrętnego czynu, który potwarzają się zowie! No! panno Harmant... stoimy naprzeciw siebie... jeśli skłamałam, zadaj mi fałsz... proszę! kochasz Łucyana Labroue... chcesz go posiadać za jakąbądź cenę... Nie mogąc go podbić swemi wdziękami, kupujesz go sobie... zapłacisz go swojemi milionami, a mnie nienawidzisz dlatego, że kupując sobie jego nazwisko, nie możesz kupić i serca, które do mnie należeć nie przestanie. Powiedz, że kłamię... oskarż mnie. mów... oczekuję tego!

— Drżyj!... abym nie powiedziała!... — zawołała Marya, stając ze zbielełymi ustami i wzrokiem błyszczącym ponuro.

— Nie drzę... nie obawiam się ciebie! Spokojna, z podniesionem czołem, oczekuję z ust twych nowej potwarzy.

— Nie obawiasz się... chcesz, ażebym mówiła?

— Chcę tego!

— A więc... niech padnie na ciebie hańba i nieszczęście, jakie mi przemocą wydzierasz!

XIV.

— Hańba?... nieszczęście?...—powtórzyła Łucya, słuchając jak we śnie.

— Ja znam twoje nazwisko!—zawołała Marya.

— Imię moje i nazwisko jest Łucya... Będąc umieszczoną przez mamkę w przytułku dla dzieci, nosiłam numer dziewiąty. Ach!—zawołała po chwili—czynisz więc pani aluzję do mej matki... Jedna to więcej nikiemność z twej strony! Moja matka została skazaną... Co jednak panią obchodzić to może? masz-li prawo zobelzać niewinne dziecię tej matki? masz prawo brukać moją uczciwość potwarzą? Tak! ja się nazywam Łucya Fortier. Sprawiedliwość niesłusznie, być może, skazała mą matkę... Mam-że ja bądź co bądź za jej winę odpowiadać? Zkąd i dlaczego stajesz w roli mojej oskarżycielki? Znajdujemy się obecnie naprzeciw siebie. Ty jesteś bogatą, a jam ubogą!... ty nosisz nazwisko bez plamy, ja je mam skalane, a jednak pomimo wszystko, ja moje nazwisko wyżej cenię, twoje jest dla mnie wstrętnem!

— Pani!—zawołała Marya, zwracając się do oniemiałej modniarki — jeśli nie wypędzisz natychmiast tej dziewczyny, będę sądziła, że chcesz mnie wraz z nią zobelzać. Jej matka, dowiedz się pani, została skazaną na więzienie za kradzież, podpalenie i morderstwo. Dobra krew... nieprawdaż? Otóż to powód, dla którego prosiłam, by ta dziewczyna nie pojawiła się u mnie więcej. Ja się jej lękam!

— Panno Łucyo...—wyrzekła zimno pani Augusta—proszę pójść do kasy, odebrać swoją należność. Od dnia dzisiejszego przestajesz należeć do robotnic w moim zakładzie.

Łucya pobladła.

— Wypędzasz mnie więc pani? — wyjąkała stłumionym głosem.

Marya tryumfująco się uśmiechnęła. Spostrzegła ów uśmiech szyderezy córka Joanny.

— A! pani się cieszysz... nieprawdaz? — zawołała, patrząc śmiało w oczy nieprzyjaciółce. — Nie poprzestając na ukradzeniu mi tego, którego kochałam, na zdruzgotaniu mi serca, starasz się mnie ztąd wypędzić! Zatruwasz mój spokój, mą radość, chleb mi odbierasz obecnie? Wszędzie bowiem, gdzie się odtąd ukazę, zapytają mnie gdzie pracowałam? Wymienię panią Augustę, a ona, badana w tym przedmiocie, odpowie:

— Nie przyjmujcie do siebie tej dziewczyny... jej matka została skazaną za kradzież, podpalenie i morderstwo!

— Łucyol! — zawołała modniarka wzruszona do głębi.

— Ach! pani... — odrzekła robotnica, wybuchając łkaniem — okrutną względem mnie się okazałaś!... przebaczam ci jednak... przebaczam z całego serca! Co zaś do ciebie — dodała, zwracając się do Maryi — pomnij, iż Bóg ciężko cię ukarzał!

Po tych słowach wybiegła z pośpiechem.

Panna Harmant, zostawszy sama z panią Augustą, uspokoiła się zwolna.

— Dziewczyna ta jest szaloną! — rzekła pogardliwie. — Oskarża mnie, iż jej zabrałam człowieka, którego kochała... osądź pani sama, czy Lucyan Labroue mógł kochać córkę Joanny Fortier, morderczyni swojego ojca?

— Co pani mówisz? — zawołała magazynierka z osłupieniem.

— Niestety... tak było! Ale przestańmy mówić o tej całej sprawie. Dla dobrej sławy zakładu pani potrzebnem było, by ta dziewczyna usłyszała, co o niej mówiłam. Z jej własnych zeznań wiesz pani teraz, co ci przedsięwziąć należy. Proszę teraz o pokazanie mi materiałów, jakich żądałam przed chwilą.

Podczas, gdy się to działo w salonie pani Augusty, Jerzy Darier z adwokacką teką w ręku, wyszedłszy z domu, zbliżał się szybko ku ulicy Bonapartego. Zdał się być mocno zajęтым, a przybywszy na stację fiakrów, rozglądał się, pra-

gnąc przywołać jeden z takowych. Żaden z powozów nie znajdował się tam natenczas. Jerzy spojrział na zegarek.

— Potrzeba mi przybyć nieodwołalnie na dziesiątą—wyszepnął i zwrócił się ku drugiej stacyi, lepiej w powozy zaopatrzonej.

Biegąc z pośpiechem, nie dostrzegł, iż przy dobywaniu zegarka wysunęła mu się koperta z papierami, którą pozostawił za sobą na trotuarze.

O tak rannej stosunkowo godzinie niewielu przechodniów snuło się w tej stronie miasta. Koperta leżała czas jakiś na ziemi, gdy w oddaleniu ukazała się Joanna Fortier z koszami na plecach, napelnionemi chlebem. Nadszedłszy w to miejsce, dostrzegła pakiet zgubiony. Podniosła go i przeczytała adres: *Pan Jerzy Darier, adwokat.*

— Jerzy Darier...—powtórzyła—nie jestże to ów przyjaciel Lucyana Labroue? Tak... to on, jestem pewna, zgubił te papiery.

Koperta nie była zabezpieczona. Joanna idąc, dobywała z niej zawartość kolejno. Były tam notatki, arkusze stempowane i wyroki sądowe.

— Ważne to papiery, jak widzę—mówiła roznosicielka, kładąc je napowrót w kopertę. Ale gdzie mieszka ów Jerzy Darier. Będę się starała go odnaleźć i oddać mu tę zgubę.

I wsunąwszy ów pakiet na piersi, po za bawet płóciennego fartucha, szła ku ulicy Bourbon.

Tego to rana, gdy wychodziła do piekarni, Łucya jej powiedziała, iż pójdzie do szwalni pani Augusty. Nie zastawszy przeto w domu dziewczęcia, zabrała się do uprzątnania. Łucya wróciła około jedenastej. Wiemy, co ją spotkało w mieszkaniu modniarki. Wyszła ztamtąd gwałtownie wzburzona, znalazłszy się jednak na ulicy, spokój odzyskiwać zaczęła, rozmyślając nad swem obecnem położeniem.

Zostawszy niespodziewanie wydaloną ze szwalni, znalazła się nagle bez roboty, a tem samem bez środków do życia i tem nowem nieszczęściem ugodziła w nią ta, która zabrała

jej narzeczonego, której ojciec wydobyl umyślnie dowody, rzucające na nią hańbę jej matki. Przeszywająca boleść ścisła serce dziewczyny, rozpacz ogarniała jej duszę. Wszystko łączyło się, ażeby ją pognębić, wszystko wokoło niej w proch się rozpadało. Szła z wolna, wlokąc się raczej, niż idąc, ogarnięta zniechęceniem do życia.

— Jedyne źródłem mego utrzymania była praca — potwarzało nieszczęśliwe dziewczę — i tej pracy obecnie mnie pozbawiają!... Wkrótce we wszystkich szwalniach wiedzieć będą, że jestem córką kobiety, skazanej na więzienie za morderstwo i wszystkie drzwi z tej przyczyny zostaną przedemną zamknięte!

Przybywszy na ulicę Bourbon, uczuła się zupełnie bezsilną. Nie płakała, lecz oczy jej ponurym blaskiem jaśniały, gorączka krew jej paliła.

Joanna, posłyszawszy kroki nadchodzącej, ku drzwiom pobieгла. Spostrzegłszy zmienioną twarz dziewczęcia, w oczach jakoby wyraz obłąkania, odgadła, iż coś strasznego zająć znowu musiało.

— Boże, mój Boże! co ci jest, me dziecko? — wołała — wydajesz mi się być ciężko zgnębioną.

— Ach! otóż ostatni cios, matko Elizo — szepnęła Łucya — cios, który mnie zabije niechybnie!

— Lecz mów... na Boga, mów... co się stało?

— Wypędzono mnie...

— Wypędzono! — powtórzyła roznosicielka, załamując ręce.

— Tak... pani Augusta wyгнаła mnie z pracowni, jak ostatnią nędznicę... zostałam bez roboty... Po tylu mękach i torturach obecnie bez chleba pozostałam. Ach! umrzeć mi tylko... umrzeć teraz potrzeba!

Joanna uczuła nagły zamęt w głowie.

— Nie rozumiem cię... — wyrzekła — z jakich powodów, dlaczego twoja zwierzniczka poważyła się wydalić cię z pracowni?

— Dlaczego?—powtórzyła Łucya, dusząc się w konwulsyjnych łkaniach—dlatego, że jestem córką Joanny Fortier!

Roznosicielka padła na krzesło bezprzytomna prawie. Chwyliła się rękami za serce, którego ból straszny omal że nie rozsadził.

— Kto jej to powiedział? — pytała bezwiednie, nie wiedząc prawie co mówi.

— Jakto... nie odgadujesz, matko Elizo? Któżby, jak nie ów szatan w ludzkiej postaci, moja zacięta rywalka... córka człowieka, który umyślnie szperał w przeszłości mej matki, aby mi wydrzeć tego, którego kochałam... córka owego Harmanta... tego milionera!

XV.

Ponurem światłem zabłysły oczy roznosicielki chleba, blada jej twarz zapłonęła rumieńcem.

— Co oni mają przeciw tobie? — krzyknęła rozjątrzona głosem. — W czymżeś im przewiniła, ażeby cię tak męczyli, ładowali? Ojciec z jednej strony, córka z drugiej. Ach! to ciemnicy... prędzej lub później osiągnie ich sprawiedliwy sąd! Opowiedz mi to wszystko szczegółowo, drogie ukochane dziecko... opowiedz, jak się to stało?

Łucya, spełniając wolę Joanny, słabym, zaledwie dosłyszalnym głosem, opowiedziała spotkanie, jakie miało miejsce w sieni pan Augusty.

Roznosicielka słuchała z zaciśniętymi rękoma i drżącymi oburzeniem ustami.

— Wszystko to tym ludziom miałożby ujsć bezkarnie?— zawołała, gdy Łucya skończyła opowiadanie. Jakiem prawem owi nędznicy ładają życie uczciwej dziewczyny? zobelżają ją?... przywodzą do rozpacz i nędzy? Nie... nie... to niepodobna... tak zostać dłużej nie może!... Dotąd, me dziecko, nie miałaś nikogo, ktoby cię wspierał i walczył razem z tobą... lecz otóż ja

jestem! ja bronić cię będę! Potwarz i obelga liczą się do zbrodni karanych prawem... Do trybunału nam udać się trzeba!

— Do trybunału?—powtórzyła Łucya.

— Tak... przed sąd skargę wniesiemy ..

— Lecz w jaki sposób wziąć się do tego?

— Trzeba sobie obrać adwokata... i prosić go o poradę... powierzyć mu swoją obronę, następnie uzbroić się w odwagę i walczyć...

— Adwokata...—wyrzekło dziewczę w zadumie.

— Ach!—zawołała nagle Joanna, przypomniawszy sobie o znalezionych papierach.—Przyjaciel Lucyana, Jerzy Darier, jest adwokatem, nieprawdaż?

— Tak, matko Elizo.

— Czy wiesz, gdzie mieszka?

— Przy ulicy Bonapartego, numer 27.

— Doskonale! pójdę do niego...

— Nie czyni tego, dobra moja opiekunko... nie czyni... ja proszę!

— Dlaczego?

— Odmówi ci, będąc przyjacielem Lucyana.

— Kto wie, czy przeciwnie, nie naprowadzi na dobrą drogę towarzysza lat młodocianych? ela Ł.

— Ależ on jest adwokatem Harmanta... broni spraw jego...

— Cóż to znaczy? Wszystko, co mówisz, zachęca mnie tembardziej, bym się tam udała. Pan Darier może wpłynąć na swego klienta, aby zaprzestał podobnych nieczemności, może dać mu do zrozumienia, że potwarz jest zbrodnią, podpadającą pod prawo i żądać od niego zadośćuczynienia za krzywdy moralne przezeń zrażone. Muszę się widzieć z panem Darier, mam pozór przedstawienia się jemu... udzieli on mi rad swoich... powie, jak postąpić w tym razie. Nie... nie... nie wacham się dłużej, idę natychmiast do tego młodego adwokata.

I nie czekając na odpowiedź Łucyi, wybiegła ze stacyjki, a dopadłszy fiakra, jechała na ulicę Bonapartego. W ciągu dwudziestu minut stanęła przed drzwiami mieszkania Jerzego, gdzie zadzwoniła. Stara służąca pośpieszyła jej otworzyć.

— Czy pan adwokat Darier jest w domu?—pytała.

— Nie ma go. Pani zapewne przybywasz w interesie?

— Tak.

— Przykro mu będzie, iż pani daremnie się trudziłaś, lecz jest nieobecny... wyjechał.

— Wyjechał!... powtórzyła Joanna;—a na jak długo?

— Ma stawać w sprawie procesu w Tours. W przyszłą środę dopiero powróci.

— Aż w przyszłą środę!—zawołała roznosicielka.—Sześć dni oczekiwania!

— Cóż na to poradzić?

— Ha! trzeba czekać!... Przybędę zatem tu w przyszłą środę — szepnęła ze smutkiem Joanna i powróciła na ulicę de Bourbon.

Łucya, złamana silną gorączką, zmuszona była w łóżko się położyć. Biedna matka przeraziła się, zastawszy ją chorą. Myśl, iż jedyne to jej dziecko umrzeć może, napawała ją trwogą.

— I cóż, matko Elizo?—pytało dziewczę słabym głosem.

— Nie zastałam pana Darier... wyjechał z Paryża. Pójdę powtórnie do niego skoro powróci. Nie o nim to jednak myśleć nam teraz należy, ale o tobie, me dziecię... jesteś chorą...

— Gorączka mną owładnęła.

— Biegnę po doktora...

— To niepotrzebne.

— Przeciwnie... widzę, żeś mocno cierpiącą... opóźnienie ratunku może spowodzić niebezpieczeństwo. Nie przyjmuję żadnych uwag z twej strony... wychodzę!

I wybiegła pośpiesznie, aby za chwilę powrócić z leka-

Po wybadaniu dziewczęcia doktor zadumał się, marszcząc brwi z niezadowoleniem. Cierpienie było niebezpieczne. Zapalenie mózgu lada chwila objawić się mogło. Przepisawszy lekarstwo, doktor oddalił się, obiecując przybyć nazajutrz. Joanna poszła do apteki i wróciwszy z miasturą, siadła przy łóżku swej córki, nie opuszczając jej do chwili, w której zmuszoną była udać się do piekarni Lebreta.

* * *

Czytelnikom naszym wyjaśnić należy przyczynę obecności Raula Duchemin, urzędnika merostwa z Joigny, w pociągu strzaskanym skutkiem nieszczęśliwego wypadku na stacyi Bois-le-Roi. Pomimo, iż ów kupiec win, Petitjean, niegdyś posiadacz fałszywego weksłu, został w zupełności zapłaconym, rozsiewał na wszystkie strony oszezercze opowiadania, w jaki sposób Duchemin otrzymać mógł od nieznanego protektora tak niespodziewaną pomoc. Wkrótce wiedziano w całym Joigny, iż Raul, pozostający przedtem w nader kłopotliwym położeniu, miał teraz kieszenie pełne pieniędzy, i badać, rzecz naturalna, poczęto okoliczności, które mu pozwoliły spłacać swe długi.

Widziano Duchemin'a rozmawiającego z nieznanym, jedzącego z nim śniadanie i obiad. Wszystko to mieszkańcom wydało się podejrzanem, jakimi zwykle bywają rzeczy trudne do wytłumaczenia, co posłużyło do wielu plotek i ujemnych dodatków. Szemranie to, wzmagając się z dnia na dzień, doszło do uszu mera w Joigny, który wezwał do wytłumaczenia się swego podwładnego. Gdy Duchemin nie mógł dostarczyć jasnych na swą obronę dowodów, kazał mu się podać do uwolnienia, zagrożiwszy inaczej usunięciem go z merowstwa.

Dotknięty powyższym wyrokiem bez odwołania, młodzieniec podał się do uwolnienia ze służby i został nagle bez żadnych środków utrzymania. Nic jednak dotąd nie wiedziano o wydaniu przezeń dokumentu z archiwum, drżał jednak na myśl, iż kiedykolwiek wydać się to może. Wykradzenia aktu

autentycznego, do której to sprawy zrazu nie przywiązywał wiele znaczenia, wydało mu się teraz rzeczą wysokiej doniosłości, ztąd zamiast błogosławić człowieka, który go chwilowo wybawił z kłopotu, przeklinał owo spotkanie.

Ujrzawszy się nagle bez sposobu do życia, zamierzał jechać do Paryża, starając się tam o jaki urząd, by tym sposobem zniknąć z przed oczu sprawiedliwości, mogącej ścigać go i poszukiwać. Posiadając kilka sztuk złota, które starczyć mu mogły na parę tygodni wyżywienia, wsiadł do pociągu drogi żelaznej.

Ważny, a znany nam wypadek w czasie podróży, spowodował spotkanie pomiędzy nim a osobą, którą mógł uważać jako główną przyczynę swej zguby. Amanda Régamy była dlań fatalnością w rzeczy samej, posiadał on jednak w sobie prócz tego bogaty zasób występków i w braku pomienionej syreny, pierwsza lepsza ladacznica zdołałaby go poprowadzić do złego. Rana, jaką otrzymał w głowę, nie zagrażała mu utratą życia, dzięki staraniom, któremi go otaczano.

Amanda oczekiwała niecierpliwie chwili, w której stan zdrowia ranionego pozwoliłby się jej z nim widzieć. Była pewną, iż ów mniemany baron de Reiss nie ukaże się więcej w Bois-le Roi. Odgadła, że jego wyjazd krył w sobie zupełne zerwanie stosunków i postanowiła użyć Raula Duchemin, jako potężne narzędzie swej zemsty, odkrywając przed nim tajemnicę zbrodniczych czynów Owidyusza Soliveau.

Każdodziennie pytała służącej o stan zdrowia ranionego wreszcie pewnego wieczora otrzymała odpowiedź:

— Zdaje mi się, iż obecnie będzie pani mogła bez obawy odwiedzić tego biednego chorego.

Szwaczka pani Augusty zapromieniała radością.

— A w których godzinach mogłabym go znaleźć samego i przejść, nie będąc przez nikogo widzianą?

— Po południu... przed wizytą doktora.

— A zatem jutro zaprowadzisz mnie do niego.

XVI.

Nazajutrz przybywszy na śniadanie do hotelu, oczekiwała na ukończenie zwykłych zatrudnień Magdaleny. Około pierwszej, na dany znak przez dziewczynę, udała się wraz z nią na dziedziniec, a ztamtąd schodami na drugie piętro budynku. Służąca zatrzymała się przy drzwiach w końcu korytarza.

— Tutaj to, pani...— wyrzekła zcicha, nachylając się ku idącej za sobą. I po tych słowach szybko się oddaliła.

Amanda zatrzymała się przy drzwiach, zdjęta nerwowym drżeniem. Rozmyślała, jak usprawiedliwić swoje przybycie przed tym, którego swoim postępowaniem omal nie powiodła na zgubę. Stała przez kilka minut onieśmielona, zdjęta obawą, aż wreszcie, zapanowawszy nad sobą, zastukała.

Raul Duchemin spoczywał na łóżku z obwiązaną głową; stan jego zdrowia wszelako polepszył się o tyle, iż był w stanie prowadzić rozmowę. Nie przewidując, ktoby doń przybywał, odrzekł na puknięcie we drzwi: „Proszę wejść!”

Amanda ukazała się w progu. Raul do tego stopnia ujrzeć się jej nie spodziewał, iż zrazu nie poznał jej wcale. Podniósłszy się na łóżku zdziwiony, siadł i patrzył na nią. Szwaczka pani Augusty przystąpiła ku niemu z uśmiechem!

— Amanda!—zawołał, poznavszy ją nareszcie — ty tu... tu... u mnie?

— Tak, mój kochany—odrzekła, biorąc podaną sobie rękę jego. — Obecność moja dziwić cię nie powinna. Byłam świadkiem katastrofy, jaka cię spotkała. Poznałam ciebie, gdy omdlałego przenoszono cię tutaj. Pytałam się o ciebie każdego dnia, oczekując chwili, w której mogłabym widzieć się z tobą.

Słuchając powyższych wyrazów, Duchemin przypomniał sobie cały ogrom nieszczęść, jakich ta dziewczyna była przyczyną.

— Czego żądasz odemnie?—cierpko zawołał.—Wszak wiesz, że pomiędzy nami wszystko na zawsze skończone! Obecność twoja przywodzi mi na pamięć całą moc mojej niedoli. Jeżeli zostałem raniony i cierpię, tobie to zawdzięczam!

— Mnie?—zawołała ze zdumieniem.

— Tak... tobie... tobie! — mówił z goryczą. — Straciłem urządowanie, które było dla mnie jedynym środkiem do życia, musiałem uciekać z Joigny, gdzie ścigała mnie ogólna pogarda; wszystko to skutkiem tego wekslu, jaki sfalszowałem, ażeby ci dostarczyć pieniędzy, co omal nie poprowadziło mnie na galery. Przez ciebie zniesławiony zostałem!.. Przez ciebie cała moja przyszłość stracona! Ach! czemuż śmierć mnie nie spotkała podczas tego wypadku na drodze żelaznej! Zgon byłby dla mnie dobrodziejstwem... wyzwoleniem... gdy życie będzie mi teraz jedną ciężką katuszą.

I nieszczęśliwy ukrył twarz w dłoniach, łkając, jak dziecko.

— Przyjmuję twoje wymówki—mówiła drżącym głosem Amanda—czuję, iż zasłużyłam na nie w zupełności. Byłam szaloną, pozwalając się uwodzić fantazjom i nie przewidując straszliwych następstw, jakie one sprowadzić mogły. Bezwieinnie sprawiłam ci wiele złego... czuję to... żałuję całym sercem... i proszę, przebac mi... przebac! nie gniewaj się, że przysła tu bez twego zezwolenia... Gdybym prosiła o nie, wiem naprzód, iż nie zechciałbyś mnie przyjąć, a moja wizyta ma nader ważne powody, upewniam. Może zdoła ona rozproszyć twoje na przyszłość obawy, o jakich mi mówiłeś przed chwilą. Zechcesz-że mnie wysłuchać?... zechcesz mi odpowiedzieć?

— Zmuszony to jestem uczynić, skoro tu jesteś. Oóż mi chcesz powiedzieć... o co zapytać?

— Przedewszystkiem, ostrzedz cię przysła przed niebezpieczeństwem, jakie ci zagraża obecnie.

— Niebezpieczeństwo? — zapytał, drżąc pomimowolnie.

— Tak.

— Jakie?

— Wszak znasz barona de Reiss?

Nazwisko, którego Duchemin usłyszeć nie spodziewał się bynajmniej, uderzyło go jak cios wymierzony młotem. Przyszedł mu na myśl dokument wydany z archiwum merostwa, zadrzął i zbladł nagle.

— Baron de Reiss? — powtórzył, patrząc badawczo w Amandę.

— Tak... człowiek, którego przed miesiącem widziałeś w Joigny, a który trzyma w swych rękach twój weksel sfałszowany.

Duchemin osłupiał z przerażenia.

— Zkąd znasz go? — wyjąknął przytłumionym głosem. — Zkąd wiesz, że on ma ten weksel?

— Wiem o tem, jak wiem zarówno, że kupił od pani Delion zeznanie, podpisane przezemnie, którem mnie baron de Reiss zgubić może. Musiał on mieć ważne powody, sam osądź, wykupując i zbierając papiery tego rodzaju... Wiem wszystko w tym względzie, co mnie dotyczy, lecz nie znam szczegółów, odnoszących się do ciebie, a poznać je pragnę.

— Dlaczego chcesz wiedzieć?

— Rzecz prosta, bo jesteśmy zagrożeni razem... Powinniśmy się więc połączyć dla zwalczenia wspólnego wroga.

Duchemin drżał cały.

— Lecz czegóż ja mam się obawiać z jego strony? — zapytał po chwili.

Amanda wzruszyła ramionami.

— Nie udawaj idyoty!.. — odpowiedziała — wiesz, iż mnie nie łatwo omamić. Mów, jakim sposobem baron de Reiss został posiadaczem wekslu przez ciebie podpisanego?

— Płacąc za takowy.

— Jak dawno znasz tego człowieka?

— Widziałem go natenczas po raz pierwszy w życiu.

— I przyszedł ci z pomocą przy pierwszym spotkaniu?

— Tak.

— Opowiedz mi szczegółowo jak to było?

Duchemin nie ufając Amandzie, opowiedział jej w krótkości o przysłudze jaką mu wyświadczył de Reiss, wykupując jego weksel z rąk Petitjean'a, nic nie wspominając o wydanym dokumencie!

— I podobne dobrodziejstwo ze strony nieznanego człowieka nie wydało ci się być dziwnem? — zapytała.

— Zastanowiło mnie to w rzeczy samej.

— A mimo to, przyjąłeś jego ofiarę...

— Dlaczego miałem odmówić, gdy pomoc przybyła w chwili, gdym stał ponad przepaścią.

— I sądzisz, iż ja uwierzę, że ten człowiek nic w zamian nie żądał od ciebie?

— Cóżby miał żądać?

— Gdybym wiedziała, nie pytałabym o to. Proszę cię, Raulu, powiedz mi prawdę... całą, czystą prawdę... Powtarzam, iż jesteśmy zagrożeni oboje, trzeba nam się zabezpieczyć przed tym nędznikiem, który takim jest baronem, jakim ty jesteś.

— Nie jest baronem... Wiesz o tem na pewno?

— Przysięgam!

— Jak więc on się nazywa?

— Owidyusz Soliveau. Jest to złodziej i morderca, który chciał mnie otruć przed kilkoma dniami.

— Chciał otruć... ciebie?

— Tak.

— Gdzie?

— Tu... w Bois-le-Roi.

— Ależ dlaczego?

— Odgadywał, że go przeniknęłam do głębi. Ten człowiek popełnił nie mało zbrodni. Wiem o jednej, która mu się nie udała, z przyczyny nieprzewidzianego zbiegu okoliczności.

— Jakaż to zbrodnia? — pytał żywo Duchemin, zaciekawiony opowiadaniem młodej szwaczki.

— Posłuchaj.

XVII.

— Przed miesiącem mniemany baron de Reiss, a właściwie Owidyusz Soliveau, chciał zabić pewną, młodą dziewczynę, wychowaną w przytułku dla opuszczonych dzieci. Zbrodnia ta w połowie mu się tylko udała. Sierota z otrzymanego ciosu nożem w piersi ciężko chorowała, lecz nie umarła.

— Jesteś pewną, że on był tym mordercą?

— Istnieją powody, jakie mi każą w to wierzyć. Dla zupełnego upewnienia się w tym względzie, brak mi jedynie drobnych wskazówek. Skoro mi one dostarczone zostaną, będę miała broń w rękę i zemścić się będę mogła... tak, zemścić, za nas oboje, ponieważ mamy w tym razie wspólny interes.

Wyrazy Amandy: *Sierota wychowana w przytułku dla opuszczonych dzieci*, uderzyły Raula Duchemin, zdwajając jego obawę.

— Znasz imię tej sieroty? — zapytał.

— Tak... nazywa się ona Łucya.

— *Łucya!* — zawołał, zrywając się Raul. — Ach! jest to imię, zapisane na dokumencie, jaki on wymógł odemnie.

— Dokument... jaki dokument? — pytała, drżąc ciekawością Amanda.

— Ten człowiek, w zamian za wyświadczoną mi przysługę, zmusił mnie do wydania sobie z merostwa w Joigny protokołu, zawierającego zeznanie mamki, gdy szła oddać do przytułku dla opuszczonych dzieci w Paryżu, małą dziewczynkę powierzoną sobie na wykarmienie, za którą płacić jej zaprzestano — mówił Duchemin.

— Jakiż on mógł mieć w tem interes?

— Mówił, że jest ojcem tego dziecka.

— Ach! nędznik... łotr... łotr nikczemny!.. — wołała szwaczka z oburzeniem. — Teraz nie pozostaje mi już żadna wątpliwość w tym względzie. On to Łucyę chciał zabić, a do-

kument wydobyty od ciebie, miał posłużyć bezwątpienia do jakiejś obmyślanej zbrodni. Ależ nie miałeś prawa wydawać mu podobnego dowodu?

— Zapewne... pozostać on winien w archiwum me-rostwa.

— Gdyby się przekonano, żeś mu go wydał, cóż nastąpić by mogło?

Duchemin zadrżał. Wielkie krople potu spływały mu po czole.

— Byłbym zgubionym! — odrzekł — zgubionym bez odwołania!

— I nie zemścisz się na zbrodniarzu, który pozornie ocalając cię z przepaści, wtrącił w głębszą jeszcze?.. nie będziesz się starał wydrzeć mu tego dokumentu, jaki zgubić cię może, a razem i owego nieszczęsnego wekslu, jakim cię zmusza do milczenia.

— Zemścić się... wyrwać mu te papiery... Och! jakże-bym pragnął!.. lecz w jaki sposób to uczynić?

— Ufasz mi? — pytała Amanda.

Duchemin zawahał się z razu, po kilku sekundach:

— Tak! — odpowiedział.

— Pozwolisz mi działać i obiecujesz mi bezwzględne posłuszeństwo?

— W zupełności. Cóż czynić trzeba?

— Śledzić gorliwie mniemanego barona de Reiss.

— Lecz jestem przykuty cierpieniem do łóżka...

— Nic nie ma nagłego... skoro wolno ci będzie wychodzić, działać poczniemy.

— Do podobnego jednak działania potrzeba pieniędzy, a ja ich nie posiadam.

— Dostarczę ci takowych. Oboje pomimowolnie musimy zostać współnikami w tej sprawie, inaczej zgubi nas ten człowiek. Najgłówniejszą rzeczą obecnie jest dowiedzieć się, gdzie mieszka Owidyusz Soliveau, ów mniemany baron.

— Jak to... ty niewiesz dotąd jeszcze tego?..

— Winnam być szczerą w obec ciebie... Posłuchaj... wszystko ci opowiem.

I przedstawiła szczegóły swej znajomości z Owidyuszem, znane już naszym czytelnikom.

Duchemin słuchał jej z uwagą.

— Rzecz jasna — rzekł — iż lotr ten użył cię zręcznie za narzędzie do swych występnych zamiarów, jak również, iż obecnie pragnie on ukryć się w cieniu. Jak go odnaleźć... gdzie szukać?

— Soliveau zostaje w bliskich stosunkach z pewną, znakomitą osobistością, zamieszkałą w Paryżu. Dla córki tegoż wykonywają się ubiory u pani Augusty — odpowiedziała Amanda. — Tą osobistością jest bogaty przemysłowiec, posiadający fabrykę w Courbevoie. Niektóre okoliczności podejrzewać mi każą, że istnieje pewien ściślejszy związek, między pomienionym przemysłowcem a tym rozbójnikiem. Obaj mieszkali kiedyś razem w New-Jorku... Za pomocą więc jednego, łatwo będzie dowiedzieć się gdzie mieszka drugi. Bywają u siebie, wiem o tem, a śledząc w około domu i fabryki Harmant'a, odkryjemy mieszkanie pseudo barona de Reiss. W ten to sposób działać nam teraz należy.

— Do tego jednak zdrowym być potrzeba.

— Zaczekamy na twe wyzdrowienie. Głównem jest, abyśmy działali jednoznacznie. Chcesz zostać mym sprzymierzeńcem?

— Jestem nim.

— I przebaczasz mi złe, jakie wyrządziłam ci pomimo wolnie?

Raul podał jej rękę.

— Przebaczam w zupełności... — odpowiedział. — Jesteśmy teraz przyjaciółmi, zemścimy się razem, obezwładniając tego nikczemnika.

— Jedność wytwarza siłę! — zawołała Amanda. — Bądź spokojnym... to udać się musi. Potrzeba nam tylko uzbroić się w cierpliwość. Wracam do szwalni pani Augusty

i oczekiwać będę na twe wyzdrowienie. Każdej niedzieli będąc wolną przyjadę tu, aby ten dzień z tobą przepędzić; gdybym zaś wypadkiem przyjechać nie mogła, napiszę do ciebie, a ty odpowiesz.

— Zobaczymyż się jutro?

— Tak... przyjdę pożegnać się z tobą. A może potrzebujesz pieniędzy?

— Nie... towarzystwo drogi żelaznej ponosi wszelkie koszty mego utrzymania, płaci lekarstwa i doktora.

— Powinniby ci prócz tego udzielić jakieś wynagrodzenie...

— Właśnie towarzystwo dzisiejszego rana ofiarowało mi pięć tysięcy franków drogą zobopólnej ugody.

— I przyjąłeś?

— Ma się rozumieć. Suma ta za dni kilka wyplaconą mi zostanie... Być może, iż proces z nimi przyniósłby mi więcej, nie chcę jednakże występować publicznie, dla wiadomych ci obecnie powodów.

— Cóż myślisz robić w Paryżu?

— Pragnę się starać o jakie urządowanie, skoro ukończymy tę sprawę z baronem.

— W jakim rodzaju chciałbyś otrzymać zajęcie?

— Sam nie wiem... nie jestem wszechstronnym... lękam się, aby to potłuczenie głowy, nie oddziałała źle na stan mego zdrowia.

— Nie trwóż się... — odparła szwaczka z uśmiechem. — Mam pewną myśl, która zaradzi wszystkiemu, a zatem jutro, do widzenia! Bądź spokojnym, zwyciężymy na pewno! Ciesz się, że z tobą widzieć się mogła. I oddaliła się rozradowana, snując najpomyślniejsze rezultaty. Współka zawarła z Raulem Duchemin powinna nieodwołalnie stać się zgubą dla Owidyusza Soliveau; wierzyła w to niezachwianie.

cc Czytelnicy nasi dobrze zapewne poznali charakter Raula Duchemin. Był to człowiek bez woli, bez energii, słaby jak cieć, łatwy do prowadzenia i nakłonienia ku złemu.

Gdy ujrzał wchodzącą do siebie Amandę, ogarniony gniewem, począł jej czynić wymówki; wystarczyło jednak młodej kobiecie wyrzec słów kilka, by znów odzyskać utraconą przewagę i popchnąć Raula do zemsty nad nieznanym.

Gdyby był nie otrzymał pieniędzy z Towarzystwa dróg żelaznych, Amanda byłaby mu dostarczyła takowych, obok czego zrobiła nadzieję wyrobienia mu jakiej posady. Widoki te w połączeniu z obezwładnieniem niebezpiecznego tyle wroga, stawiały mu przed oczyma przyszłość w barwach jaśniejszych.

Nazajutrz rano przybyła Amanda, przynosząc wraz z sobą adres szwalni pani Augusty, a odebrawszy od Duchemin'a przysięgę na przymierze zaczepno-odporne, odjechała do Paryża.

Przedłużony jej urlop przez zwierzchniczkę nie upłynął jeszcze, modniarka zadziwiła się przeto, widząc wchodzącą swą szwaczkę.

— Ciotce mojej znacznie się polepszyło — mówiła przybyła — przyspieszyłam więc mój powrót, ażeby pani w robotach nie sprawiać różnicy.

— Wdzięczną ci jestem — odrzekła modniarka — bo w rzeczy samej, bardzo mi ciebie tu brakowało.

Dziewczyna bezwzględnie pełnić zaczęła swój obowiązek. Pragnąc dowiedzieć się co zaszło nowego w magazynie podczas jej nieobecności, wypytywała o to swe towarzyszki. Historia spotkania się Łucyi z panną Harmant, scena, mająca miejsce w salonie pani Augusty, szybko się rozgłosiła. W całej szwalni o tem jedynie teraz mówiono. Dowiedziała się zatem Amanda, iż Łucya, jako córka kobiety, skazanej na dożywotnie więzienie, została wydaloną przez właścicielkę magazynu i że panna Harmant jako tryumfująca rywalka miała zaślubić Lucyana Labroue.

Szczegóły te, jak wiemy, mocno zainteresowały Am^{la} gusty
Wysnuwała ztąd sobie wnioski następujące:

— Owidysz Soliveau działał za wiedzą Pawła Harmant, nie ulega wątpliwości, iż przedewszystkiem obaj zabić Łucyę postanowili, gdy zaś cios się nie udał, szukali innych sposobów dla jej zgładzenia, a do tychże dostarczył broni Owidyszowi Duchemin.

Wszystko to jasno się przedstawiało Amandzie, przeczuwała jednak i odgadywała istniejącą wśród tego jakąś głęboką tajemnicę, mającą łączność tak z przeszłością, jak i terażniejszością mniemanego barona i przemysłowca milionera, którą to tajemnicę odkryć postanowiła.

— Za jakąkolwiek bądź cenę zemścić się muszę na tym nędzniku Soliveau! — powtarzała sobie. — Tem gorzej dla jego współników, których wraz z nim obrzucę hańbą.

XVIII.

Nie odbierając żadnej wiadomości od mniemanego barona de Reiss, Amanda zmuszoną była oczekiwać na wyzdrowienie Raula.

W pierwszą nadchodzącą niedzielę, wsiadłszy na pociąg drogi żelaznej, udała się do Bois-le-Roi.

Kilka dni upłynionych od chwili jej wyjazdu, dodatnio wpłynęły na zdrowie Duchemin'a. Wstawał on już i chodził, czując się znacznie wzmocnionym na siłach.

Po przybyciu swem młoda szwaczka opowiedziała mu szczegóły zajścia pomiędzy Łucyą Fortier, a panną Harmant, w mieszkaniu pani Augusty, i młodzieniec teraz dopiero zrozumiał całą doniosłość winy jaką popełnił, wykradając z archiwum merostwa w Joigny dokument dla Owidysza.

Amanda spędziła dzień cały z Raulem.

Doktór, przybywszy wieczorem oświadczył, iż rekonwalescent za trzy lub cztery dni będzie mógł opuścić Bois-le-Roi co usłyszawszy, Amanda oznajmiła Duchemin'owi, aby się nie kłopotał o mieszkanie dla siebie, ponieważ cały swój skromny

423

apartament w Batignolles oddaje do jego rozporządzenia, poczem odjechała rozradowana.

* * *

Marya zataiła przed ojcem szczegóły zajścia, jakie pomiędzy nią a Łucyą miało miejsce w magazynie przy ulicy św. Honoryusza. Czuliła dobrze, iż cała ta scena nie przynosiła jej zaszczytu, a ztąd nie miała się czem chwalić. W głębi duszy cieszyła się z tego nikczemnego czynu. Cios, jaki zadała swojej rywalce, był strasznym; to ją zadawałniało, reszta nie obchodziła jej wcale.

Rozpacz i gniew Łucyi przekonywały ją, iż ta dziewczyna uważała Lucyana za straconego dla siebie. Roskoszowała się owem zwycięstwem, oczekując niecierpliwie dnia swoich zaślubin. Mimo jednakże radości, jaka napełniała jej serce, nieuleczalna choroba dokonywała w niej zwolna dzieła zniszczenia. Cierpienie piersiowe podkopywało życie tej wątłej istoty, wiodąc ją zwolna ku mogile.

Lucyan, widując od czasu do czasu pannę Harmant, zauważył te straszne postępy złego i mówił sobie, iż małżeństwo z umierającą było rzeczą, niepodobną do spełnienia. Unikał też o ile możności, znalezienia się sam na sam z córką przemysłowca. Harmant szanował odłączenie się Lucyana, jakie usprawiedliwiała rana, dotąd niezabliźniona w sercu młodzieńca.

Stosownie do jego woli udzielono mu czas na zapomnienie ciosu, jaki weń uderzył, ojciec wszelako i córka woleliby raczej, aby to zapomnienie rychlej nastąpiło.

Lucyan nie zapomniiał dotąd o swej boleści. Nazbyt gorąco kochał on Łucyę, aby w przeciągu dni kilku mógł wyrwać z serca tę miłość. Kochał ją dotąd jeszcze i wbrew wszelkiej strasznej rzeczywistości, miał nadzieję, iż jakiś nieprzewidziany wypadek wyrówna i zagładzi przepaść, jaką zły los wykopał pomiędzy nim a ukochanem tyle dziewczęciem.

Smutek Lucyana zamiast się zmniejszyć, powiększał się z każdą chwilą. Skoro tylko znalazł się sam, pogrążał się w rozmyślaniu, spędzając w niem długie godziny. Harmant, nie widząc wokoło siebie żadnego niebezpieczeństwa, spoglądał w przyszłość bez obawy, wierząc niewzruszenie, iż nadejdzie czas, w którym Labroue zostanie jego zięciem. Jedynie choroba Maryi przygnębiała go, łudzić się jednak starał nadzieją, mówiąc sobie, iż małżeństwo dokona jej uzdrowienia.

*

*

*

W ową niedzielę zrana, gdy Amanda jechała do Boile-Roi, aby się widzieć z Duchemin'em, Lucyana szedł ulicą Assas do mieszkania Edmunda Castel, wskutek otrzymanego listu, w którym artysta zapraszał go, by przybył spędzić dzień ten w towarzystwie jego oraz Jerzego.

Młody adwokat po powrocie z Tours zastał również list od Edmunda z zaproszeniem.

Lucyana przybył pierwszy do artysty, który go przyjął w małym saloniku, obok pracowni.

— Dzięki ci... — rzekł, ściskając rękę młodzieńca — żeś zadość uczynił mej prośbie. Oczekując na przybycie Jerzego, porozmawiajmy nieco. Uczyniłem, coś żądał względem Joanny Fortier.

— I cóż?

— Z dobrego źródła otrzymałem wiadomość, iż nie ma jej dotąd w więzieniu. Zniknęła bez śladu. Od chwili jej ucieczki z Clermont policya na ślad jej trafić nie może. Agenci obecnie liczą na jakiś nieprzewidziany wypadek, który ją odda w ich ręce.

— Tak więc... zniknęła nadzieja, abym mógł zbadać tę kobietę — rzekł Lucyana.

— Te prawda... wiadomo jednak, że czasami niepodobna przewidzieć, w jakich okolicznościach się stają takie rzeczy. A cóż się dzieje z panem Harmantem? — pytał artysta.

— Wciąż jedno i to samo.

— Nie starałeś się zbliżyć do panny Maryi, o co cię prosiłem?

— Nie miałem odwagi...

— To źle!

— Na co się przyda ta nagana...

— Może ci ona być bardziej pożyteczną, niż sądzisz... — rzekł Edmund Castel poważnie.

Lucyan spojrział na artystę zdziwiony.

— Czyż może istnieć w przeszłości jakikolwiekbydzwiązek między rodziną Harmanta a mną, albo moimi?

— Ależ to o teraźniejszości, a nie o przeszłości pragnę pomówić z tobą, mój drogi — odrzekł Edmund Castel, nie chcąc wyjawiać zupełnie swych myśli. — Sądzę, iż dla ciebie dobrze byłoby, gdybyś pozwolił wierzyć Harmantowi, iż gotów jesteś zaślubić jego córkę, a nadewszystko dać poznać pannie Maryi, iż o Łucyi już zapomniałeś i że twoje serce, będąc teraz wolnem, może do niej jedynie należeć.

— Ależ Marya jest prawie umierającą — zawołał Labroue. — z każdą godziną zbliża się ona do grobu.

— Jedną przyczyną więcej, aby jej umrzeć pozwolić w złudzeniu szczęścia, gdy takowego dać jej nie możesz w rzeczywistości.

— Kłamać mi zatem pan każesz?

— W niektórych ważnych okolicznościach jest to koniecznem.

— Ależ dlaczego miałbym to tu czynić? — pytał Labroue, któremu rady artysty dziwnemi się być zdawały; — widzę, że pan coś ukrywasz przedemną... Musisz mieć jakieś ważne powody, namawiając mnie do odgrywania komedyi wobec Harmanta i jego córki, komedyi i fałszu, do których wstąpić czuję.

Edmund Castel przesunął ręką po czole.

— Mylisz się — rzekł — panie Lucyanie, mniemaj wiem coś, co pragnę ukryć przed tobą. Nic nie wiem...

mogę o niczem cię powiadomić, daję ci na to słowo honoru, bywają jednak przeczucia w życiu człowieka, którym należy być posłusznym. Gdy one cię opanują, wyzwolić się z pod ich władzy niepodobna. Jedno z takich jasnovidzeń powiada mi, iż wkrótce poznamy prawdziwego mordercę twojego ojca i że to światło za pomocą Pawła Harmant wyblśnie spośród ciemności jak również mam niezachwiane przekonanie, iż Łucya Fortier zostanie twą żoną. Kiedy? w jaki sposób?—tego nie wiem... nie pytaj mnie o to... ponieważ nie zdołałbym ci odpowiedzieć.

— Rzecz dziwna — odrzekł Labroue;—będąc przekonanym, że Łucya zostanie mą żoną, radzisz mi pan udawać przed panną Harmant, że ją kocham?

— Na pozór zdaje się to być szaleństwem, a jednak tak trzeba! Nie wątpij o mnie... miej ufność i czekaj.

— Czekać z boleścią w duszy...

— Jeszcze raz powtarzam... tak trzeba! Za kilka tygodni będę miał do spełnienia święty obowiązek względem Jerzego. Proszę, bądź cierpliwym do owej chwili, spełniaj me rady, jakkolwiek dziwnemiby one ci się wydawały. Nie rozważaj... nie badaj... bądź posłusznym... o! wszystko.

— Dobrze... spełnię, co pan żądasz... ufam panu w zupełności.

— Będziesz starał się zbliżyć do panny Harmant?

— Tak!...

— Dozwolisz jej wierzyć, że ją kochasz?

— Ach! jak mi to ciężkiem będzie... uczynię to jednak.

— Oznajmisz Harmantowi, iż dzień twego małżeństwa z jego córką jest bliskim?

— Ależ, pani! jest to stawić moje życie na kartę! — zawołał Labroue. Usłyszawszy, iż zgadzam się na jego propozycję, będzie się starał przyspieszyć to małżeństwo.

— Co ci to szkodzi, jeśli takowe do skutku nie przyjdzie.

— Pan mnie przestraszasz!—szepnęła Lucyan. — Jakąż mą ukrywasz przedemną tajemnicę?

— Żadnej! chcę oddać ci Łucyę... oto wszystko... i dojdę do tego; wymagam jednak od ciebie bezwzględnego, ślepego posłuszeństwa przez dwa lub trzy tygodnie, tego tylko żądam dla zapewnienia wam szczęścia! Przyrzekasz mi je zatem?

Lucyan skinął głową na znak potwierdzenia.

— A teraz proszę, zechciej mi udzielić niektórych objaśnień.

— Względem kogo?

— Co do Łucyi Fortier.

— Co do Łucyi?...

— Tak... Gdyśmy się spotkali po raz ostatni u Jerzego, mówiłeś, żeś miał w ręku dowód autentyczny, poświadczający, iż to dziewczę jest córką Joanny Fortier.

— Tak, panie. Dowód pomieniony mam dotąd u siebie.

— Masz go tu, być może?

— Nie... pozostawiłem go w mieszkaniu.

XIX.

— Zatem to pan Harmant dostarczył ci ów dokument?—
mówił Edmund Castel.

— Tak, w rzeczy samej...

— Mógłżebyś mi go udzielić?

— Wrócę natychmiast do mieszkania i przyniosę
panu.

— Nie jest to tak pilnem... proszę cię tylko, ażebyś mógł
mi go jutro dostarczyć.

— Otrzymasz go pan niezawodnie—rzekł Lucyan, zdziwiony
pytaniami artysty.

Edmund odgadł myśli młodzieńca,

— Wszystko to wydaje ci się niezrozumiałem — zagadnął—
nie dziw się jednak. Razem z tobą poszukuję prądu w ciemnościach,
w których się ona ukryła. Powziąłem dla ciebie szczerą,
gorącą życzliwość, a ztąd obchodzą mnie

i ci, których kochasz. Nad całą tą sprawą wiele rozmyślałem, rozważałem wiele, obecnie posiadam pewne wskazówki, które w każdym razie nie są bez znaczenia. Być może, iż nie doprowadzą mnie one do celu, zaniedbywać ich jednak nie mogę, nie powinienem. Znam oprócz tego, jak ci już o tem kiedyś wspomniałem, wiele wpływowych osobistości, którzy gotowi będą przyjść mi z pomocą. Będę korzystał z nich nie dla siebie, ale dla ciebie, mój drogi.

— Dziękuję panu... dziękuję z całego serca — rzekł Lucyan wzruszony.

— Podziękujesz mi później, skoro rzecz się uda. Powiedz mi teraz, czy Harmant wyjechał z Paryża na kilka dni przed dostarczeniem ci dowodu świadczącego, iż Łucya jest córką Joanny Fortier?

— Nie, panie... jestem pewien, że nigdzie nie wyjeżdżał,

— A nie wiesz, w jaki sposób zdołał pozyskać ten dokument?

— Nic nie wiem... Oddając mi go, zdawał mi się być wiedzionym ku temu jedynie własnym interesem.

W tej chwili dał się słyszeć od strony drzwi głos dzwonka i Jerzy Darier wszedł do pokoju.

— A! jesteś tu?—zawołał spostrzegłszy Lucyana.—Otóż przyjemna niespodzianka, którą mi zacny opiekun przygotował.

— Tak, mój kochany—odrzekł artysta;—wiedziałem, iż wspólne spotkanie radość wam sprawi. Przepędzimy razem dzień cały.

— Jakże... zadowolonym jesteś ze swej podróży do Tours?—pytał Labroue młodego adwokata.

— W zupełności. Bronilem dwie sprawy, jedną, jako też i drugą wygrałem. Trafił mi się jednak przykry wypadek...

— Cóż takiego?

— W dniu mego wyjazdu zgubiłem ważne papiery.

— Zarzuciłeś je gdzie, być może—rzekł Castel.

— Niestety, zgubiłem! Sądząc, że zostawiłem je w domu, telegrafowałem do mojej starej służącej, by przeskoczyła, doniosła mi o tem. Nic nie znalazła w moim pokoju. Na powtórne z mej strony polecenie, udała się do naczelnika policyi, do sali, w której składają zgubione przedmioty, odnalezione przez uczciwych ludzi. I tam nowy zawód, papierów nie było. Z tej przyczyny, nie mogąc bronić trzeciej mej sprawy, prosiłem o odłożenie takowej na dwutygodniowy przeciąg czasu, postanowiwszy na rogach ulic rozlepić ogłoszenia, iż hojnie wynagrodzę znalazcę, któryby mi zechciał je odnieść, w przeciwnym bowiem razie mój klient proces przegrać może. W powyższych papierach znajdowały się listy, oraz różne ważne dowody, na jakich wygrana opartą była.

— Kazałeś więc już rozlepić te ogłoszenia? — pytał Edmund.

— Tak, dziś od rana... Są już zapewne na rogach ulic. Tysiąc franków nagrody, wydrukowane wielkimi literami, temu, kto mi odniesie pomienione papiery.

- Mogłyby one, powiedz mi, przydać się komu?
- Nikomu, jak tylko mnie i mojemu klientowi.
- W takim razie odnajdziesz je ne pewno.
- Mam nadzieję.

Tu na oznajmienie służącego, iż śniadanie na stole, wszyscy trzech razem udali się do przyległego pokoju. Przeplatane poufną pogadanką, śniadanie to przedłużyło się do godziny drugiej po południu.

— Możebyśmy przeszli do pracowni? — rzekł Edmund — dym z cygar czyni tu powietrze zbyt ciężkiem.

— Zgoda! — odpowiedzieli obaj, idąc za artystą.

— W pośrodku pracowni na stalugach, stał bliski już wykończenia portret Maryi Harmant. Obraz, przedstawiający przyaresztowanie Joanny na probostwie, był, jak zwykle, zielonem płótnem nakryty. Jerzy z Lucyanem oddawali pochwały portretowi córki milionera, w którym podobieństwo doskonale pochwyconem zostało.

— Zatem panna Harmant przybywała tu dla pozowania?—zapytał Jerzy.

— Tak... pięć, czy sześć razy. Jest to niespodzianka, jaką przygotowuje ona dla ojca na dzień jego urodzin.

— Zatem, rzecz pilna?

— Bynajmniej... uroczystość ta nastąpi dopiero za trzy miesiące.

— Czyż ona tego doczeka?—rzekł Lucyan.—Od pewnego czasu zmieniła się w sposób, któryby mnie mocno zatrzwożył, gdybym był jej ojcem.

— Suchotnicy — odezwał się Jerzy—utrzymują się przy życiu dłużej, niż inni chorzy.

Labroue chciał na to coś odpowiedzieć, gdy wszedł służący z oznajmieniem, iż panna Harmant przybyła i chce się widzieć z panem Castel.

— Co? panna Harmant tu? dziś... w niedzielę?—zawołał zdumiony artysta. Ależ to nie dzień pozowania... Rzecz dziwna, co ona może żądać?...

To mówiąc, udał się do salonu. Marya podeszła naprzeciw wchodzącego.

— Przebacz mi pan—wyrzekła—iż przerywam ci dzień odpoczynku, niedzielę. Czuję, iż moja wizyta jest niewłaściwą, mam wszakże ważny powód na moje usprawiedliwienie.

— Odwiedziny pani w każdym razie niewymowną sprawiają mi przyjemność — rzekł Edmund uprzejmie; — mówiłaś pani, iż ważny powód... O cóż więc chodzi?

— Mój ojciec przybędzie tu za chwilę; chce prosić pana o pewną przysługę, a gdy przy tej sposobności zapragnie zwiedzić pańską pracownię, nie radabym była, by spostrzegł mój portret, bo wtedy przepadłaby cała niespodzianka.

— Tę prawdę... nie łatwiejszego jednak, jak zadowolnić panią w tym razie—rzekł Edmund, zadrżawszy pomimowolnie na myśl o odwiedzinach przemysłowca.—Pan Harmant, mówiłaś pani, ma przybyć tu za chwilę?

Handwritten notes in purple ink on the right margin, including the name "Edmund" and other illegible characters.

Handwritten mark "ac" in the bottom left corner.

Handwritten number "47" in the bottom right corner.

— Tak; zatrzymał się w drodze, wstąpiwszy do fabrykanta, z którym wiązą go interesa, korzystając z czego pośpieszył, ażeby pana uprzedzić.

— Zatem pani tu pozostaniesz, oczekując na przybycie ojca?

— Tak... radabym, jeżeli moja obecność nie sprawi panu różnicy.

— Bynajmniej, a tem więcej będzie to dla mnie przyjemnem, iż pani spotkasz u mnie dwie osobistości, z którymi przed chwilą o pani mówiłem.

— O mnie?—zawołała zdziwiona.

— Tak... o pani... a mówiliśmy o niej wiele złego.

— O! temu nie wierzę!—odparła śmiejąc się Marya.

— Masz pani słuszość, przeczuwasz bowiem, iż znajdujesz tu szczerych przyjaciół. Pozwolisz-że sobie przedstawić ich pani?

— Nietylko pozwolę, lecz proszę o to! Przedewszystkiem wszakże ukryj pan gdzie mój portret jaknajprędzej?

— Natychmiast to uczynię. Racz pani przejść zemną do mojej pracowni.

Tu podał ramię córce Harmanta.

Z chwilą, gdy weszli, dziewczę wydało okrzyk, spostrzegłszy Jerzego i Lucyana. Ze zdziwieniem jej łączyło się głębokie wzruszenie, krasniała i bladła naprzemiany.

Obaj młodzieńcy powstali, witając ją ukłonem. Lucyana mocno zakłopotany, rzucił na Edmunda badawcze spojrzenie. Wzrok artysty zdawał się mówić mu nawzajem:

— Odwagi... odwagi! Wypełnij rady, jakich ci udzieliłem dziś rano.

Jerzy Darier pierwszy pośpieszył ku wchodzącym.

— Obecność pani — rzekł—jest dla nas prawdziwą niespodzianką.

— Jak mnie zarówno spotkanie panów—odpowiedziała.—Pozwolisz pan jednak—dodała—iż uczynię mu małą wymówkę. By panów ujrzeć, potrzeba aż tutaj przyjeżdż-

z ulicy Murillo, o której, jak widzę, całkiem zapomnieliście obadwa.

To mówiąc, spojrzała na Lucyana. Syn Juliana Labroue opuścił głowę w milczeniu.

— Nie zapominamy o pani—rzekł Jerzy — czego najlepszym dowodem, iż mówiliśmy o niej przed chwilą.

— Pan Castel powiadomił mnie o tem.

— Widzisz więc pani, iż mówię prawdę.

— Dodał nawet—wyrzekła Marya z uśmiechem—iż mówiliście panowie o mnie wiele złego.

— Tak? a więc skłamał tym razem.

W czasie powyższej rozmowy, Edmund Castel nakrywszy płótnem portret, stojący na stalugach, usunął go wraz z niemi w kąt pracowni.

XX.

— Mówiliśmy o pani źle do tego stopnia — zaczął żartobliwie artysta — iż cieszymy się całym sercem wiadomością, jaką nam pan Labroue udzielił.

— Jakaż to wiadomością?—pytała Marya z niepokojem, patrząc na Lucyana.

— Pan Labroue — rzekł żywo Edmund — mówił nam o wysoce szlachetnych propozycjach, czynionych mu przez ojca pani; mówił o wspólnie projektowanej, a co więcej o związku, zapewniającym mu świetną i szczęśliwą przyszłość.

Córka Harmanta, promieniejąc radością, podeszła ku Lucyanowi zarumieniona i błyszcząca szczęściem

— Mówiłeś pan to... panie Lucyanie? — szepnęła, podając mu rękę.

Spojrzenie Edmunda, wskazało młodzieńcowi od-

...rzekł, pokonywając w sobie wstręt
...Jerzemu o propozycjach

pana Harmant, o wspólnie majątkowej i związku, jakiego godnym mnie być osądził.

— I dodałeś pan... — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Dodałem... żem zrazu się wahał, nie wierząc w urzędywistnienie snu, jaki przewyższał moje nadzieje.

— Aleś w to uwierzył nareszcie... — z pośpiechem dodał artysta — i przyjąłeś ofiarowane sobie szczęście.

Marya owładniona wzruszeniem, niepostrzegła, że to Edmund Castel, a nie Lucyan kończył przerwane zdanie.

— Mówiłżeś pan mojemu ojcu o decyzji z swej strony — pytała rozradowana.

— Dotąd... jeszcze nie, pani... — wyszepnęła Labroue.

— Lucyan jest nieco bojaźliwym — rzekł Edmund — myśli zazwyczaj więcej, niż mówi, ale my obaj z Jerzym Darrier mamy nadzieję zostania wkrótce świadkami jego szczęścia.

— Świadkami? — pytała Marya z uśmiechem — w jakim znaczeniu?

— W najprostszym w świecie! Lucyan znając dobrze naszą dla siebie życzliwość, nie zawarłby małżeństwa bez zaproszenia nas na zaślubiny.

Oczy dziewczęcia zapełniły się łzami.

— O! przebac mi pan... — wyrzekła, spoglądając na artystę, z wyrazem głębokiego uczucia... — przebac jeśli płaczę... są to łzy radości... tobie je zawdzięczam i z głębi duszy za nie ci dziękuję... Nigdy nie zapomnę, że to ty je, panie, wywołałeś!

Po chwili zwróciła się ku Lucyanowi:

— Do pana teraz należy — wyrzekła z uśmiechem — porozumieć się z mym ojcem i oznaczyć dzień ślubu. Wszystko, co postanowicie obaj, naprzód przyjmuję.

Jerzy nie rozumiejąc dobrze, co zaszło, leciał się, że przed jego przyjściem Lucyan z Edm...
zapewne musieli, zlekka skinął głową.

Głos dzwonka oznajmił...

— To mój ojciec! — zawołała Marya. — Pamiętaj pan, aby nie dostrzegł portretu.

— Nie zobaczy go... bądź pani spokojną.

Służący oznajmił wizytę przemysłowca, Edmund polecając, aby wprowadzono go do pracowni, szepnął na ucho Lucyanowi:

— Ależ do czarta!.. grajże sam twą rolę! Niepodobna mi jest wciąż mówić za ciebie!

Harmant zdziwił się również jak i Marya, zastawszy w pracowni Lucyana i Jerzego, do którego zwrócił się po przywitaniu z gospodarzem.

— Jak to dobrze — rzekł — iż spotykam cię tu, mój adwokacie, mam ważny do ciebie interes.

— O cóż chodzi?

— Jutro ci opowiem w twojem mieszkaniu. Będziesz w pałacu Sprawiedliwości?

— Nie! jutro z domu nie wychodzę wcale...

— Przybędę więc z rana do ciebie, a teraz kochany nasz artysto — rzekł do Edmunda — należy mi tobie wyjaśnić cel moich odwiedzin, jeżeli moja córka dotąd tego nie uczyniła.

— Nie... oznajmiłam tylko, że przybędziesz, mój ojcze.

— Wyznałem ci kiedyś — mówił dalej przemysłowiec — że nie znam się wcale na malarstwie. Brak mi poczucia artystycznego. Jest to najslabsza ma strona.

— Nie można być ojcze wszechstronnie doskonałym... — wtrąciła Marya z uśmiechem.

— A jednak mimo to bywa, iż jakiś obraz zachwyci mnie, lub też przeciwnie; nie mógłbym jednak potwierdzić, czyli koloryt jest dobry, albo rysunek poprawny. Ulegam instyktownie wrażeniu z kąd łatwo w błąd wprowadzonym być mogę. W takim wypadku, potrzebuję znawcy do ocenienia. Marya tworzy w pałacu małą galerię obrazów, jaka niezaprzeczenie wysoką wartość mieć będzie, ponieważ pan, panie Castel, kierujesz jej wyborem w tym razie. Otóż proponują mi nabycie obrazu Rubensa, poręczając za autentyczność, lecz czyli on

jest oryginałem w rzeczywistości, o to nam właśnie chodzi. Obraz ten niezmiernie mi się podobał — mówił dalej przemysłowiec — słyszałem jednak, że istnieje mnóstwo kopij ze starożytnych oryginałów; nie jestże ów Rubens jedną z podobnych? Żądają za utwór ten wysoką cenę, którą byłbym gotów wreszcie zapłacić, ale nie chciałbym zostać oszukany. Otóż, przychodzę prosić cię, panie Castel, byś zechciał rozciąć tę kwestyę.

— Jestem na pańskie rozkazy... Gdzież się znajduje ów obraz?

— U jednego z kupców, przy ulicy des Martyrs.

— U Weymanna... nieprawdaż?

— Tak... właśnie...

— Obraz ten ma metr wysokości, a około dwudziestu metrów szeroki, przedstawia *Bogów Olimpu*.

— W rzeczy samej... widzę, iż pan znasz to dzieło. Cóż o nim sądzić? mamże go nabyć?..

— Nie czyni pan tego.

— A więc wadliwym jest ono?

— Bynajmniej... utwór to średniej wartości, lecz w każdym razie jest to tylko kopia, nie więcej. Weymann żąda od pana pięćdziesiąt tysięcy franków. Oryginał wartby był tę sumę, lecz kopia najwyżej warta sto luidorów. Zatem nie kupuj pan.

— Dzięki... po tysiąc razy dzięki, za tą dobrą radę. Wyświadczyłeś mi pan prawdziwą przysługę.

— Szczęśliwy jestem, że mogłem to uczynić — odrzekł artysta. — A teraz — dodał — kochany panie Harmant, mam z panem o czemś pomówić.

— Jestem na pańskie usługi... o cóż chodzi?

— Wyznacz mi proszę dzień i godzinę, w których mógłbyś mnie przyjąć u siebie.

— Od pana to zależy... drogi, kochany artysto. Miałbyś o czemś ważnem ze mną do pomówienia?

— Tak... jestem w tym razie posłem mego przyjaciela Lucyana Labroue — rzekł Edmund, rzucając na młodzieńca znaczące spojrzenie.

Zrozumiawszy je Lucyan, zadrżał.

— Aha! — odparł przemysłowiec, spoglądając na młodego dyrektora robót.

— Wiadomo panu — mówił dalej Castel — że Lucyan jest sierotą.

— Tak... tak! — wymruknął Garaud, marszcząc czoło pomimowolnie.

— Otóż pan Labroue prosił mnie, bym mu zastąpił ojca w tym razie...

Harmant podniósł się nagle zmieniony. Czoło rozpozdziło mu się, jak gdyby cudem.

— Zgaduję o co chodzi... — wyrzekł z uśmiechem. — Lucyan przyjmuje moją ofiarę, stanowimy więc odtąd, panowie, jedną rodzinę, ponieważ obaj jesteście serdecznymi przyjaciółmi Lucyana, możemy zatem mówić otwarcie. Pan Labroue, wiedziony wysoką delikatnością, co w każdym razie zwiększa mój szacunek dla niego, prosił mnie o udzielenie sobie czasu dla głębszego rozmyślenia. Chwila zdecydowania się jego nadeszła, co zawdzięczam wpływowi panów i za co szczerze dziękuję. Zgaduje zatem, iż celem pańskiej wizyty u mnie, kochany artysto, będzie prośba Lucyana o rękę mej córki?

Lucyan, ulegając pomimowolnie wpływowi Edmunda Castel, wyjąknął z cicha:

— Tak, panie...

— Zatem kochani przyjaciele, prośba przyjęta zostaje — rzekł Harmant — ponieważ naprzód była przewidziana. Potrzebujemy jedynie teraz ułożyć niektóre przedwstępne szczegóły... Liczę w tym względzie na pana Jerzego Darier, uważając go, jako pierwszorzędnego prawnika, zechee on ułożyć wraz ze mną paragrafy kontraktu, jakie przedstawię następnie mojemu notaryuszowi.

— Jestem na pańskie rozkazy — rzekł Jerzy.

— Chodzi tu o pannę Maryę... — dodał z uśmiechem Harmant.

Dziewczę rzuciło się ojcowi w objęcia, okrywając go pocałunkami.

— Och! jakżem szczęśliwa!.. — wołała — zdaje mi się, że to sen jakiś rozkoszny...

— Otóż tedy co proponuję... — zawołał przemysłowiec. — Czy macie panowie jaki ułożony projekt na dzień dzisiejszy?

— Mieliśmy go razem przepędzić — odparł Edmund Castel.

— Nie rozłączając się przeto, sprawicie mi największą przyjemność, obiadując wraz z nami przy ulicy Murillo.

Propozycja milionera ułatwiła wykonanie planu artyście, nie pytając się więc swych obu młodych gości:

— W imieniu moich przyjaciół i swoim — odrzekł — przyjmuję pańskie zaproszenie.

— Zatem spieszę do domu... — wołała Marya z radością. — Ty ojczyce wynajdziesz sobie powóz w mieście, ja naszym odjeżdżam do pałacu, dla wydania poleceń względem przygotowania obiadu.

— Jedź, moje dziecko... — rzekł Harmant — wkrótce połączymy się z tobą.

XXI.

Edmund Castel, odprowadziwszy ku drzwiom córkę milionera, wrócił do swojej pracowni. Jednocześnie Harmant podszedł ku Lucyanowi.

— Mój drogi chłopcze — wyrzekł ze wzruszeniem — czynisz mnie najszczęśliwszym z ludzi... najszczęśliwszym z ojców. Odtąd uważam Maryę za ocaloną. Obojętność twoja, zabijała ją! Widząc ją z wolna zbliżającą się do mogiły, umierającą... złorzeczyłem ci pomimowolnie. Och! wy panowie nie wiecie... nie macie wyobrażenia... — dodał, ocierając

ręką lzy jakie mu z oczu płynęły, ile ja kocham to dziecię... dla mnie ona jest wszystkim! radością... szczęściem... i życiem! Kocha Lucyana do szaleństwa... z trwogą oczekiwałem z jego strony wyroku ocalenia, a jeden Bóg wie tylko, ile cierpiałem w tej niepewności... Najcięższemu wrogowi nie życzę, by przeżył mąk tyle! Dziś jednak to wszystko minęło... odżywam!.. dzięki wam... i tobie dzięki Lucyanie.

Labroue uściśnął bezwiednie prawie, podaną sobie rękę Harmanta, zapytując siebie:

— Jesteż to sen?.. kiedyż nastąpi wreszcie przebudzenie?..

Jerzy Darier uczuł się być głęboko wzruszonym ojcowską miłością tego człowieka... miłością, jaka zdawała się przyniatać Lucyana. Edmund Castel, patrzył spokojny na tą całą scenę, myśląc w głębi:

— Czyliż podobna, aby ów człowiek, ogólnie szanowany i poważany, ów ojciec wzorowy, mógł być ostatnim z nędzników... nie... nie! ja chyba się mylę.

Przemysłowiec wkrótce odzyskał zwykłą spokojność.

— Dzień dzisiejszy... — rzekł — jest najszczęśliwszym dniem w mojem życiu! Wybaczcie memu wzruszeniu... radości oprzeć się nie byłem w stanie...

— Cieszę się, iż tyle szczęśliwa awila, spotkała pana w mym domu... — rzekł Castel. — Oby ona była długotrwałą!.. — dodał z cicha.

To mówiąc, artysta zbliżył się ku obrazowi, pokrytemu płótnem zielonem, umieszczonemu na stalugach przy bocznej ścianie pracowni, z czego korzystając Darier, zapytał:

— Wykończyłeś nareszcie ów obraz opiekanie, który pozwoliłeś mi nazywać *moim obrazem*?..

— Prawie zupełnie, zostaje jedynie dopełnić parę drobnych szczegółów, a całość będzie gotową.

Harmant podniósłszy głowę, słuchał z uwagą.

— Mówicie panowie o nowem dziele, jakie wykończyłeś, chany artysto? — zapytał.

— Niby nowym... wszak nie zupełnie...

— Jak mam to rozumieć?

— Wykończam obecnie pracę, zaczęłą przezemnie przed dwudziestu jeden laty.

— Jest to krajobraz jaki?

— Nie; raczej scena, nader dramatyczna, jaką naszkicowałem z natury, na krótko przed śmiercią ojca Lucyana.

Harmant zadrżał na te wyrazy, lecz tak niepostrzeżenie, że artysta tego nie zauważył.

— Co pan powiadasz? — zapytał Labroue Edmunda.

— Szkicowałem tę scenę nazajutrz po spełnionej zbrodni w Alfortville, a kobieta, skazana za zabójstwo twojego ojca, jest główną osobą na tym obrazie. To mówiąc, Castel utkwil wzrok w przemysłowca.

Garaud stał zimny, obojętny, mimo, iż nerwowe drżenie wstrząsa nim całym.

— Mówisz pan, że Joanna Fortier jest główną osobą na tym obrazie — powtórzył Labroue.

— Tak... i zapewniam, iż podobieństwo jest zdjęte z całą ścisłością — odparł artysta.

Tu jednocześnie odrzucił płótno i obraz wyż opisany, ukazał się nagle przed oczyma obecnych. Wszyscy trzej utkwili wzrok w dziele mistrza. Edmund obserwował pilnie Harmanta. Dostrzegł zmarszczenie brwi jego i lekkie drżenie ust. Przemknęło to jednak z szybkością błyskawicy, poczem twarz przemysłowca przybrała zwykły wyraz spokoju.

— Scena ta, uprzytomnia chwilę — mówił malarz dalej — w której Joanna Fortier, schroniwszy się na probostwo de Chévry, do wuja Jerzego, została tamże przyaresztowana przez mera i żandarmów.

— A co znaczy to dziecko? — pytał milioner najspokojniej.

— Tem dzieckiem jest syn pani Darier, dzisiejszy adwokat, którego oto pan widzisz, przy nim stoi siostra proboszcza. Ów mały konik tekturowy nie jest wymysłem fantazyi.

to zabawka, jaką pani Darier dała w podarunku swemu maleńkiemu synkowi.

— A więc... — zawołał Jakób Garaud, z przerażającą bezczelnością — a więc... widzimy kobietę, która uczyniła sierołą Lucyana!

— Tak, panie...

— Szczególny wypadek — mówił łotr dalej — który pozwolił ci odtworzyć postać tej nędzniczki!..

— Tak, w rzeczy samej... — odrzekł artysta — zaiste, okoliczności nieraz dziwne wytwarzają sytuacje.

Lucyan nie spuszczał oczu z postaci Joanny, podczas, gdy Jerzy wpatrywał się w panią Darier, mniemaną swą matkę.

— Rzecz szczególna!.. — zawołał nagle Labroue.

— Cóż takiego?

— Uderza mnie tu pewne podobieństwo...

— Joanny Fortier z młodą dziewczyną, Łucyą, którą znasz, nieprawdaż? — mówił Edmund. — Nic w tem niema dziwnego, ponieważ Łucya jest jej córką.

— Nie; o inne chodzi tu podobieństwo.

— O inne?

— Tak... mogę się mylić, ponieważ różnica wieku jest wielką... Idzie tu o kobietę przeszło pięćdziesięcioletnią...

— O jaką kobietę? — zapytał żywo Garaud.

— O pewną robotnicę, której rysy twarzy wielce są zbliżonemi do oblicza tej oto postaci. Jest to uboga, ale poczciwa w całym znaczeniu istota, która pod względem charakteru nie ma wspólnego z Joanną Fortier.

— Zamieszkuje ona w Paryżu?

— Tak... od bardzo dawna. Niegdyś mieszkała w Alfortville, gdzie jak powiada, znała mojego ojca.

— Czem się trudniła natenczas? — badał Harmant dalej.

— Tem co i obecnie, była roznosicielką chleba.

— A nazywa się?

— Eliza Perrin... Lecz ja się mylę—mówił Labroue— wpatrując się lepiej, przyznaję mój błąd. Podobieństwo powstało być może wskutek nateżonej mej wyobraźni, pomimo, iż ogólny wyraz twarzy dziwnie łączy z sobą obie te istoty.

Harmant pochyliwszy się nad obrazem, usiłował pokryć zmięszanie.

— To płótno... — myślał — zbyt wiele wspomnień w sobie zawiera... do mnie ono należeć powinno.

Edmund zapuścił na obraz zasłonę.

— Ów utwór pański, jest do sprzedania zapewne? — pytał milioner.

— Pozwól pan, iż zapytam, dlaczego badasz mnie o to?

— Uważam, iż praca to znakomita, utwór pierwszorzędnej wartości, który byłby ozdobą mojej galeryi, ztąd chciałbym go nabyć.

— Nadaremnie, niestety!.. panie Harmant — rzekł Edmund z uśmiechem. — Zkąd w człowieku, który jak sam o sobie mówiłeś przed chwilą, nie zna się wcale na malarstwie, taki zapal do tego obrazu?

— To prawda... — odparł z lekkim pomięszaniem przemyślowiec. — Pańskie to dzieło wywarło na mnie tak głębokie wrażenie... Gotów jestem kupić ten obraz chociażby za najwyższą cenę!

— Zachodzi ważna trudność... kochany panie.

— Jaka?

— Obraz ten już do mnie nie należy.

— Właściciel zgodziłby się może na ustąpienie takowego?

— Wątpię... czyli raczej, jestem pewien odmowy z jego strony. Mój wychowaniec Jerzy Darier, nie posiadał ani portretu swej matki, ani portretu wuja, księdza Langier. Ofiarowałem mu w darze to płótno i jestem pewien, że za na

szą sumę pieniędzy nie zgodziłby się na odstąpienie drogiej pamiątki rodzinnej.

— Masz słuszność, mój opiekunie! — zawołał Darier. — Żałuję, iż święty obowiązek nie pozwala mi spełnić życzenia pana Harmant, sądzą wszak, iż uczucia jakimi przejętym się być czuję, usprawiedliwią mnie przed nim zupełnie.

— Rozumiem... — odrzekł niechętnie Garaud — lecz razem żałuję, iż podobnie piękne dzieło z rąk mi się wymyka... nie mówmy o tem więcej. A teraz panowie... — dodał — czekając na obiadową godzinę, możebyśmy użyli razem przejażdżki po lesie?

Wszyscy trzej przyjęli ów projekt, a jednocześnie służący wszedł z oznajmieniem, iż panna Marya przysłała powóz, który oczekuje przed domem.

— Otóż składa się doskonale! — zawołał Harmant z przybraną wesołością. — Nie będziemy potrzebowali szukać na mieście wehikułu, mogąc się w moim we czterech pomieścić wygodnie. Jedziemy tedy do Kaskady.

— Lecz pozwolicie mi przed tem zmienić ubranie — rzekł malarz — powrócę za chwilę.

I przebierając się w przyległym pokoju, myślał sobie:

— Ten człowiek na seryo wydaje mi się być podejrzany. Po kilkakrotnie dostrzegłem zmianę w jego fizyognomii, mimo, iż posiada zadziwiającą władzę panowania nad sobą. Jest to łotr ostatniego rodzaju!.. mam to nie zbite przekonanie... brak mi jednakże dowodów... zkąd je odnaleźć? Nie traćmy nadziei!..

Podczas przebierania się Edmunda, Harmant, mimo silnego wstrząśnienia jakie mu sprawiła cała ta scena, usiłował rozmawiać swobodnie z Jerzym i Lucyanem. Mówił głośno, czyniąc cudowne projekta na przyszłość dla swego zięcia i córki. Widział podźwigniętą z popiołów fabrykę w Alfortville i postanowił, aby z początkiem przyszłego tygodnia zajął się Lucyan przygotowaniem potrzebnych ku temu planów.

Wejście Edmunda Castel, przerwało rozmowę, jaka torturowała Lucyana. Opuściwszy we czterech pracownię, wsiedli do powozu, jadąc do Bulońskiego lasku.

XXII.

Obiad w pałacu, przy ulicy Murillo, miał być przygotowanym na siódmą godzinę. W domu tak dostatnio zaopatrzonym, jak dom Harmanta, dość było wydać rozkazy kierującemu kuchnią, by na razie utworzyć najwykwintniejszy obiad. Nie brakło czasu ku temu, jako też i środków zarówno i kucharz przyrzekł wytworzyć cuda, według dań, wskazanych przez córkę milionera.

Maryja, kołysana słodkimi złudzeniami, czuła się być nad wyraz szczęśliwą. Niecierpliwość z jaką oczekiwała swego przyszłego małżonka, ojca i zaproszonych przyjaciół zadowoloną została nareszcie. O wpół do siódmej powóz wjechał w pałacowy dziedziniec.

Dziewczę z rozpromienioną twarzą, uśmiechem na ustach, wybiegło na najwyższy stopień wschodów, ku przyjęciu przybyłych. W kilku godzinach odzyskała nagle utracone siły.

Edmund Castel wstępował raz pierwszy w progi pałacu przemysłowca. Panna Harmant, ująwszy go pod rękę, pokazywała salony, a nadewszystko galeryę obrazów, jakie dotąd kierowana wskazówkami artysty zgromadzić zdołała.

Zaledwie owa wędrówka wewnątrz pałacu się ukończyła, wszedł kamerdyner świętecznie ubrany, oznajmując z ministeryalną powagą, iż obiad na stole. Uczta odbyła się dość wesoło, mimo, iż widniał pewien odcień przymusu na Harmancie, Lucyanie i Edmundzie.

Po obiedzie przeszli wszyscy do małego salonu, gdzie podano kawę, likiery i cygara. Około dziesiątej Harmant kazał podać sobie papier i pióra, a siadłszy obok Jerzego przy małym stoliku, rzekł do niego:

— Mój drogi adwokacie, nie odmów mej prośbie i zechciej nakreślić projekt kontraktu, jaki zaniosę jutro do notaryusza, a który podpiszemy za dni piętnaście.

— Jestem na pańskie usługi... — rzekł Darier, biorąc pióro z powagą. — Lecz nie ma potrzeby na teraz spisywania aktu w stałej i ostatecznej formie. Nie posiadam dokładnie technicznych wyrażeń notaryatu. Spiszę po prostu notatkę, jaką mu pan doręczysz, a z której niech on ułoży akt, według reguły.

— Właśnie... tego pragnę.

— A zatem, najprzód... — ozwał się Edmund Castel, paląc cygaro — trzeba wymienić nazwisko ojca narzeczonej, jej własne, oraz przyszłego małżonka.

— Ma się rozumieć... — rzekł Jerzy — racz mi więc szanowny kliencie podyktować swoje ze szczegółami.

— *Paweł Harmant* począł głośno milioner — *syn Cezarego Harmant i Klary Dezyderyi Soliveau, jego małżonki, obojga zmarłych w Dijon, Côte d'Or 21-go Kwietnia 1832 roku; wdowiec, ożeniony z Noëmi Mortimer, urodzoną w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w New-Jorku, mechanik, konstruktor i właściciel, zamieszkały w Paryżu przy ulicy Murillo.*

Edmund Castel słuchał z nateżoną uwagą, notując sobie każdy wyraz w pamięci.

— Dobrze... — rzekł Jerzy — a teraz stan cywilny narzeczonej.

— *Marya Noëmi Harmant, córka Pawła Harmant i Noëmi Mortimer, zmarłej małżonki tegoż. Urodzona w New-Jorku w dniu 30-tym Czerwca 1864 roku.*

— Doskonale! Zwróćmy się teraz do narzeczonego.

Lucyan jak we śnie pogrążony, a ulegający sile Edmunda Castel, powstał, dyktując:

— *Lucyan, Julian Labroue, urodzony w Alfortville, departamencie Sekwany, w dniu 9-tym Października, syn Juliana Adryana Labroue i jego małżonki Maryi Bertier, obojga zmarłych.*

— Otóż skończone — rzekł młody adwokat. — Teraz, racz mnie pan powiadomić — dodał, zwracając się ku Harmantowi — jakie szczegóły chcesz pan zamieścić w kontrakcie małżeństwa? I z jakim zastrzeżeniem wydajesz pan za mąż swą córkę?

— Pod regułą wspólności majątkowej, nadającej małżonkowi bezwzględna władzę zaufania. Wnoszę mej córce milion w posagu i uznaję, jako Lucyan Labroue wnosi zarówno milion, nie licząc w to jego gruntów w Alfortville.

— Lecz czemu ja panie zasłużyłem na tak wielki majątek, jakim mnie obdarzasz? — zawołał Lucyan powstając.

— Czemu zasłużyłeś? — rzekł Harmant — zapewniasz szczęście mej córce, to dla mnie wszystko!

— Prócz tego kontraktu — dodał — spisujemy pomiędzy sobą akt wspólki, połowa dochodów do ciebie należeć będzie... nie nie mów proszę... nie staraj się mnie przekonać, iż postępuję nazbyt wspaniałomyślnie względem ciebie. Myśl jeśli zechcesz, że czynię to wszystko dla mojej córki. No, a teraz podaj mi rękę Lucyane, postanowione i zatwierdzone, nieprawdaż?

Młodzieniec ujął bezwiednie zlodowaciałą dłoń przemysłowca, nie zwróciwszy uwagi na ów szczegół.

— Rzeczywiście... — zawołał Edmund Castel — królewsko pan wyposażasz swą córkę, panie Harmant; cieszę się, iż zwracasz wspaniałomyślnie Lucyanowi to, co ów nędznik wydarł zabijając mu ojca!

Na słowa te Jakób Garaud zbladł nagle, szybkim ruchem jednakże pochylił się ku piszącemu przy stoliku młodemu adwokatowi, tak, iż artysta nie dostrzegł, zaszłej w nim zmiany.

— Otóż ukończyłem... — rzekł Darier, składając pióro. — Być może, iż pan masz mi wydać jeszcze jakie polecenie?

— Jedno... jedyne...

— Jakie?

— A to, że Lucyan Labroue dziedziczy majątek po żonie, wrazie, gdyby ta zmarła bezdzietnie.

— Zastrzeżenie to niepotrzebne — rzekł Jerzy — wynika ono samo ze wspólności majątkowej. Dobrze jednak, sądzę, byłoby ocenić zaraz wartość gruntów w Alfortville.

— Połóż pan cenę dwieście tysięcy franków.

— Lecz panie... nie warte one są tyle... — ozwał się Labroue...

Harmant dokończyć mu nie pozwolił.

— Proszę napisać to... — rzekł — oceniam je na dwieście tysięcy franków i jestem pewien, że się nie mylę.

Darier po zapisaniu powyższego szczegółu, począł czytać głośno projekt ślubnego kontraktu, nakreślony jasno, treściwie, jakiemu najbieglejszy notaryusz nie znalazłby nic do zarzucenia.

Edmund Castel słuchał, obserwując ukradkiem oblicze milionera, które mu się wydało być do tego stopnia spokojnem, iż się zawahał w swych podejrzeniach.

— Nie podobna, ażebym się mylił — myślał jednocześnie. — Gdyby ów człowiek nie był rzeczywistym Pawłem Harmant, nie śmiałby działać z tyle zuchwałą odwagą. Mimo to wszystko będę się starał rozjaśnić moje powątpiewania.

Odtąd, zaprzestano mówić o interesach, rozmowa inny obrót przybrała. Około dwunastej, artysta dał znak do rozejścia się.

— Nie zapominajcie, panowie — rzekł Harmant — że podpisanie kontraktu, nastąpi od dziś, za dni piętnaście... W dniu tym, będziemy oczekiwali na was z obiadem, poczem wieczorem nastąpi bal u mnie. Przyślę wam zaproszenia, dla was i dla waszych przyjaciół.

Przy pożegnaniu, Marya, podając rękę Lucyanowi, wyszeptała z cicha:

— Do jutra... nieprawdaż? przy śniadaniu...

— Tak pani... — rzekł Labroue, składając pocałunek na jej rękę.

Pod siłą tego pocałunku dziewczę pokraśniało, a wraz suchy, ciężki kaszel wybiegł z jej piersi. Zatrzymawszy się, obecni, patrzyli na nią z politowaniem. Nic bardziej smutnego w rzeczy samej po nad widok owego dziewczęcia, stojącego tak blisko upragnionego szczęścia, od którego dzieliła ją straszna dłoń śmierci.

Młodzieńcy pożegnawszy się, odeszli.

— Otóż nareszcie jesteś szczęśliwą... — rzekł Harmant, okrywając córkę pieścizotami.

— O! tak, mój ojciec... bardzo szczęśliwą... Nadmiar szczęśliwą — odrzekła głosem przerywanym, ostrym, suchym kaszlem. — Ach!.. wielka ta, niespodziewana radość, odbiera siły... potrzebuję spoczynku co prędzej.

— Idź... spocznij... sen cię uspokoi. Podobnie gwałtowne wzruszenia podkopywały twe zdrowie... Lecz otóż skończyły się nareszcie... Zbliżyła się chwila spokojnego szczęścia... myśl o tem.

Tu uściskawszy swą córkę, odszedł do gabinetu, z brulionem kontraktu, nakreślonym przez Jerzego. Skoro tylko drzwi zamknął za sobą, wyraz jego twarzy nagle się zmienił, jak gdyby maska opadła z jego oblicza. Upadł na krzesło zgnębiony.

— Otóż i nowe niebezpieczeństwo! — szepnął w zamyśleniu. — W chwili, gdy Lucyan wchodzi w moją rodzinę, gdym zabił w jego sercu miłość dla Łucyi Fortier i wykopał wiekiwą przepaść pomiędzy nimi obojgiem, w chwili, gdy jego małżeństwo z mą córką, oddaje go w zupełności pod moją władzę zkąd, i dlaczego to straszne widmo przeszłości, nazwane Joanną Fortier, ukazuje się nagle przedemną? Edmund Castel, jak widzę, znał tę kobietę, a znał ją dobrze, skoro zdołał naszkicować jej postać, tak dziwnie podobną!.. Joanna Fortier, ta zbiegła z więzienia w Clermont, spotkać się z nim może... Wtedy on ją pozna!.. może ją zbliżyć do Lucyana... a kto wie, czyli się nawet z sobą już nie widzieli? Owa kobieta, o której mówił Labroue... ta roznosicielka chleba, Eliza

Perrin, której uderzające podobieństwo z Joanną, takie na nim sprawiło wrażenie, kto wie, czyli to nie jest taż sama Joanna, kryjąca się pod przybranem nazwiskiem? Ach! czyliż nigdy nie zaznam spokoju?.. — jęknął z rozpaczą — czyż wiecznie bojaźń i trwoga będą spędzały sen z moich powiek?

Tu wstawszy, przystanął w zadumie.

— Bojaźń? — powtórzył — ależ to szaleństwo!.. Czegoż miałbym się obawiać? Nazywam się Paweł Harmant... posiadam legalne papiery jakie przedstawię każdemu, ktoby mi się ważył powiedzieć:

— *Jesteś Jakóbem Garaud*, nie! nie... Jakób Garaud zmarł!.. Jakób Garaud nie istnieje. Jeden tylko z żyjących ludzi zna prawdę, a tym człowiekiem jest Owidyusz Soliveau. Za zbyt jednak ściśle jest on ze mną związany zbrodnią i interesem, aby mógł świadczyć przeciw mnie. Śmiało więc... prowadźmy sprawę do końca z odwagą... Trwoga, byłaby tutaj szaleństwem! Nie obawiam się nikogo... tak... niczego się nie obawiam!

XXIII.

Wyszedłszy z pałacu przy ulicy Murillo, gdzie pozostawiamy Harmanta w trwodze i niepokoju, Lucyan zatrzymał na chwilę Edmunda Castel.

— Cóż pan uczynił? — zapytał drżącym głosem — dokąd mnie na Boga prowadzisz?

— Tam, gdzie iść nie chciałeś, drogi przyjacielu, a gdzie majątek cię czeka... — odparł krótko artysta.

— Ależ ja nie mogę zaślubić tej umierającej dziewczyny, już prawie na pół umarłej!

— Nie przesadzajmy... panna Harmant może wyzdrowieć...

— Nigdy! pan jesteś przekonany, iż to nie nastąpi.

— Może wyzdrowieć...—powtórzył malarz.—W każdym razie będziesz bogatym; przy twojej inteligencji świetna przyszłość cię czeka.

— Musisz pan mieć cel jakiś, przyspieszając to małżeństwo.

— Mam go... bezwątpienia.

— Cel, który pan kryjesz przedemną.

— Chęć zapewnienia ci szczęścia nie jestże wystarczającą przyczyną z mej strony?

— Nie! inna, ukryta myśl kieruje panem w tej mierze.

— Bądź pewnym, mój chłopcze — wyrzekł z głębokim przekonaniem artysta— iż działałam jedynie w interesie twojego dobra, miej ufność i przestań mnie badać. Powiedz sobie, jak dawny mój wychowaniec, Jerzy, że masz we mnie szczerego, całkiem oddanego sobie przyjaciela. Idźmy obadwa naprzód, śmiało, odważnie! Pozwól mi się prowadzić, nie pożałujesz tego. Lecz oto przybyliśmy, jak sądzę, przed bramę twego mieszkania.

— Tak... w rzeczy samej...—rzekł Labroue.

— Udaj się zatem na spoczynek... dobranoc! A nie zapomnij—dodał — przysłać mi jutro tego dokumentu, o jaki cię prosiłem.

Tu obadwa z Jerzym uściskawszy Lucyana, odeszli.

— Na honor! mój opiekunie—rzekł adwokat, biorąc pod rękę malarza — wyznaję, iż ja bynajmniej nie interesowany w całej tej sprawie, a ztąd mogący się na nią zapatrywać obojętniej, pomimo wszystko, zgoła nic nie rozumiem o co tu chodzi.

— Cóż chciałbyś zrozumieć? — pytał z uśmiechem artysta.

— Słyszałem cię przemawiającym u siebie do Lucyana za panną Harmant; widziałem cię stojącego przed milionerem z prośbą o rękę jego córki dla naszego przyjaciela.

— A więc?

— To pierwsza dla mnie zagadka... przejdźmy do drugiej. Wyszedszy z pałacu, posłyszałem rozpaczliwy okrzyk Lucyana: *Coś pan uczynił? dokąd mnie prowadzisz?* Zarzuca on cię pytaniami, by się dowiedzieć, jaką myśl w tem wszystkim ukrywasz, a ty mu się zręcznie wymykasz od kategorycznej odpowiedzi, stawiając jakieś ciemne, tajemnicze powody. Powiedz mi, proszę, co to wszystko znaczy?

— Czyliż nie powiedziałem Lucyanowi, że pragnę dlań szczęścia?...

— Och! o tem nie wątpię na chwilę.

— A więc... czynię wszystko z mej strony, aby mu zapewnić to szczęście.

— Nie gniewaj się, iż powiem ci, opiekunie, że sama wyrocznia delficka mniej była od ciebie zawiłą w odpowiedziach. Masz w tem jakiś cel widocznie...

— Tak.

— Nie mógłżebyś wyjawić mi takowego... mnie, najlepszemu przyjacielowi Lucyana?

— Poszukuję mordercy jego ojca i odkryć go pragnę... — rzekł artysta poważnie.

Jerzy przystanął.

— Nic nie rozumiem—odpowiedział. — Szukasz mordercy... masz zatem dowód, iż Joanna Fortier nie była winną w tej zbrodni?...

— Dowodu jeszcze nie posiadam, ale mam silne wewnętrzne przekonanie.

— I przyśpieszając małżeństwo Lucyana z panną Harman, spodziewasz się odkryć zabójcę pana Labroue i stawić go przed sądem w miejsce Joanny?

— Być może...

— Lecz kogo oskarżasz natenczas?... na kogo masz podejrzenia?

— Dotąd nikogo jeszcze nie oskarżam—zawołał Edmund niecierpliwie—ileżkroć razy już ci to powtarzałem?

— Skrytość twoja w tym razie przykrość mi sprawia, mój opiekunie — rzekł Jerzy. — Widzę, że nie masz do mnie zaufania.

— Mój drogi chłopcze, ty, który jesteś adwokatem, wiedzieć powinieś i wiesz zapewne, że nieraz wystarczy drobnostka dla wyświecenia prawdy. Jeden wyraz, gest, milczenie, zmarszczenie czoła, rzut oka niespokojny albo lękliwy, naprowadza na ślad daremnie dotąd szukany. Zdaje mi się właśnie, że ów ślad odnalazł, twierdzić jednak napewno nie mogę. Wierzę w to niezachwianie, iż Jakób Garaud nie umarł, on żył w New-Yorku... a jeżeli tak jest, Harmant znać go powinien.

— Ależ to nic nie ma wspólnego z małżeństwem Lucyana...

— Wszystkie drogi są dobre, które prowadzą do celu...

— Nie chcesz wyjawić mi prawdy, nie nalegam przeto — rzekł Jerzy. — Zachowaj tajemnicę, gdy taka twa wola. Jedyną rzeczą, jakiej gorąco pragnę, jest, ażebyś mógł ocalić to biedne niewinne dziewczę, Lucyę Fortier, które płacze z sercem złamanem i które umrze z rozpacz, dowiedziawszy się o małżeństwie Lucyana. Masz-li nadzieję, że będziesz to mógł uczynić?

— Kto dożyje, zobaczy!... — odparł artysta. — Przybyli na stację fiaków. Edmund wsiadł do powozu i pożegnawszy Jerzego, udał się na ulicę Assas, do swego mieszkania.

Nazajutrz rano służący doręczył mu kopertę zapieczętowaną, przyniesioną przez posłańca. W kopercie tej znajdował się protokół, sprzedany Owidyuszowi przez Raula Duchemin z akt merostwa w Joigny.

Edmund Castel czytał ów papier z uwagą.

— Aby otrzymać podobny dokument — wyrzekł po długim zamyśleniu — potrzeba było dostarczyć właściwych dat i nazwisk, bez tego daremnymi byłyby poszukiwania. Paweł Harmant znał więc te daty i nazwiska, które wymienił. Oto co staje się dlań niebezpiecznym... Sam nie wyjeżdżał z Pa-

ryża, wysłał więc kogoś do Joigny, a ten ktoś właśnie jest jego współnikiem, przed którym on nic nie ukrywa. Zatem tego to człowieka przedewszystkiem odnaleźć mi trzeba.

Ubrawszy się szybko, wyszedł, udając się do ministerium spraw wewnętrznych, gdzie oddawszy swój bilet wizytowy woźnemu, został bezzwłocznie wprowadzonym do sekretarza ministra.

W pół godziny potem ukazał się z listem w rękę, na którym widniała pieczęć ministeryalna. Schowawszy ów list w pugilares, wrócił do swego mieszkania na śniadanie, rozkazując służącemu przygotować sobie podróżną walizę i włożyć w takową nieco bielizny i ubrania.

— Wyjeżdżam na dwa lub trzy dni—rzekł do niego.

— Czy pan zabierze mnie z sobą?

— Nie, ty w domu pozostaniesz; ktokolwiekbyś pytałby się tu o mnie, uważasz... nie mów, że wyjechałem... lecz tylko, że wyszedłem.

— Nawet i panu Jerzemu Darier mam to powiedzieć?

— Tak jemu zarówno, jak wszystkim.

Skończywszy śniadanie, zabrał niektóre papiery, zapiał walizę i udał się na stację liońskiej drogi żelaznej.

* * *

Po scenie, jaka miała miejsce pomiędzy Łucyą a panną Harmant w salonie pani Augusty, młoda robotnica, jak sobie przypominamy, złamana licznymi ciosami, zapadła na tak gwałtowną gorączkę, iż matka Eliza pośpieszyła sprowadzić do niej doktora. Lekarz oświadczył, iż choroba jest niebezpieczną. Posłyszawszy to, Joanna zadrżała przerażona. Jej córce, jej ukochanej Łucyi śmierć zagrażała! Odnalazła ją więc dlatego, by ją utracić?

I znów rozpoczęło się życie dla tej nieszczęśliwej kobiety, pełne trwogi i udręczeń, które zdawały się przechodzić jej siły.

Fischer

Każdego rana udawała się do piekarni Lebreta, udzielwszy wprzód biednemu dziewczęciu porcyę lekarstwa, przepisanego przez doktora. Po ukończenem roznoszeniu chleba wracała do łoża chorej, czuwając nad nią z niewysłowionem staraniem, aż do chwili, w której obowiązek wzywał ją znowu na ulicę Delfinatu.

W czasie nieobecności Joanny zastępowała ją przy chorej odzwierna tegoż domu, dobra, usłużna kobieta. Roznosicielka przepędzała noce we łzach i modlitwie, nie zamykając oczu na chwilę, nie myśląc bynajmniej dla siebie o spoczynku. Wreszcie po upływie czterech dni śmiertelnej trwogi, doktor oznajmił, iż minęło niebezpieczeństwo i rozpoczyna się rekonwalescencya.

XXIV.

Joanna odetchnęła z ulgą nareszcie.

Teraz to przypomniła sobie o przeszłości, która omal nie poprowadziła Łucyi nad brzeg mogiły; przypomniła sobie o ludziach, którzy zobelżywszy to dziecię, omal go nie zabili; przypomniła, iż potrzeba jej pójść do adwokata Darier, aby oddać mu papiery, znalezione w kopercie.

Joanna o tem wszystkiem zapomniła, podczas gdy życie jej córki groziło niebezpieczeństwo. Obecnie, gdy złe minęło, należało rozpocząć kroki w celu ukarania tych, którzy wyjawieniem wyroku, wydanego niegdyś przeciwko matce, sprawili tyle boleści niewinnemu dziewczęciu i zdruzgotawszy jej szczęście, przyprowadzili je do nędzy. Obliczywszy datę, w której według wskazówek starej służącej, Jerzy powrócić miał do Paryża, Joanna postanowiła pójść do niego w nadchodzący poniedziałek i w dniu tym, po ukończenem roznoszeniu chleba, udała się ze znalezionemi papierami na ulicę Bonapartego.

Była godzina dziesiąta, gdy zadzwoniła do drzwi mieszkania Jerzego. Magdalena pośpieszyła jej otworzyć.

— Pan Darier powrócił?—pytała.

— Tak, pani.

— Byłam tu przed sześcioma dniami..,

— Przypominam sobie.. natychmiast panią poznałam.

— Mogłażbym widzieć się z nim teraz?

— Wejdz pani do salonu, pan adwokat jest w swoim gabinecie, uprzedzę go o tem.

Przestępując próg wskazanego sobie pokoju, Joanna uczuła się być owładnięta dziwnem, nieokreślonym uczuciem. Serce jej biło gwałtownie, drżała na całym ciele.

Magdalena, zapukawszy lekko do drzwi gabinetu, weszła tam po chwili.

— Czego żadasz?—zapytał zwracając się Darier.

— Kobieta, która tu była podczas pańskiej nieobecności, przyszła teraz powtórnie. Chce ona prosić pana o poradę... wydaje się być ubogą...

— Tem więcej wyczekiwać nie należy. jej pozwolić... wprowadź ją do mnie...

— Pójdź pani—rzekła służąca do Joanny—adwokat cię wzywa.

Wzruszenie roznosicielki wzrastało z każdą chwilą. Dlaczego?—nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Wszedłszy do gabinetu, znalazła się naprzeciw Jerzego Darier... swojego syna...

Adwokat wstawszy, spojrział na przybyłą. Na owo spojrzenie i widok postaci młodzieńca, drzenie przebiegło Joannę, a jednocześnie oczy jej napełniły się łzami.

Jerzy, przypisując owo zakłopotanie nieśmiałości ubogiej kobiety, pierwszy przerwał milczenie.

— Życzyłaś pani pomówić zemną?—pytał łagodnie.

Na dźwięk tego głosu Joanna omał nie zemdląła, słabo jej się zrobiło do tego stopnia, iż zmuszoną była wesprzeć się o krzesło.

— Tak, panie, pragnęłam pomówić... — wyjąkała zcicha.

— Spocznij pani, proszę — rzekł Jerzy, wskazując krzesło—i powiedz, co cię tu do mnie sprowadza?

— Przed kilkoma dniami zgubiłeś pan papiery — rzekła, zbliżając się Joanna.

— Tak... w rzeczy samej! — odparł żywo — nadzwyczaj ważne papiery... Znalazłaś je pani?

— Znalazłam.

— Gdzie?

— Na trotuarze... wprost instytutu. Pańskie nazwisko wypisane było na kopercie... Przyszłam tu natychmiast, aby powrócić je panu, nie zastałam go jednak... byłeś pan natenczas w podróży.

— Tak... jeździłem do Tours. Zguba tych papierów sprawiła mi wiele przykrości; zmuszony byłem odłożyć proces, od którego zależało wiele ważnych interesów.

Joanna, dobywszy z kieszeni fartucha kopertę, oddała ją Jerzemu.

— Oto pańska zguba... — wyrzekła; — racz pan zobaczycę, iż nic nie brakuje.

Adwokat przejrzał zawartość w kopercie. Nic nie brakowało w rzeczy samej.

— Wyświadczasz mi pani — rzekł — niezmierną przysługę, zwracając powyższe dokumenty. Pozwolisz zatem ofiarować sobie nagrodę, jaką wymieniłem w ogłoszeniach.

— Nie, panie; — odpowiedziała z pośpiechem; — nic... nic nie przyjmę. Papiery te są pańską własnością, znalazłam je i oddaję. Jest to mym obowiązkiem, za co więc miałabym przyjmować nagrodę?

Jerzy, słuchając wyrazów roznosicielki, czuł się być dziwnie wzruszonym. Głos tej kobiety budził w nim jakieś nieokreślone wspomnienia, zdawało mu się, iż słyszał go kiedyś, w bardzo odległym czasie.

— Nie chcę nalegać — odpowiedział — obawiając się zranicę wysoką szlachetność pani, przed którą chyłę czoło z po-

szanowaniem, pośpieszam dodać jednakże, iż gdybym kiedy zdołał być jej w czem użytecznym, czułbym się szczęśliwym, mogąc spłacić cię dług mojej wdzięczności. Pozwól mi pani uczynić to, proszę, a zostanę ci mocno obowiązany.

— Dobrotliwe pańskie wyrazy—dodają mi odwagi—odrzekła Joanna, ośmielając się coraz więcej wobec młodego człowieka.—Będę prosiła pana o radę.

— Usiłowaniem mojem będzie okazać się godnym jej zaufania. O cóż chodzi?

— Nie o mnie, panie, ale o biedną, młodą sierotę, bardzo nieszczęśliwą...

— Gotów jej jestem dopomóc z całego serca—odpowiedział Darier, coraz silniej przejęty głosem roznosicielki.— W czemże użytecznym być mogę?

Nadeszła chwila tak niecierpliwie od dni sześciu oczekiwana przez tę biedną kobietę. Wzruszenie jednak obezwładniało ją, myśli jej się mieszały.

— Boże mój!—wyjąknęła;—idąc tu, przygotowałam sobie wszystko, co mam powiedzieć... i otóż teraz nic nie wiem... w głowie mi się zaciemnia.

— Spocznij pani chwilę... uspokój się... zbierz swoje wspomnienia, a wszystko z łatwością mi wytłumaczysz.

Joanna przez kilka sekund pogrążyła się w milczeniu.

— Czy można, panie, bez naruszenia prawa, napiętnować dziecko zbrodnią jego matki? — nagle zapytała. — Czy można bezkarnie zniszczyć przyszłość tego dziecka, złamać mu serce, zatruc życie i odebrać jedyny środek, zarabiania na życie uczciwą pracą, wyjawieniem zbrodni, spełnionej niegdyś przez matkę? Wszystko to, o czem mówię, czy można, panie, bezkarnie, powiedz mi, uczynić?

Jerzy, patrząc na mówiącą z ciekawością i zdumieniem.

— Jest to niezaprzeczenie jedna z najhaniebniejszych zbrodni — odpowiedział — zabijać moralnie niewinną istotę, przez odsłonięcie jej tajemnicy rodzinnej; popełniający jednak tę zbrodnię, najpodlejsi wśród ludzi, nieszczęściem nie podpa-

dają pod karę prawa... Jeżeli w takim razie nie kłamią, nie można im zarzucić nawet oszczerstwa!

— Otóż! — zawołała gorączkowo Joanna — powiem panu rzecz całą. Dziecię to, miało zaledwie kilka miesięcy, gdy mu wydarto jego matkę, skazaną na dożywotnie więzienie, za straszną zbrodnię. Dziewczynkę tą, za którą nie płacono od kilku miesięcy, mamka umieściła w przytułku, dla opuszczonych dzieci. Wyrosła, nie wiedząc o owej, przerażającej tajemnicy, nie wiedząc, że hańba nie zasłużona ciąży ponad nią. Wychowanica przytułku, rzucona w świat, pracowała na życie uczciwie, będąc czystą jak anioł, godną najwyższego szacunku. Na swojej drodze, spotyka zanego chłopca, ubogiego jak ona sama. Pokochali się wzajem, szczęście im się uśmiecha, a z nim i przyszłość, wśród pracy. Wkrótce mają się poślubić... Niestety! rachowali na dobry los, o złym zapomniawszy! Słuchaj pan, proszę... słuchaj i osądź! Pewien milioner, przemysłowiec, ma jedyną córkę. Córka ta rozkochała się w narzeczonem owej biednej wychowanicy przytułku. Milioner ów powiada owemu młodzieńcowi: *Ofiaruję ci majątek... wielki majątek... ożeń się z moją córką!* Młodzieniec, chłopiec uczciwy, prawego charakteru, kochający swą narzeczoną... odrzuca propozycję. Córka milionera, nie uznaje się jednak za zwyciężoną, wierząc w swoje bogactwa. Przybywa do swej ubogiej rywalki, zobowiązując się jej zapłacić znaczną sumę pieniędzy, jeżeli odstąpi jej narzeczonego i zechce na zawsze Francję opuścić... Podobna propozycja, rzecz naturalna, zostaje odepchnięta ze wzgardą, jak na to zasługiwała. Cóż czynią natenczas, ów ojciec wraz z córką, jakież szatański pomysł przychodzi do głowy owym nędznikom? Otoszperają w przeszłości matki owej sieroty... odkrywają na niej plamę, a silni tem odkryciem, stają przed owym młodzieńcem wołając: *O nieszczęśliwy... szalony i ślepy!.. czy wiesz, że ta, którą chcesz zaślubić, jest córką kobiety, odsiadującej karę w więzieniu za zbrodnię morderstwa, popełnioną na własnym twym ojcu!*

XXV.

Joanna przerwała. Brakło jej głosu i siły.

Po paru sekundach na nowo zaczęła:

— Pan pojmuje, iż w podobnych okolicznościach, nie tylko małżeństwo stało się niemożliwym, lecz z dwojga kochających się ludzi, uczyniono wrogów. Ale nie wszystko to jeszcze! Uderzywszy to biedne dziewczę w głąb serca i duszy, postanowili zdruzgotać jej egzystencję materialną. W jednym z najpierwszych magazynów Paryża, dawano sierocie tej stałą robotę. Poszli do owej modniarki i powiedzieli jej wobec tej nieszczęśliwej: *Ta dziewczyna jest córką kobiety skazanej za potrojną zbrodnię, kradzieży, morderstwa i podpaleń. Jeżeli pani będziesz trzymała ją dłużej, zniesławisz swój zakład. Wszyscy klienci odsuną się od ciebie. Będzie to ruiną dla twego magazynu... Wypędź tę dziewczynę!..* I wypędzono ją! Rozpacz natenczas ogarnęła tę nieszczęśliwą. Pod tym ostatnim ciosem, niebezpiecznie zachorowała i przez dni kilka walczyła pomiędzy życiem a śmiercią. Krwawa rana jej serca nie zagoi się, dopóki ten, którego kochała, którego dotąd kocha i kochać będzie, dopóki on do niej nie powróci. Cierpi ona obecnie, o ile człowiek najciężej cierpieć może, a pan powiadasz, że prawo jest bezwładnem wobec zbrodniarzów, torturujących w sposób podobny to niewinne dziecię... zabijających je prawie! Ach! jeśli prawo jest takim panie... jest ono nikczemnem!

Na tych słowach Joanna zamilkła.

— Lecz o kim pani mówisz? — pytał Jerzy, wstrząśniony do głębi powyższem opowiadaniem.

— O kim mówię? pan pytasz... mówię o Łucyi Fortier.

— Domyślałem się tego... odgadłem! Czy jednak rzeczywiście uczynili oni to, o czem mi pani opowiadasz?

— Jakto... pan Labroue, pański przyjaciel, nie panu o tem nie mówił?

— Wiem, że bolesne rozłączenie nastąpiło między narzeczonymi. Ośmieliliby się jednak posunąć okrucieństwo, aż do pozbawienia Łucyi jej pracy?

— Tak! uczynili to panie!..

— Och! ależ to jest potwornem!

— Tak... w rzeczy samej, potwornem... zbrodniczem... I nie jest się w stanie ukarać podobnego czynu?

— Można ich hańbą obrzucić, prawnie ukarać nie można — rzekł Darier.

— A zatem... wydzierają życie temu dziewczęciu wraz z jej pracą... pozbawiają ją chleba i nie można ich za to uczynić odpowiedzialnymi?

— Nie... na nieszczęście!.. — rzekł Jerzy, w zadumie pochylając głowę.

— Lecz Łucya umrze w takich cierpieniach! Och! panie... panie... — wołała zalewając się łzami — jesteś młodym... szlachetnym, czytam to w twojem obliczu, wynajdź coś... błagam na Boga, coby temu biednemu dziecku powróciło spokój i szczęście! Jesteś pan przyjacielem... serdecznym przyjacielem Lucyana i zarazem doradcą pana Harmant. Możesz, widząc się z nimi, prosić, by okazali się względniejszymi dla tej nieszczęśliwej sieroty. Niech panna Harmant stara się powrócić Łucyi stanowisko, jakiego ją pozbawiła... Niech Lucyana powróci do niej i wybaczy winę, jakiej nie popełniła, a Łucya ocaloną zostanie. Wszak dziecię nie odpowiada za przeszłość swej matki, zwłaszcza w tym razie, gdzie ta nieszczęśliwa kobieta jest może niewinną. Ocal ją panie... ocal! błagam cię... zaklinam... Ach! zdaje mi się, iż będąc w twem miejscu odnalazłabym na to sposób!

Jerzy wpatrywał się w roznosicielkę chleba z natężoną uwagą. Zdawało się jakoby studyował jej rysy twarzy.

— Od jak dawna znasz pani Łucyę? — zapytał.

— Od pół roku, panie...

— Nazywasz się, pani, Eliza Perrin, nieprawdaż?

— Tak... i kocham Łucyę, jak gdyby była mą córką...
By ją ocalić, by ją uczynić szczęśliwą, oddałabym bez wachania ostatnią kroplę krwi mojej!..

W chwili tej zapukał zlekka ktoś do drzwi gabinetu.

— Wejść!.. — zawołał adwokat.

Magdalena ukazała się w progu.

— Panie... — wyrzekła — jeden z klientów przybył do pana.

— Kto taki?

— Pan Harmant.

— On?! — zawołała Joanna.

— Trzeba udać się z prośbą do niego... — rzekł Jerzy, biorąc za rękę roznosicielkę. — Od niego zależy życie tej biednej dziewczyny, rozważ to pani. I wprowadził matkę Elizę do salonu, w którym znajdował się przemysłowiec.

Ujrzawszy Jerzego w towarzystwie nieznanej, ubogiej kobiety, Harmant cofnął się zdumiony, które to zdumienie wzrastało szybko, gdy ta kobieta upadła przed nim na kolana, z pochyloną głową, wzniesionymi błagalnie rękoma.

— Kto pani jesteś?.. Czego żądasz? — pytał zaniepokojony.

— Ta nieszczęśliwa, jest Elizą Perrin — przemówił adwokat. — Kochając głęboko, macierzyńską prawie miłością młodą sierotę, umierającą z rozpacz, przyszła błagać cię, panie, abys ocalił to biedne dziewczę.

— Tak... tak! — jękała Joanna ze łkaniem... — ocal ją panie!.. ocal!..

Usłyszawszy nazwisko Elizy Perrin, słysząc głos mówiącej, jaki mu wiódł tyle wspomnień przeszłości, milioner uczuł, iż zimny pot kroplami spływa mu po czole.

Po dwudziestu jeden latach Jakób Garaud i Joanna Fortier znaleźli się naprzeciw siebie, ale oboje tak zmienieni, iż poznać ich nie podobna było. Prócz tego akcent angielski, nabyty przez czas długiego pobytu w Ameryce, zmienił brzmienie głosu, byłego nadzorcy.

Joanna, podniósłszy głowę, spojrzała z po za lez na tego, którego przysła błagać o ocalenie swej córki. Błada twarz przemysłowca, otoczona siwymi włosami i pobielałemi zupełnie faworytami nie obudziła w niej żadnych podejrzeń.

Jakób, przeciwnie, za pierwszym rzutem oka odnalazł pod zwiędłemi rysami oblicze tej pięknej kobiety, którą niegdys tak kochał namiętnie. Zadrżał od stóp do głowy. W pierwszej chwili, sądził się być zgubionym, mniemając, że Joanna go pozna, jak on ją poznał i że zawoła:

— Oto Jakób Garaud!.. Oto morderca Juliana Labroue... podpalacz z Alfortville!..

Przestrach jego wszelako trwał krótką chwilę. Zrozumiał, iż zginie, jeżeli odważnie nie stawi czoła burzy, huczącej nad sobą...

Przybrawszy zatem zwykłą obojętność, mimo, iż twarz jego była marmurowo bladą, a usta mu drżały, odrzekł, usiłując bardziej jeszcze nadać swym słowom akcent cudzoziemski.

— Pani wnosisz prośbę za jakąś dziewczyną. Chcesz ją ocalić? Ja nie rozumiem zgoła o co chodzi?.. Co to wszystko znaczy?

— Chodzi tu panie o Łucyę Fortier... — rzekł Jerzy.

— O Łucyę Fortier? — powtórzył milioner. — Cóż ja mogę uczynić dla niej, wobec hańby, jaka ciąży po nad nią z przyczyny zbrodni jej matki?

— Możesz pan jej życie przywrócić!.. — zawołała Joanna. — Przyprowadziłeś pan do rozpacz i nędzy to biedne dziecko, nie mogące w każdym razie odpowiadać za zbrodnię, jakie zarzucają jej matce... Dla swojej córki wydarłeś jej pan tego, którego kochała, a pomieniona pańska córka pozbawiła ją ostatniego i jedyne go środka do życia, pozbawiła ją pracy!.. Łucya, przygnębiona moralnie, gaśnie powoli... Pan to ją zabił!.. Cóż ci uczyniła, abyś w podobny sposób ją dręczył?.. Miałeś pan prawo szperać w przeszłości jej matki, dla okrycia tej dziewczyny obelgami i hańbą? Nie jesteście to czyni

nieładzkim... okrutnym? Córka twoja żyć będzie szczęśliwa w bogactwach, podczas gdy Łucya umrze w rozpaczy! Jesteś to godnym szlachetnego człowieka... jesteś to sprawiedliwym?

Harmant drżał w uniesieniu i trwodze, gorzko żałując, iż na tę chwilę właśnie przybył do Jerzego.

— Cóż więc ja mogę uczynić... cóż chcesz abym uczynił?.. — zawołał gwałtownie. — Mojaż to wina, iż Łucya jest córką zbrodniarki?

— Milcz pan!.. nie lżyj tego niewinnego dziewczęcia — krzyknęła Joanna, stając pałająca gniewem.

Szatańska myśl przebiegła umysł Jakóba Garaud.

— Za zbyt pani posuwasz swoją zuchwałość — rzekł dumnie. — Można by sądzić, iż bliższe węzły nad zwykłą przyjaźń, łączą cię z tą dziewczyną. Jakiem prawem śmiesz żądać, bym ci zdawał rachunek z moich czynności? O co poważasz się mnie oskarżać?.. Żem powstrzymał Lucyana Labroue po nad przepaścią, w jaką chciał się rzucić bezwiednie. Byłbym więc działał szlachetniej, według ciebie, dozwalając mu zaślubić tę, której matka zabiła mu ojca? Nie dopuszczając tyle haniebnego małżeństwa, spełniłem mój obowiązek i szczytę się z tego! Obecnie, po tem co nastąpiło, inna mi droga pozostaje, na której pan Darier mi dopomoże, jestem tego pewny. Spóśób, w jaki bronisz Łucyi Fortier odsłania mi twą osobistość... Tak! ty nie jesteś Elizą Perrin, ale skazaną z Alfortville... zbiegłą z więzienia w Clermont... ty jesteś Joanną Fortier!

Na te wyrazy Joanna zachwiała się i drżąca rzuciła w około siebie obłąkanym wzrokiem, jak gdyby szukając wsparcia i obrony.

— Tak! będzie to przysługą dla społeczeństwa i sprawiedliwości — mówił Garaud dalej — zwracając się ku Jerzemu, przytrzymać tę kobietę... Idę natychmiast po policyjnych agentów. Tu łotr posunął się ku drzwiom.

Jerzy poskoczył, zastępując mu drogę.

— Zatrzymaj się pan... — zawołał.

— Jakto... nie dopuszczasz, abym oddał tę występłą w ręce sprawiedliwości? — krzyknął zdumiony.

— Nie dopuszczam... oponuję!

— Dlaczego?

— Ta kobieta nazywa się Eliza Perrin, znam ją i chcę ją znać jedynie pod tym nazwiskiem. A gdyby nawet być miała jak pan utrzymujesz Joanną Fortier, zostaje tu ona w moim mieszkaniu, pod moją opieką. Wszedłszy tu wolna... wyjdzie ztąd wolną!.. Gabinet mój nie jest panie aresztem, ani pułapką policyi.

— Oddał się pani... — rzekł do Joanny... — odejdz bez obawy. Niech cię Bóg prowadzi i swoją osłania opieką!

Joanna drżąca, z wyciągniętymi ku Jerzemu rękoma, jak gdyby chcąc mu dziękować i błogosławić, postąpiła parę kroków chwiejąc się cała.

— Ależ... — zawołał z gniewem Harmant — takie postępowanie to bezrozumne panie!.. to...

— Proszę pamiętać, iż pan się u mnie znajdujesz... — przerwał mu Jerzy, dokończyć nie pozwalając. — Nie przyjmuję z pańskiej strony żadnych uwag co do mojego postępowania, w czem mnie tylko samemu sędzią być wolno.

— Idź... idź Elizo Perrin... odejdz w spokoju — rzekł do niej.

Roznosicielka, pochwywszy rękę Jerzego, wskazującą jej wyjście, przyłożyła ją do ust z gorącą wdzięcznością, poczem szybko wybiegła.

Harmant rzucił się ku drzwiom, chcąc ją zatrzymać, gdy Jerzy szybkim ruchem po raz drugi zastąpił mu drogę.

XXVI.

— Dlaczego pan pozwoliłeś odejść tej kobiecie? — zawołał z gniewem przemysłowiec.

— Przybyłeś pan, ażeby mówić ze mną o interesach... cóż zatem pana obchodzić to może? — zapytał Darier. — Chyba, że pan się jej obawiasz?.. — dodał z uśmiechem.

Wyrazy te dały zrozumieć Harmantowi jak wielką popełnił nieroztropność, okazując swoją zaciekłość przeciw Joannie.

— Ja?.. jej się obawiać?.. — wyjąknął zmieszany.

— Na honor! możnaby tak sądzić... — rzekł Jerzy.

— Jeżeli ta biedna kobieta jest rzeczywiście Joanną Fortier i, popchnięta do rozpaczki nieszczęściami swej córki, przyszła mnie błagać bym wstawił się do pana o ocalenie jej dziecka, należy wybaczyć podobny krok matce, chociażby nawet występnej. Gdyby zaś przeciwnie, nie była Joanną Fortier, co bardzo być może...

— Przestrach wryty na jej obliczu, gdym wymówił jej nazwisko — przerwał Garaud — powinien pana przekonać, że się nie myłę.

— Gdyby przeciwnie, nie była ona Joanną Fortier — ciągnął Jerzy dalej — jak gdyby nie słysząc zaprzeczeń milionera, ale Elizą Perrin, poświęcającą się szlachetnie dla tej cierpiącej i opuszczonej dziewczyny, nie należałoby nam jej prześladować, ale uwielbiać raczej. Przekonywa to o zycznym, podniosłym charakterze tej kobiety! Pan postąpiłeś, jak ci radziło sumienie dla zapewnienia szczęścia swej córce, to ciebie wyłącznie dotyczy... Lecz co obchodzi nas obu, to właśnie, iż tak jeden z nas jak drugi, nie powinniśmy się wdawać w atrybucye policyi, do której nie należymy.

— Masz słuszność, kochany adwokacie — odrzekł milioner, odzyskawszy krew zimną — nazbyt się uniosłem... nie byłem panem siebie, sądząc, iż widzę ową zbrodniarkę, która zabiła ojca Lucyana.

— Pojmuję to... lecz w każdym razie mogłeś się pan mylić, a twój błąd mógł sprawić biednej Elizie Perrin boleść niewysłowioną.

— To prawda... przyznaje; — gniew bywa złym zwykle doradcą.

— Jakże zdrowie panny Maryi? — zapytał Darier, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Jaknajlepiej! Kaszel przeklęty, który napadł ją przy was wczoraj, dzięki Bogu, nie pojawił się więcej.

— Cieszy mnie to szczerze... Małżeństwo zatem nastąpi niezadługo?

— Bezwątpienia... lecz nie tak rychło, jak sobie tego życzyłem.

— Dlaczego?

— Brak mi pewnego ważnego dokumentu. Dziś rano, wybierając papiery, potrzebne do tej ważnej sprawy, spostrzegłem, iż nie posiadam aktu urodzenia mej córki, niezbędnego do ogłoszenia zapowiedzi.

— I zmuszony pan jesteś zażądać nadesłania sobie takiego z New-Yorku?

— Tak... właśnie. Wysłałem telegram w tym celu do Dawidsona, mego dawnego bankiera. Nie tracąc chwili czasu, uczyni on zadość memu żądaniu i przysśle mi wspomniony dowód, co w każdym razie zabierze dni kilka. Niezależnie od tego, od dziś za dwa tygodnie podpiszemy kontrakt małżeństwa. Powracam właśnie od notaryusza, któremu złożyłem kopię, zredagowaną przez ciebie wczoraj wieczorem.

— Znalazł w niej może jaką niedokładność?

— Przeciwnie, uznał ją bez zarzutu. Nie pozostaje tu ani jeden wyraz do zmienienia — rzekł do mnie.

— Pochlebia mi to nieskończenie — rzekł Jerzy. — A teraz powiedz pan proszę, co cię tu do mnie sprowadza?

— Pomówimy o tem...

— Proszę więc do mego gabinetu.

I weszli tam oba.

Joanna wybiegła od adwokata, jak wół obłąkana. Zbiegłszy szybko ze schodów, mknęła przez ulice, pędząc bez tchu prawie, aż obezwładniona, padła na jakąś ławkę, stojącą przed domem.

— Ów Harmant odgadł, kto jestem — szepnęła, szybko oddychając. — Gdyby nie obrona tego szlachetnego młodzieńca, byłby mnie oddał w ręce policyi! Tak więc zostałabym przytrzymaną, zaprowadzoną do prefektury, a ztamtąd do więzienia, nie widząc się z Łucją już więcej! Och! ów Harmant, ów nędznik bez serca... przyczyna rozpacz i nieszczęść mej córki... nie powinnam była błagać go na klęczkach o miłosierdzie, lecz chwycić za gardło i udusić tego potwora! Tak... bo cóż uczyni teraz ów człowiek? Będzie mnie poszukiwał bezwątpienia, a gdyby odnaleźć mnie nie mógł, udzieli wskazówek policyi, która szybko odkryje moje schronienie i pochwyci mnie w swe szpony.

— O Boże, Stwórco dobrotliwy! cierpieć tyle za zbrodnię niepopelnioną i nie móżd się usprawiedliwić, jak to okropne, jak straszne!

— Co począć... gdzie zwrócić się... jak radzić? — zaczęła po chwili milczenia. — Nie mogę przecież opuścić mej córki, zostawić ją zrozpaczoną i chorą. Gdybym posiadała choć trochę pieniędzy, zabrałabym Łucję i wraz z nią gdzie się ukryła. Lecz aby żyć samej i ją wyżywić, pozostaje mi tylko ma praca! Położenie jest bez wyjścia... walka niepodobną w tym razie. Poddaję się zatem losowi... wracam do mojej córki... Niechaj tam mnie przyaresztują, jeżeli zechcą... Przynajmniej będę widziała me dziecko do ostatniej chwili.

I wstawszy, chwiejnym krokiem poszła na ulicę de Bourbon.

Znalazła chorą w lepszym stanie zdrowia, a mimo uciśkających ją katuszy, ta nieszczęśliwa matka męczennica, zebrawszy całą odwagę, starała się okazać pogodną twarz swojemu dziecku. Przez kilka dni, spędzonych w gwałtownej gorączce, Łucya zapomniała o zamierzonej bytności Joanny

Fortier u Jerzego Darier. Obecnie, z polepszeniem zdrowia, pamięć jej powracała.

— Matko Elizo...—zapytała—czy byłeś u pana Darier, jak to miałaś zamiar uczynić?

Pytanie to przywiodło Joannie przed oczy całą okropność położenia; — postanowiła jednak ukryć prawdę przed chorą.

— Drogie dziecię, nie zapomniałam o tem — odpowiedziała.

— Widziałaś się z nim?

— Widziałam.

— Kiedy?

— Dziś rano.

— Ach!—zawołała Łucya z obawą—odmówił pomocy ze swej strony, jestem tego pewną.

— Przeciwnie... pan Darier jest uczciwym człowiekiem, przyjął mnie nader życzliwie i udzielił rad swoich.

— Cóż więc powiedział?

— Oburzyło go prześladowanie owych potworów... przyznał, iż podobne postępowanie jest godnem łotrów niktowych, oświadczył jednak, iż nic nie możemy przeciw nim uczynić, ponieważ prawo nie karze nędzników, obrzucających córkę hańbą jej matki.

W oczach Łucyi łzy zabłysły.

— Moja biedna matka!...—szepnęła;—ach! ona jest może bardziej nademnie godną pożałowania. — Cierpię wiele i ciężko... a jednak złorzeczyć jej nie mam odwagi.

Joanna łkała rzewnie, a nie mogąc słowa przemówić, tuliła dziewczę do serca.

— Mimo to wszystko—mówiła Łucya dalej—żałuję, żem się na świat ten narodziła.

Roznosicielka chciała już zawałać:

— *Ja jestem twoją matką!*—ostatnie jednak wyrazy dziewczęcia okrzyk ów na jej ustach wstrzymały.

Córka nie chciała jej wprawdzie złorzeczyć, ale nie wybaczyla by, iż dała jej życie.

Nastąpiła chwila milczenia. Łucya pograżyła się w myślach, co u niej zwykłem było od czasu usunięcia się Lucyana. Joanna, szanując ową bolesną zadumę, zakrzętnęła się około gospodarstwa.

Mylila się ona, przypuszczając, iż Harmant odda ją w ręce sprawiedliwości. Milioner, wyszedłszy od Jerzego Darier, wsiadł do powozu, udając się na ulicę Murillo. Zamknawszy się w gabinecie, rozmyślać począł nad położeniem obecnem, które zmieniała zupełnie obecność Joanny Fortier w Paryżu, Joanny, która odnalazła swą córkę, Joanny, którą nieprzewidziany wypadek postawił wobec niego. Wdowa po Piotrze Fortier mogła go poznać i wygłosić jego prawdziwe nazwisko! Na tę myśl krew lodowaciała w żyłach nikczemnika.

— Żłem zrobił, pozwalając owaćdnać się uniesieniu— rzekł sam do siebie—i źle zarówno, żem jawnie odkrył w Elizie Perrin Joannę. Zatrzymać ją, jak chciałem to uczynić w mym szale, byłoby dla mnie najszkodliwszem. Gdyby mi wówczas była nadeszła rozwaga, potrafiłbym odnaleźć sposob, aby to wszystko ułagodzić. Trzeba mi było wysłuchać skarg tej kobiety, zapewnić ją, iż szczerze nad jej córką boleję i że będę szukał sposobów, któreby jej ulgę przyniosły. Teraz zapóźno, niestety, aby to wszystko naprawić, lecz nie późno do powstrzymania grożącego mi niebezpieczeństwa. Obecność Joanny w Paryżu jest mieczem Damoklesa, zawieszonym nad moją głową. Potrzeba ów miecz skruszyć jednym ciosem i odrzucić go precz... daleko.

Wszedłszy po chwili do salonu, znalazł tam obok Maryi Lucyana. Młodzieniec grał wiernie rolę, narzuconą mu przez Edmunda Castel.

— Zwiedzałeś dziś warsztaty, mój chłopcze? — zapytał Harmant, podając mu rękę.

— Właśnie ztamąd powracam...

— Nic nowego?

— Nic... wszystko idzie jak trzeba.

XXVII.

— Wrócisz do Courbevoie po śniadaniu—wyrzekł milioner; — ja mam interesa do załatwienia w Paryżu, które być może, zatrzymają mnie dziś dłużej nieco. Gdybym wypadkiem nie wrócił na obiad, zechciej tu towarzyszyć mej córce. A teraz idźmy na śniadanie.

Przeszli do jadalni.

— Nie zapominaj mój drogi Lucyianie—rzekł Harmant, siadając przy stole, iż masz mi co rychlej dostarczyć potrzebne dokumenta do wygłoszenia zapowiedzi. Ja już zebrałem należące do Maryi.

— Za kilka dni doręcę panu te papiery—rzekł Labroue.

Śniadanie wkrótce się ukończyło. Lucyian śpieszył się do fabryki, gdzie pojechał oczekującym na niego w dziedzińcu powozem. Wkrótce po jego wyjeździe Harmant wyszedł z pałacu, udając się na bulwar de Courcelles, poczem okrążywszy Batignolles, wszedł na ulicę Clichy.

Zatrzymawszy się tu przed mieszkaniem Owidyusza Soliveau, trzykrotnie zadzwonił. Nikt nie odpowiadał, nikogo widać nie było. Widocznie baron de Reiss wyszedł gdzieś z domu. Harmant, wydarłszy kartkę z notatnika, nakreślił na niej ołówkiem słów kilka i wrzucił do skrzynki od listów, umieszczonej przy drzwiach pawilonu. Załatwiwszy się z tem, wstąpił do kawiarni na kieliszek absyntu, gdzie usiadł, przeglądając dzienniki, tutaj to bowiem nazначzył miejsce schadzki niecnemu wykonawcy swych zbrodniczych planów.

Pozostawiwszy owego łotra, oczekującego na swego współnika, wróćmy do Jerzego Darier.

Młody adwokat, słysząc gorące błagania, wygłaszane złamanym głosem nieszczęśliwej kobiety, odgadł, iż żywsze

uczucie nad prostą przyjaźń wywoływały je z jej piersi. Stała się jednak nie okazać tego i stanął w obronie Joanny przeciw Harmantowi, wiedziony jedynie litością dla tej zgnębionej tyłoma ciosami, skazanej niewinnie być może, do czego nie chciał przykładać ręki ze swej strony. Czuł, iż przyaresztowanie jej w jego mieszkaniu sprawiłoby mu wieczny wyrzut sumienia.

Jerzy nie wątpił, iż milioner poznał w niej Joannę Fortier po rysach twarzy, brzmieniu jej głosu, ale nie odgadywał prawdziwego powodu jego postępowania, nie przypuszczał, ażeby Jakób Garaud w swej własnej osobie przed nim znajdował się wtedy. Joanna również, widząc na obliczu Harmanta przestraszony i osłupiony, przypisała to ojcowskim uczuciom dla swego dziecka ze strony przemysłowca, ale mordercy Juliana Labroue nie poznała w nim wcale, jak Jerzy go odgadnąć nie mógł zarówno pod maską ucziwego i powszechnie szanowanego człowieka. Mimo, iż Edmund Castel rzucił mu kilka wyrazów tajemniczych w tym względzie, żadne podejrzenie nie zrodziło się w umyśle młodego adwokata. Znajdując nieludzkim postępowanie milionera względem Elizy Perrin, mówił sobie:

— Działa jak ojciec, ślepo kochający swą córkę. Egoizm posuniętej do szczytu ojcowskiej miłości, czyni go obojętnym na wszystko, co nie dotyczy jego ukochanego dziecka.

Inna myśl przychodziła obok tego do głowy Jerzemu. Być może, iż takobietą, którą uważamy oba za Joannę Fortier, jest rzeczywiście tylko Elizę Perrin. Rozpatrując się w jej rysach twarzy, znajdował wprawdzie wielkie podobieństwo z postacią Joanny Fortier, namalowaną na obrazie Edmunda; to jednak nie wystarczało dla utrwalenia w nim tego przekonania.

Mimo to wszystko, widząc, jak żywo artysta zajmował się Lucyanem i odgadując, iż poszukiwał prawdziwego mordercy Juliana Labroue, postanowił opowiedzieć mu o tem, co zaszło. Gdyby albowiem Eliza Perrin była rzeczywiście Jo-

anną, badając ją i udzielając pomocy, jakiej jej dotąd brakowało, możnaby może było odnaleźć wskazówki, potrzebne do wykrycia prawdy. Zresztą, jak o tem nadmieniliśmy, Jerzy uczuwał dla tej nieszczęśliwej głęboką litość wraz z szczerą sympatją. Na chwilę błysnęła mu myśl pójścia i powiadomienia o wszystkim Lucyana, powstrzymało go jednak za-
stanowienie.

Jedno nierozważne słowo zniweczyć mogło całą świetną przyszłość jego przyjaciela. Powstrzymał się więc, postanowiwszy zwierzyć się jedynie swojemu opiekunowi. Natychmiast po śniadaniu udał się na ulicę Assas. Jak wiemy, nie zastał w domu Edmunda.

Posłuszny danym rozkazom, służący oznajmił adwokatowi, iż pan jego wyszedł.

— Na jak długo?—zapytał Darier.

— Nie wiem tego.

— Powróci na obiad?

— Nic mi pan nie powiedział w tym względzie.

Zadziwiło to Jerzego, który znał regularność życia swego opiekuna, nic jednak nie odpowiedziawszy, odszedł w milczeniu. Wieczorem, około dziewiętej, przybył powtórnie. Edmund Castel nie powrócił jeszcze. Zrozumiał wtedy młody adwokat, iż w tem się ukrywa jakaś tajemnica, którą artysta i przed nim nawet pragnął zachować.

— Skoro tylko pan Castel przybędzie — rzekł do służącego—powiedz mu, iż w nader ważnym i pilnym interesie chcę się z nim widzieć natychmiast.

Nieobecność Edmunda źle wpływała na niniejsze okoliczności. Jerzy rad byłby widzieć się z nim copędzej i opowiedzieć mu o spotkaniu przemysłowca z Joanną.

— Nie przypuszczam, ażeby Harmant miał zamiar oskarżenia tej kobiety — myślał, wracając od artysty—radbym jednakże upewnić się corychlej, czy ona jest rzeczywiście zbiegłą z więzienia Joanną Fortier? A gdybym ja ją sam o to zapytał?—rzekł nagle. — Lecz jakim prawem mógłbym badać

tajemnice jej życia? Zresztą, gdyby była Joanną Fortier, jak to powiedział jej Harmant, skryje się... ucieknie, zdjęta przestraczem, aby uniknąć poszukiwań i zataić może nawet przed Łucją miejsce swojego schronienia. Gdzież ją więc odnaleźć? Łucja zaś, chociażby знаła tajemnicę swej matki, nie wyjawii jej mnie nadewszystko, dla niej obcemu zupełnie. Widocznie zatem nic tu sam działać nie mogę. Edmundowi to powierzyć należy odszukanie światła w ciemnościach... Czekajmy na jego powrót.

I Jerzy Darier wrócił do siebie zadumany, smutny.

Harmant daremnie wyczekiwał w kawiarni przez trzy godziny na przybycie Owidyusza Soliveau. Raz jeden widział go tylko po powrocie z Bois-le-Roi, nie wiedząc, co się odtąd z nim działo. Znając włóczęgowską naturę swego współnika, obawiał się, czy nie wywędrował on gdzie z Paryża. Do tej obawy przyłączyła się druga. Kto wie—myślał sobie—czy Owidyusz nie popełnił jakiej zbrodni lub występku i nie został gdzie za to przytrzymanym? Soliveau w więzieniu stałby się dla Harmanta jednym więcej groźnym niebezpieczeństwem.

Wróciwszy do pawilonu na ulicę Clichy, zadzwonił powtórnie, ale nadaremno. Jak po raz pierwszy, tak i teraz nikt mu nie otwierał. Wiemy, iż domek ten znajdował się w zupełnym odosobnieniu. Harmant mógł być wprawdzie zapytać o niego sąsiadów, mieszkających po drugiej stronie ulicy, nie chciał wszakże tego uczynić z obawy zwrócenia na siebie uwagi. Wracał więc tą samą drogą, niecierpliwy, zdenerwowany, wściekły prawie z gniewu. Spojrzał na zegarek, było wpół do szóstej. Wszedł znów do kawiarni, gdzie czekał przed tem przez trzy godziny, kazał sobie podać powtórnie kieliszek absyntu i siadł przy oknie, ażeby widzieć przechodniów. Godzinę czekał tak jeszcze niespokojny, aż wreszcie znecierpliwiony, postanowił wrócić na ulicę Murillo. Wyszedłszy z ka-

wiarni, wzdął nagle okrzyk radeści. Na trotuarze, po drugiej stronie ulicy, spostrzegł Owidyusza Soliveau, dążącego śpiesznie w stronę swojego mieszkania. Przebiegłszy wpoprzek, zatrzymał się przed nim.

— Hola!—zawołał, uderzając go ramieniem.

Owidyusz przystanął.

— Do pioruna!—zawołał, ściskając rękę swego pseudokuzyna — a to niespodziewane spotkanie! Zkąd się zjawiliś w tej stronie miasta?

— Przyszedłem umyślnie... czekałem cztery godziny w tej tu kawiarni.

— A toś się wysiedział dyabelnie! Na kogóż czekałeś?

— Na ciebie.

— Masz mi co do powiedzenia?

— Tak... rzecz nader ważną... chcę z tobą pomówić.

— Gdzie?

— U ciebie, jeżeli można.

— Najchętniej... — odrzekł Soliveau—lecz jakby umyślnie, zawsze przybywasz w chwili, gdym jak wilk głodny. Czy pogadanka ta długo trwać będzie?

— Zapewne...

— Zatem, najdroższy mój przyjacielu, idźmy przede wszystkim na obiad. Rozmawiać później będziemy, jeżeli to opóźnienie o jedną lub dwie godziny nie sprawi ci różnicy.

— Bynajmniej... możemy przedtem zjeść obiad.

— Śpieszmy więc, nie tracąc czasu.

XXVIII.

Przybywszy do sąsiedniej restauracji, zażądali oddzielnego gabinetu, w którym kazali sobie podać obiad.

— Cóż teraz robisz? czem się zajmujesz?—pytał Harmant swojego towarzysza.

— A! wiode życie rozkoszne!—odrzekł Soliveau — gram zapamiętałe!

— Jesteś więc niepoprawnym...

— Cóż chcesz? Jedni lubią kobiety, drudzy podróże, inni zbieranie fatalaszków, albo kosztownych szpargałów; ja lubię grę! To jedno jest mnie tylko w stanie rozweselić...

— I rzecz naturalna... przegrywasz?

— Omyliłeś się... wygrywam właśnie.

— Dużo?

— E!... tak... niewiele. Mądrzejszy jestem wszakże niż kiedyś.. Nie zapalam się już... gram z pomiarkowaniem... z rozważą, jak człowiek baczny przedewszystkiem na swój własny interes.

— Wkrótce więc zostaniesz może bogatym?

— Głupie zapytanie!... Gram dla zabawy, a nie z bogacenia się. Zresztą, na co mi bogactwo, gdyś ty bogatym, mój drogi kuzynie! Ale... co do tego właśnie, miałem pisać do ciebie, byś mi nadesłał z góry jednomiesięczną mą płacę.

— Wyliczę ci ją dziś, jeśli zechcesz?

— Wybornie! mocno ci będę obowiązany.

— Pewien szczegół jednak zastanawia mnie... — rzekł Harmant.

— Cóż takiego?

— Dlaczego wygrywając, potrzebujesz zaliczki odemnie?

— Życie posiada tajemnice, których zgłębiać nie należy—rzekł łotr z powagą.

Prowadząc powyższą rozmowę, Owidyusz zajadał żarliwie, podczas kiedy milioner przeciwnie, zaledwie potraw kosztował.

— Ach! ale dlaczego ty nie jesz?—pytał, spostrzegłszy to, Soliveau.—Czyliż, do czarta! znów pojawiło się coś na twej drodze?

Harmant rzucił okiem na drzwi gabinetu, upewniając się, czy były szczelnie zamknięte, a potem, nachyliwszy się ku swej towarzyszowi, wyszeptał z cicha:

— Lękam się, byśmy tym razem nie zostali zgubieni bez odwołania!

Owidyusz upuścił widelec, na którym niósł kasek do ust i spojrzął z trwogą na mówiącego.

— Co ty mi śpiewasz?—zawołał—co... co... co znowu?

I nagle sposepniał, przypomniawszy sobie Amandę.

— Mówię prawdę...—rzekł przemysłowiec.

— Może odkryto, że mieliśmy interes; popelniając ów zamach na Łucyę?—pytał Soliveau ze drżeniem.

— Nie!

— Cóż więc u czarta? Nie trzymaj mnie na mękach, mów jasno!

— Trzy słowa rozwiążą ci wszystko... Joanna jest w Paryżu.

— Joanna Fortier?

— Tak!

— A! do kroć piorunów!

— Odnalazła swą córkę...

— Czy być może?

— Zdaje ci się to niepodobnem... a jednak tak jest istotnie.

— Może się ludzisz fałszywą wiadomością w tym względzie?

— Żadna wiadomość zakomunikowaną mi nie została... Spotkałem tę kobietę u Jerzego Darier, mojego adwokata.

— I poznała cię?—wyjąkał, bledniejąc Soliveau.

— Na szczęście, nie... lecz jej obecność w Paryżu grozi nam najwyższem niebezpieczeństwem. Że nie poznała mnie wczoraj, nic to nie znaczy... Zły los może ją stawić powtórnie na mojej drodze, a wówczas poznać mnie może... Pomyśl więc, jaki ztąd skandal... jaka zguba dla nas obu!

Owidyusz wybuchnął śmiechem.

— Czyś ty zwaryował?—wykrzyknął Garaud, spoglądając nań ze zdumieniem.

— Tak... śmieję się pomimowolnie z przestרחu; jaki coraz częściej ogarnia cię teraz, mój stary! Ależ zastanów się, jeżeli stojąc twarz w twarz, nie poznała cię, wszelkie niebezpieczeństwo minęło, nie masz się czego obawiać.

— Powtarzam ci... że nie poznawszy mnie wczoraj, jutro poznać może.

— Zapewne... gdybyśmy temu zapobiedz nie zdołali...

— Posiadasz więc jakiś sposób?

— Ma się rozumieć... jasny jak słońce!

— Mów-że... mów prędzej, bo oszaleję! — zawołał Garaud, chwytając się za głowę!

— Na honor! żal mi cię, mój stary... klepki w głowie osłabły ci widocznie — mówił żartobliwie Soliveau. — No, no! nie lękaj się... — dodał — licz na mnie. Joanna Fortier, jak mówisz, tedy znajduje się w Paryżu, jesteś tego pewien, ponieważ ją widziałeś... Ma się rozumieć, iż zmieniła nazwisko?

— Tak... nazywa się Elizą Perrin.

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem... najpewniej jednak znaleźć ją można u Łucyi.

— Przy ulicy Bourbon, numer 9-ty; znam ten dom. Czemuże się ona zajmuje?

— Jest roznosicielką chleba.

— Co zmusza ją przez dzień cały do chodzenia po ulicach i drogach! Do czarta! potężnie obawiać się musi, ponieważ rysopis jej rozesłano na wszystkie strony i pierwszy lepszy agent policyjny do ciupy wsadzić ją może, z kąd powtórnie zaprowadzą ją do więzienia, z którego na świat nie wyjrzy już więcej... Uspokój się! — dodał, uderzając Harmanta po ramieniu — rzecz składa się jaknajlepiej, wypijmy oto butelkę starego burgunda, zebranego z ojczystych naszych winnic... Od jutra przestanie cię już trwożyć widmo Joanny.

— Cóż więc zamysłasz uczynić?

— Ja... nic, ale ty coś zrobisz?

— Ja? — zawołał Garaud z niepokojem.

— Naturalnie! Napiszesz najpiękniejszym kolorowym atramentem list do prokuratora z powiadomieniem, że tak nazwana Joanna Fortier zbiegła z więzienia w Clermont, tuła się po Paryżu pod nazwiskiem Elizy Perrin i że znaleźć ją można w mieszkaniu jej córki Łucyi przy ulicy Bourbon pod dziewiątym numerem. Podpisem stwierdzać tego nie masz potrzeby.

— Nie! ja tego nie napiszę... napisać nie mogę!...—zawołał Jakób Garaud.

— Dlaczego?

— Ponieważ natychmiast oskarżonoby mnie o zaaresztowanie Joanny.

— Kto taki?

— Jerzy Darier. Chciałem ją u niego przytrzymać, sprowadzić policję, nie pozwolił mi tego uczynić, stanął w jej obronie.

— Ach! więc to ten dyabelski adwokat ją proteguje? Ciekawa musiała być scena, gdyś się z nią spotkał u niego, opowiedz-że mi to szczegółowo.

Harmant przedstawił w krótkości spotkanie swoje z Joanną, czego słuchając, Owidyusz drapał się w ucho zasepiony.

— Zważ więc sam—kończył milioner—iż niepodobna mi jej obecnie oskarżać; byłaby to wielka nieroztropność z mej strony. Jerzy Darier, posłyszawszy o przyaresztowaniu roznosicielki, o czem dzienniki natychmiastby opublikowały, odgadłby w jednej chwili, że ja sprawcą tego. I tak już znalazł dziwnem, kiedym ją u niego chciał przytrzymać. Podejrzienia zrodziłyby się w jego umyśle... nie! tego czynić niepodobna! Joanna mogłaby nawet wymknąć się z pod poszukiwań, przybiedz go prosić o schronienie i opiekę... Łucya mogłaby spotkać Lucyana Labroue, towarzysząc matce do adwokata... Co począć?—sam nie wiem... Widzę wokoło siebie zamieszanie... przeczuwam niebezpieczeństwo, a to przecucie mnie nie myli! Zdaje mi się, że wokoło i przeciw mnie tworzy się liga, groźniejsza z każdym dniem, z każdą godziną! Lucyan

Labroue wierzy w niewinność Joanny... wątpi o śmierci Jaróba Garaud... Jerzy Darier, siostrzeniec księdza, u którego Joanna przyaresztowaną została, podziela to zdanie. Malarz, Edmund Castel, równie takiegoż jest zapatrywania. Według nich wszystkich, Jakób Garaud istnieje... on żyje, a Joanna Fortier cierpi to, co on cierpieć powinien.

— Dlaczego jednak ci ludzie mieszają się w to, co do nich nie należy? — wyszeptał Soliveau;—jakaż prostacza nielyskrecya z ich strony!

— Jednej rzuconej iskry potrzeba wśród tych ciemności—mówił dalej Harmant—a przeszłość wybuchnie nakształt wulkan! Jedno nieroztropnie przez kogoś wymówione słowo, a zgubieni jesteśmy oba! I trzeba, aby to właśnie działo się w chwili, gdy Lucyan ma wejść w moją rodzinę, czem zmusiłbym go do milczenia, jeśli by nie chciał, aby część mojej hańby spadła na niego. Uleźz rozbiciu u portu... przy brzegu.. to straszne... to mnie pognębia, zabija!

I z gestem obłąkanego, przemysłowiec chwycił się za głowę obiema rękami.

— Rozpatrzmy tę sprawę z wolna, spokojnie...— wyrzekł Owidysz. — Dlaczego przed czasem trwożyć się urojonemi widmami? Położenie nie jest jeszcze tak rozpaczliwem, jak ty je sobie przedstawiasz. Katastrofy, jakie przewidujesz, wybuchnąć mogą... przyznaję... ale też i przeciwnie, rzecz cała inny obrót wziąć może. Joanna mówić będzie chciała, to pewna... Ale cóż powie? że jest niewinna?... Wciąż jedno bez poparcia i dowodów. Powtarzała to już po tysiąc razy aż do znudzenia, a mimo wszystko została zawyrokowaną na więzienie. Może cię poznać, jak twierdzisz... zgoda, ależ i ty masz język i możesz odpowiedzieć: „*Ta kobieta kłamie!... Jakób Garaud umarł oddawna. Ja jestem Pawłem Harmant, na poparcie czego legalne dowody złożyć mogę.*“

— Eh! — zawołał przemysłowiec, machnąwszy ręką— skoroś ty odkrył, że Paweł Harmant umarł w Genewie, dla- czegożby inni wysświetlić tego nie mogli?

Logiczna ta uwaga nie dopuszczała zaprzeczenia; Owidyusz zamilkł, pogrążony w dumanie.

XXIX.

— Powtarzam, że niebezpieczeństwo jest groźnem!— mó- wił dalej Garaud — i wzrastać będzie, dopóki Joanna Fortier przy życiu pozostanie.

— Chcesz więc, ażeby zginęła? — wyszeptał zcicha Soliveau, pochylając się ku towarzyszowi.

— Byłoby to dla mnie zbawieniem!

— Pomyśl nad tem dobrze... Rozważ, czyli ta jedna wię- cej zbrodnia nie spowodziłaby gorszych następstw dla ciebie nad oskarżenie Joanny? Jeżeli Jerzy Darier i Łucya wiedzą, że groziłeś roznosicielce, czy nie przyjdzie im na myśl, żeś ty jej zgon spowodził?

— Sądziłoby tak mogli w rzeczy samej po tem, co nastą- piło, gdyby tu miało miejsce morderstwo...

— A o cóż innego chodzi?

— O zręczne spowodzenie wypadkowej śmierci, w któ- rej traf grałby główną rolę.

— Traf... fatalność... łatwo to powiedzieć! — zawołał Owidyusz. — Sprawiedliwość jednak bywa dyabelnie podej- rzliwą... Nie ufając, szuka i szpera, aż zbrodnię ukrytą pod trafem przypadku, zawsze prawie na jaw wywlecze. Gra to piekielnie trudna i niebezpieczna!

— Zatem nie widzisz nic, czego by można próbować?

— Wacham się... Żaden wynalazczy pomysł nie przy- chodzi mi w tej chwili do głowy. Uczynić to, co żądasz, jest to wsiąść na pociąg pośpieszny, aby tem prędzej dojechać pod gilotynę.

— Jest to ryzyko... w rzeczy samej — rzekł Garaud — ależ za jakąbądź cenę usunąć trzeba grożącą nam a bliską może katastrofę. Pomyśl, że twój majątek związany jest z moim... moja ruina jest twoją ruiną. Pożegnaj się z dochodem i pensją, jeśli ja zginę!

— Milcz! nie lubię słuchać głupstw takich! — fuknął Soliveau. — Nędza obecnie byłaby dla mnie katuszą do niezniesienia! — Gdyby mi przyszło pracować na życie, umarłbym z głodu!

— Ryzykuj więc wszystko dla wszystkiego!... jesteś zdecydowanym?

— Zobaczę... dobrze to rozważyć potrzeba. Nie masz innych szczegółów do udzielenia mi o Joannie Fortier nad te, o których mówileś?

— Nie mam. Wiem, że jest roznosicielką chleba, że przybrała nazwisko Elizy Perrin, że odnalazła swą córkę. przy której mieszka bezwątpienia... więcej nad to nic nie wiem.

— Nie wiesz nazwiska piekarni, w której ona pracuje? Harmant potrząsnął głową przecząco.

— Zatem, ja sam sobie dopełnię potrzebne objaśnienia.

— Zastrzegam jednak, bez morderstwa, noża i rewolweru! — rzekł Garaud.

— Bądź spokojnym! Zabójstwo, w śliczną szatę przyodziane, o fałszywym, przyprawnym nosie, który mu nada pozór wypadku. No! tym razem jeszcze mam nadzieję, że się wydobędziemy. Porzuc więc tę minę nieboszczyka, a zabierz się do jedzenia i picia, jako istota żyjąca.

Harmant, aby okazać spokój odzyskany, napełnił szklankę burgundem i trącił się takową z Owidyuszem.

Chwila rozejścia się nadeszła.

— Jedność wytwarza siłę! — zawołał Soliveau — lecz pieniądze jest większą jeszcze siłą nad jedność. Masz pieniądze przy sobie kuzynie?

Harmant, dobywszy z kieszeni pugilares, wydołwał zeń paczkę biletów bankowych, jakie wręczył swojemu wspólni-

kowi, który przy ich odbiorze wychylił jednocześnie kieliszek Chartreus'a.

— Masz-że mi jeszcze co do powiedzenia?—zapytał.

— Nic nie mam.

— W takim razie nie potrzebujesz do mnie się trudzić, jak to miałeś zamiar uczynić. Jako naddatek do zaofiarowanej mi kwoty, biorę to pudełko cygar, gdyż są one doskonałe, a teraz odchodzę. Potrzebuję w samotności plan sobie ułożyć.

I łotr ten oddalił się, uściskawszy rękę swego przyjaciela.

Jak widzimy, Soliveau wcielił się całkowicie w idee Jakóba Garaud. Wierzył on w szczęśliwą gwiazdę tego ostatniego i mówił sobie, że im cięższym będzie łańcuch łączących z sobą ich zbrodni, tem bardziej stanie się on panem sytuacji, każąc sobie grubo płacić za oddane przysługi. Nikczemnik ten był człowiekiem głowy i czynu; miał upodobanie w czarnych skomplikowanych występkach, przywodzących mu na pamięć melodramata, jakimi rozkoszował się niegdyś w teatrze Ambigu i Gaité.

Wróciwszy do siebie, rozebrał się i położył na łóżku, nie dlatego jednak, by zasnąć, lecz aby uknuć plan nowej zbrodni.

— Bez morderstwa!—powtórzył—potwierdzam to zdanie; trudniej jest jednak przygotować wypadek, posiadający cechę prawdopodobieństwa, niż nóż zatopić w piersi. Tu trzeba szukać przychylnego zbiegu okoliczności. Mimo mej całej przebiegłości, w sprawie z Łucyą działałem nierozważnie... — mówił dalej—Amanda podejrzywać mnie może. Obecnie należy okazać więcej przezorności, a nadewszystko działać prędzej, ponieważ niebezpieczeństwo wybuchnąć może lada chwila. Przedewszystkiem potrzeba mi wytropić schronienie roznosicieli chleba. Jutro tedy od rana rozpocznę śledztwo w tym celu... Następnie zobaczymy, co czynić wypadnie... Skoro Joanna odnalazła swą córkę, na ulicę więc Bourbon udać mi się trzeba—mówił dalej—gdzie już przedtem niejednokrotnie krążyłem. Zmienić się jednak należy od stóp do głowy, aby mnie nie poznano; szczęściem, nie brak mi do tego kostyumów.

Wiemie Biedna Joanna
pod Sibiru

Z temi myślami zasnął i obudził się wcześniej nazajutrz. Równie ze dniem i wyskoczywszy z łóżka, zaczął przerzucać w kuferku, z którego wydobył stare, zużyte i połatane ubranie. Przywdziawszy owe lachmany, zarzucił na wierzch podartą bluzę, pomalował sobie czerwone plamy na policzkach, kąty ust i oczy popodkreślał ołówkiem, a nasunawszy czapkę na czoło, wziął worek płócienny, laskę, w gałkę której zagłębił gwóźdź ostry, by w razie potrzeby zmienić ją w haczyk, jakiego używają gałganiarze, i tak przebrany wyszedł, kierując się ku środkowej części Paryża.

— Roznosicielka chleba — pomyślał — musi rano wstać do pracy... trzeba się starać spotkać ją w drodze... Nie znam jej osobiście, ale mi jej ubiór ją wskaże.

Przybywszy na wyspę świętego Ludwika, zaczął końcem swego zaimprovizowanego haczyka, przewracać w kupie śmieci, bacznie spoglądając na ulicę Bourbon, w stronę kamienicy, pod dziewiątym numerem.

Matka Eliza pomimo ważnych zajęć w domu przy chorej, nie zaniedbywała swego obowiązku, wypełniając go ze ścisłością regularną. O wpół do szóstej rano szła do piekarni, by sprawdzić zamówienia z dnia poprzedniego, przygotować pułdła i kosze, a podczas gdy je napełniano pieczywem, udawała się tak z miejscowymi roznosicielkami, jako i z sąsiednich sklepów do *Gospody piekarzów*, gdzie jadały razem zwykle śniadanie. Przyciśniona bezustannymi troskami, Joanna rada była wyzwolić się z pod tego zwyczaju, nie podobna jej było jednak tego uczynić, z obawy narażenia się na niechęć ze strony jej towarzyszek pracy.

Ażeby przybyć na wpół do szóstej do piekarni Lebreta, musiała wychodzić z domu o piątej z rana, a wstawać o czwartej, chcąc przedtem uprzątnąć w mieszkaniu, ubrać się i przykasawszy swój fartuch płócienny, udać się w drogę.

Z uderzeniem piątej godziny, otwarły się drzwi domu pod dziewiątym numerem, a w nich ukazała się roznosicielka.

Owidyusz grzebał na tę chwilę w kupie śmieci, leżącej naprzeciw, po drugiej stronie ulicy i ażeby dokładniej odegrać rolę gałganiarza, wkładał w swój worek kawałki papieru i skrawki materji. Słyszając zamknięcie bramy, podniósł głowę i spojrział. Zaczęło się rozwidniać. Pośród rannego zmierzchu dojrzał charakterystyczny fartuch paryzkich roznosioelek chleba.

— To ona! — wyszepnął, — śledźmy ją niepostrzeżenie. Joanna zatopiona w rozmyślaniu, szła zwolna nie spiesząc się wcale. Owidyusz postępował za nią, od czasu do czasu zatrzymując się przy kupach gałganów. Roznosicielka nie przypuściła na chwilę, ażeby gałganiarz, którego widziała wychodząc, pochylonego po nad śmieciami, mógł być ją śledzić. Soliveau zwalniając kroku, nie tracił jej z oczu, co mu tem łatwiej przychodziło z przyczyny, iż o tak wczesnej godzinie ulice pustemi były zupełnie.

Niezadługo Joanna zatrzymała się przed piekarnią Lebreta, a jednocześnie Soliveau przystanął na rogu ulicy Delfinatu. Dwadzieścia kroków najwyżej dzieliło ich od siebie. Sklep był jeszcze zamknięty. Joanna za otwarciem bramy, weszła w ciemny kurytarz i zniknęła.

— Otóż... — wyrzekł Owidyusz — piekarnia, z której ona chleb bierze. Lecz czy ta roznosicielka jest rzeczywiście ową Joanną Fortier? Musi nią być, skoro wyszła z domu, gdzie Łucya zamieszkuje.

Tak rozmyślając, szedł ulicą Delfinatu, aż do sklepu Lebreta, zbierając po drodze papiery, z utkwionym bacznie spojrzeniem w bramę domu, w której zniknęła Joanna.

XXX.

Nagle drzwi sklepu otwarto; Joanna Fortier dopomagała służącej podnosić okiennice. Dwie roznosicielki jednocze I

śnie w progu się ukazały. Jedną z nich była dziewczyna dwudziestoletnia, drugą, kobietą w średnim wieku.

— Matko Perrin — wyrzekło dziewczę do Joanny — wstąpimy na śniadanie do *Gospody piekarzów*?

— Idźcie moje dzieci — odpowiedziała — ja wkrótce tam przybędę.

Owidyusz to dosłyszał.

— Matka Perrin... — powtórzył — a więc to ona... tak... ona. Chodzi do *Gospody piekarzów*. Trzeba zobaczyć gdzie się to znajduje; przydatnem mi to być może. I zamiast oczekiwać na Joannę, poszedł za dwiema kobietami.

Minawszy ulicę Guènegaud i ulicę Sekwany, zatrzymały się przed znanym nam już zakładem. Szybkim poruszeniem ręki Soliveau zdjął z siebie bluzę, schował ją do worka, a nawsunawszy czapkę na oczy, wszedł tamże za niemi.

Pierwsza główna sala, była zupełnie prawie opróżnioną, lecz w drugiej poruszał się i gwarzył cały tłum robotników piekarskich, roznosiciele i roznosicielki chleba. Niektórzy z tych mężczyzn mieli na sobie krótkie, płócienne spódnice, pasem w stanie ujęte; sięgające do kolan, twarze mieli zamączone, ręce do ramion zawałane ciastem przyschniętem.

Dwie posługujące dziewczęta biegały po sali, w głębi której znajdowała się kuchnia.

Część tego zgromadzenia piła, inna zajadała.

Właściciel siedział przy kontuarze, w pobliżu wejścia, przy którym drzwi prowadziły do gabinetu opatrzonego oszklonym okienkiem. Mała firaneczka zakrywała do połowy okienko z lufcikiem. Soliveau kazawszy sobie podać szklankę białego wina, pił je powoli. Joanna przybywszy, przesunęła się około niego, idąc do wielkiej sali.

Skoro się tylko ukazała, zewsząd zawrzały powitania.

— Dzień dobry, matko Elizo!.. Dzień dobry matko Perrin. Ścisłano jej ręce życzliwie.

Wdowa Fortier była przez wszystkich kochaną, przekonał się o tem Owidyusz, widząc w jaki sposób ją przyjmowano.

Zapłaciwszy za szklanę wina, zabrał swój worek i z haczykiem w rękę, udał się w stronę piekarni Lebreta. Sklepy i drzwi domów otwierać poczęto. Odźwierne i gospodynie, wynosiły na trotuary pudła i kosze, z których wysypane odpadki służba miejska wozami zabiera co rano.

Soliveau wybrał sobie doskonałe zajęcie, którem nie zwracał na siebie najmniejszej uwagi. Szedł od jednej skrzynki do drugiej, grzebiąc, przewracając w śmieciach haczykiem, a bacznie patrząc w stronę piekarni. Wreszcie ukazała się Joanna w towarzystwie dwóch roznosioelek. Póki kilku minutach, wszystkie trzy wyszły ze sklepu, pchając przed sobą olbrzymie kosze na kółkach, napełnione chlebem.

Matka Eliza rozpoczęła swój obchód od ulicy św. Andrzeja roznosząc chleb po domach kolejno, a tym sposobem opróżniając zwolna swój wózek. W dalszym ciągu przebywała dzielnice, łączące się z ulicą św. Andrzeja, poczem wyszła na plac św. Michała, przyległy mu plac Maubert, a wreszcie na wyspę św. Ludwika. O wpół do dziewiątej, ukończywszy swą czynność zatrzymała się naprzeciw swego mieszkania, gdzie jak wiemy, zarówno chleb dostarczała. Owidyusz nie stracił jej z oczu na chwilę, idąc gdy ona szła, zatrzymując się, gdy ona się zatrzymywała.

— Otóż; ostatnia jej stacya — rzekł, gdy przybyli na ulicę de Bourbon — teraz powróci zapewne tą samą drogą do piekarni zdać rachunek, poczem uda się do siebie. Roznosi zapewne również chleb i wieczorem, ale to mnie nie obchodzi. Trzeba wyciągnąć korzyść z tego co wiem i ułożyć plan na podstawie marszruty, jaką ona przebywa codziennie. W porze, o której z domu udaje się do piekarni, ulice są puste zupełnie... Sprzyja to wielce moim zamiarom. W owej chwili musi nastąpić wypadek, jaki ułożę. I zeszedłszy nad brzeg Sekwany ów nędznik, wysypał w nią z worka gałgany i papiery, uczyniwszy to, zwinął worek, wdział bluzę i szedł ku ulic de Bourbon. W oddaleniu ukazała się Joanna. Nie mając p

trzeby obecnie jej śledzić, zwrócił się w stronę Clichy, dążąc do swego mieszkania.

Pozostawiwszy go tam, połączmy się z Edmundem Castel, który w wilię dnia tego wyjechał na stację Liońskiej drogi żelaznej.

Przybywszy tam, zapytał, o której godzinie odchodzi pociąg do Dijon.

— O siódmej, minut piętnaście... — odpowiedziano — a przybywa na miejsce o północy.

— Inny pociąg wcześniej nie odchodzi?

— Nie, panie.

Artysta spojrzął na zegarek. Było wpół do piątej.

— Przejrzę drogowskaz — rzekł — przed wyjazdem.
W ostatnim razie zaczekam, wracać nie będę.

Oddawszy walizę posługaczowi, kazał sobie na stacyi podać obiad, wypił butelkę pięknego, białego wina Yorne, jakie tam tylko znaleźć można i o siódmej, minut piętnaście odjechał do Côte-d'Or.

Punkt o północy, stacyjny omnibus zawiózł go do hotelu pod *Czerwonym kapeluszem*, gdzie zasnął snem głębokim, aż do dziewiętej rano nazajutrz. Ubrawszy się starannie, oznajmił, iż wróci na śniadanie poczem o jedenastej udał się do biura prefektury.

— Proszę doręczyć mój bilet wizytowy panu prefektowi — rzekł do odźwiernego — i dodać, że przybywam z listem od sekretarza ministra spraw wewnętrznych.

— Zaprowadzę pana do sekretarza prefekta — rzekł odźwierny — ponieważ sam pan prefekt jest nieobecny, wyjechał.

— A kiedy powróci? — pytał z niezadowoleniem artysta.

— Nic nie wiem... sekretarz będzie mógł pana objaśnić w tym względzie.

Powiadomił się Edmund w rzeczy samej, iż prefekt powraca tegoż wieczora i że będzie mógł być przyjętym dopiero nazajutrz o dziesiątej rano.

Jakoż o oznaczonej godzinie udał się rzeźnik do niego z swym listem rekomendacyjnym.

— Mój przyjaciel, sekretarz ministra — rzekł prefekt po przeczytaniu listu — prosi mnie o udzielenie panu wszelkich objaśnień w interesie, jaki cię tu do nas sprowadza. Jestem na pańskie usługi... Racz, proszę powiedzieć, w czym użytecznym być mogę?

— Chciałbym otrzymać szczegóły co do pewnej osobistości, urodzonej w Dijon...

— Mężczyzny, czy kobiety?

— Mężczyzny.

— Nazwiskiem?

— Paweł Harmant.

— Nazwisko to jest mi nieznane; jeżeli wszakże posiadasz pan datę jego urodzenia, łatwo ci będzie pozyskać stosowne objaśnienia, zażądawszy takowych z akt stanu cywilnego tejżej osobistości, złożonych u prokuratora Rzeczypospolitej.

— To mi nie będzie wystarczającym... — rzekł Edmund — w każdym jednak razie, nie zaszkodzi przejrzeć te papiery.

— Racz pan mi podyktować datę i nazwisko.

Artysta otworzywszy swój portfel, napełniony wielką liczbą notat dobył z pomiędzy nich kartkę, dyktując:

— „Paweł Harmant, urodzony 21-go Kwietnia, 1832 roku w Dijon, syn Cezarego Harmant i Dezyderyi Klary Soliveau.“

— Jego zajęcie?

— Mechanik.

— Dobrze. Tu prefekt zadzwonił.

Woźny ukazał się w progu.

— Oddaj ten papier panu prokuratorowi, lub jego zastępcy — rzekł prefekt — i przynieś mi bezwzględnie odpowiedź.

Woźny wyszedł spełnić zlecenie.

— Mówiłeś pan, że potrzebujesz bliższych szczegółów nad zamieszczone w aktach stanu cywilnego tej osobistości — pytał urzędnik.

- Tak, panie.
- Poufnych, ścisłych objaśnień?
- Tak... właśnie.

— Otóż mam przy sobie pewną osobę, która ci takowych dostarczy. Jest nią stary urzędnik prefektury, człowiek siedemdziesięcioletni, obdarzony zdumiewającą pamięcią, którego trzymam na urzędowaniu, mimo późnych lat jego wieku. Wszystko, co zaszło w Dijon od lat pięćdziesięciu, wie i umie to na pamięć.

Tu prefekt, zadzwoniwszy powtórnie, kazał woźnemu przywołać pana Rouget'a.

XXXI.

Za chwilę stary urzędnik wszedł do gabinetu. Był to mały, suchy, mocno ruchliwy człowieczek, pomimo białych jak śnieg włosów. Żywe spojrzenie jego wyrażało inteligencję.

— Pan prefekt raczył mnie przywołać? — rzekł wchodząc z pokłonem.

— Tak, panie Rouget... pragnę byś mi udzielił niektórych objaśnień.

— Co do osoby... czy rzeczy?

— Względem pewnej osoby, urodzonej w Dijon.

— Jestem na pańskie rozkazy. O cóż chodzi?

— O niejakiego Pawła Harmant — odrzekł Edmund Castel.

Rouget przez kilka sekund zamyślił się szukając w pamięci.

— Paweł Harmant — odpowiedział po chwili — jeśli się nie mylę, urodzony w Dijon, 1832 roku...

— Doskonale!

— Jego matką była Soliveau... szwaczka, jak mi się zdaje...

— Toż samo.

— Ojciec i matka, zmarli wkrótce, jedno po drugim...
Matka na ostatku... jest temu lat około dwudziestu czterech.
Paweł Harmat był jedynym ich synem...

— Mieszkał w Dijon?

— Nie panie. Rodzice odkrywszy w nim niezwykle zdolności, oddali go do szkół w Châlons, które ukończył z patentem. Był to dzielny chłopak... prawdziwy Burgundczyk... lubił tylko nieco za wiele kobietki. Wyjechał on na obczyznę...

— Gdzie umarł... nieprawdaż?

— Niech Bóg uchwata.

— Cóż się więc z nim stało?

— Zebrał wielki majątek, zawiąawszy spółkę z pewnym bogatym przemysłowcem w New-Jorku. Dowiedziałem się o tem z dzienników, gdzie o nim wciąż piszą. Obecnie zamieszkuje w Paryżu, gdzie wybudował ogromną fabrykę. Ach! jest to człowiek, przynoszący zaszczyt rodzinnej swej ziemi. Przepowiadałem ja to jego ojcu,

— Czyś pan znał osobiście Pawła Harmant? — pytał artysta.

— Znałem go, gdy był młodym chłopcem. Obiecywał, iż wyrośnie zeń człowiek nie lada i tak się też stało.

— I jesteś pan pewnym, że ów Paweł Harmant zamieszkujący w Paryżu, jest tym, którego znalazłeś?

— Najpewniejszym panie... ponieważ on jeden był tylko noszącym owe nazwisko.

— Nie miał rodziny w Dijon, albo gdzieindziej?

— Miał tylko kuzyna, siostrzeńca swej matki, Soliveau.

Edmund Castel słuchał z uwagą,

— A ów kuzyn? — zapytał.

— Owidyusz Soliveau... to łotr panie skończony! Został on skazanym na trzy lata więzienia za kradzież z włamaniem, przed dwudziestu czterema laty, zesłano go na galery. Oto ca-

le pokrewieństwo Harmanta, smutne, jak pan widzisz. Czy panu mówiono, że Paweł Harmant umarł?

— Powiadomiono mnie o tem...

— Mylnie więc panu powiedziano.

Na te słowa urzędnika, wszedł woźny, odnosząc czysty papier niezapisany.

— Życzysz pan jeszcze jakich objaśnień? — zapytał Rouget Edmunda.

— Nie panie... wiem to, o czem się chciałem dowiedzieć. Szczerze dziękuję za objaśnienia.

— Czy one jednak pana zadowolnić zdołały?

— W zupełności! Cieszę się, że Harmant żyje... i tak panu, jako i panu prefektowi składam serdeczne dzięki, żegnając zarazem.

— Pan wkrótce odjeżdżasz?

— Pierwszym pociągiem.

— Do Paryża?

— Nie... do Joigny.

Po wzajemnem pożegnaniu, Edmund Castel wyszedł, odprowadzony przez prefekta aż do drzwi gabinetu.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości... — rzekł, idąc do hotelu — Paweł Harmant, nie jest Jakóbem Garaud, jakem to sądził... pomyliłem się srodze! Nie on więc zabił ojca Lucyana... Do skojarzenia tego małżeństwa wie dzie go zatem ojcowska miłość dla Maryi. Ale zkąd ta zaciekłość z jego strony, przeciw córce Joanny Fortier? Jakim sposobem zdołał otrzymać protokół, świadczący o oddaniu tej dziewczyny do przytułku? Jakiego w tym razie użył współnika? Być może tego Owidyusza Soliveau?

Po chwili głębokiej rozwagi, dodał artysta:

— Powinienbym czuć się teraz zupełnie już przekonany wobec tego, com słyszał, a mimo, żem wątpić nie powinien, rzecz dziwna... powątpiewam jeszcze. Szukajmy dalej... zobaczymy!...

I po śniadaniu, wsiadłszy na pociąg, stanął w Joigny o w pół do dziesiątej wieczorem.

Traf zaprowadził go do hotelu, w którym przed miesiącem przebywał Soliveau pod arystokratycznym nazwiskiem barona Arnolda de Reiss. Było zapóźno na rozpoczęcie poszukiwań, Edmund więc odłożył takowe na dzień następny.

Powróćmy do Owidyusza, którego po rannej jego przechadzce pozostawiliśmy w mieszkaniu. Ów lotr poszedł do restauracyi na śniadanie, z kądem z zapalonem cygarem udał się na ulicę Delfinatu, gdzie przechodząc, rzucił okiem na piekarnię Lebreta. Ztamtąd wolnym krokiem szedł na ulicę św. Andrzeja, przyglądając się uważnie szerokości trotuarów, rozpatrując w starych budynkach, słowem, czyniąc skrupulatny przegląd całej tej linii, przez którą zrana przechodziła Joanna.

Skutkiem pęknięcia rury kanału, ulica Git-le-Coeur została zastawioną dla przejeżdżających. Przekopano głęboki rów na całej jej długości, ziemia leżała kupami, odrzucona na prawo i lewo. Jedyne tylko chodniki były wolne. W niejkiej od siebie odległości tworzone mostki z desek, aby ułatwić przechodniom przedostawanie się z jednej strony ulicy na drugą. Taki stan rzeczy trwał już od dni sześciu w tem miejscu.

Idąc zrana za Joanną Fortier, Owidyusz zauważył, że posuwała się ze swym koszem na kółkach trotuarem po prawej stronie ulicy, ażeby po rozdaniu chleba dostać się na plac św. Michała. Szedł on obecnie chodnikiem, przeciwnym temu, którym szła rano Joanna, przypatrując się robotnikom, pracującym w przekopie ulicy.

Nagle przystanął, jakgdyby słuchając śpiewu malarza, który z dwoma towarzyszami na ruchomem rusztowaniu pobiegał front domu. Stali oni na wysokości drugiego piętra.

W całej kamienicy od góry do dołu mieszkania były opróżnionemi, jak to widać było przez okna otwarte na zewnątrz. Sklep tylko był zamieszkały przez kupca korzennego. Na widok ten oblicze Owidyusza zablysło zadowoleniem.

Czytelnicy niejednokrotnie widzieli zapewne owe rusztowania, z drabin złożone, utwierdzone na linach, służące do odnawiania domów. Robotnicy mogą się na nich poruszać, wchodzić i schodzić; jeden wszakże niezręczny ruch z ich strony wystarczy do strasznego upadku, z jakiego nie powstają już więcej.

Liny, podtrzymujące rusztowanie, przymocowanymi były do sztab żelaznych, przybitych do okien piątego piętra. Gdyby występna lub niezręczna ręka rozluźniła te węzły, spadłoby rusztowanie, miażdżąc wszystko wraz z sobą i pod sobą.

Śpiewający malarz posiadał głos czysty i piękny. Kilku przechodniów, tak jak Soliveau, zatrzymało się, słuchając. Dumni swem powodzeniem robotnik, wyrzucał tony z zapalem. Nagle przerwał ruladę i spojrzął na zegarek.

— Czwartą! — rzekł, kładąc pędzle. — Hej! bracia, to obiadowa pora, trzeba nam pójść coś przekąsić.

I wskoczył oknem w głąb opróżnionego mieszkania wraz z towarzyszami, z którymi za chwilę ukazał się w bramie domu.

Owidyusz widział ich biegnących na róg ulicy, gdzie weszli do składu win. Popatrzywszy jeszcze chwilę na ów odnawiający się dom, odszedł zadowolony.

Dnia tego późno wrócił do siebie, przyniósłszy pakiet, który starannie ukrył w walizie.

XXXII.

Nazajutrz równo ze dniem powstawszy, Soliveau przywdział swój kostium gałganiarza, śpiesząc na ulicę św. Andrzeja. Wkrótce ujrzał w oddaleniu matkę Elizę, pchającą swój kosz na kółkach napełniony chlebem. Spojrzął na zegarek, była szósta minut dziesięć. Wszedłszy na ulicę Git-le-Coeur, zaczął krążyć wokoło odnawiającego się domu. Joanna wkrótce tam przybyła i jak dnia poprzedzającego, szła chodnikiem po prawej stronie. W drodze zatrzymywała się przed

drzwiami wielu domów, aż wreszcie przeszła pod rusztowaniem równym, wolnym krokiem.

Zbrodniarz powtórnie spojrział na zegarek, wskazywał on szóstą minut trzydzieści.

— Doskonale się składa—szepnął;—malarze przychodzą do roboty o godzinie siódmej, zanim przybędą, wszystko ukończonem zostanie.

Nie czekając dłużej, ponieważ dowiedział się, o czym chciał wiedzieć, wrócił na ulicę Clichy, gdzie zmienił ubranie, a następnie wynajętym fiakrem pojechał na plac św. Michała do kawiarni na śniadanie. W samo południe przybył na ulicę Git-le-Coeur. Była to chwila, w której malarze udawali się na obiad.

Wiedząc, że ma godzinę wolnego czasu przed sobą, Soliveau przeszedł mostek z desek ułożony, dobył portfel z kieszeni, a wzięwszy w palce ołówek, stanął naprzeciw odnawianego domu i zapisywać zdawał się coś na kartach notatnika, od czasu do czasu spoglądając w górę, poczem wszedł śmiało wgląd tejsze kamienicy, zwracając się ku schodom.

Spostrzegłszy go, odzwierna wyszła ze stancyjki.

— Pan mylisz się — rzekła — nikt nie mieszka w tym domu.

— Wiem o tem—odparł Soliveau.

— Jeżeli wiesz, dlaczego chcesz wejść?

— Dla dozorowania robót.

— A! jesteś pan pomocnikiem budowniczego?

— Jestem mierniczym, chcę sprawdzić przestrzeń budynku.

W takim razie przepraszam... wybac pan...

— Nie gniewam się bynajmniej.

— Ale robotnicy obecnie wyszli na śniadanie.

— Umyślnie przyszedłem podczas ich nieobecności, aby swobodniej spełnić swą czynność.

Tu wszedł na schody, podczas gdy odzwierna wróciła do stancyjki. Przybywszy na piąte piętro, tam gdzie rusztowa-

nie głównie było umocowaniem, stanął przy oknie, rozpatrując się w szczegółach. Liny te, jak mówiliśmy, były przesunięte przez sztaby żelazne, wbite w mur pod oknami, służąc za oparcie temu, kto chciał oknem otwartym wyjrzeć na ulicę, i silnie były do tychże przywiązane. Trwałość ich nie ulegała zaprzeczeniu. Węzły jedynie, znajdujące się przy blokach, były nieco zalekko zadziergnięte. Rozpatrzywszy się w tem wszystkim, Owidyusz zaczął przeglądać pokoje.

W jednym z mieszkań na czwartym piętrze spostrzegł zamkniętą alkowę. Malowanie w niej było ukończonem, podłoga wymyta. Robotnicy pracowali obecnie na niższych piętrach i ponad klatką schodową.

Szczegóły te wywołały uśmiech zadowolenia na ustach niktaczemnika. Wyszedł, nie będąc przez nikogo widzianym.

— Przygotuję wszystko na jutro rano—rzekł, wracając na ulicę Clichy.

I wróciwszy do siebie, rozwiązał pakiet przyniesiony dnia poprzedniego, a dobywszy zeń ubiór malarza, przywdział takowy i około piątej godziny udał się na ulicę Git-le Coeur.

Przechodząc około wspomnianego domu, spojrzął na rusztowanie. Znajdowało się ono, jak pierwej, na wysokości drugiego piętra.

Zjadłszy obiad w pobliskiej restauracji, wrócił około siódmej wieczorem, śledząc godzinę odejścia malarzów. Punkt o siódmej opróżniło się rusztowanie, robotnicy wyszli z domu. Było ich sześciu; dnia poprzedniego Owidyusz zauważył też samą liczbę.

Przemknawszy się wpoprzek ulicy, wbiegł szybko po schodach na czwarte piętro, nie będąc widzianym przez odzwiernę. Drzwi od pokojów były zamknięte, lecz klucze tkwiły w zamkach. Soliveau wszedł wgląd alkowy, gdzie położywszy się na podłodze, szepnął:

— Otóż i nocleg!... piekielnie źle spać mi tu będzie... nie ma wszakże rady. Jutro ze świtem wszystko się ukończy.

*

*

*

Edmund Castel, jak mówiliśmy, umieścił się w tym samym hotelu, gdzie pseudo-baron de Reiss zamieszkiwał przed kilkoma tygodniami. Biuro merowstwa znajdowało się w pobliżu tego hotelu. Nazajutrz około jedenastej artysta udał się do mieszkania mera, a oddawszy woźnemu swój wizytowy bilet, zażądał osobistego posłuchania, które mu natychmiast udzielonem zostało.

— Wybacz pan, iż poważam się go zatrudniać, nie będąc osobiście znanym—rzekł wchodząc do mera. — Interes jednak niezmierniej wagi nakazuje mi się dowiedzieć, komu to mianowicie ów dowód został wydany z merostwa w Joigny?

Tu wyjąwszy z portfela protokół, świadczący o oddaniu Łucyi do przytułku, podał go merowi.

— Jakim sposobem pomieniony dokument znalazł się w pańskim ręku?—zawołał urzędnik, marszcząc brwi z niezadowolaniem.—Jest to dowód autentyczny, który nie powinien był wyjść nigdy po za próg merostwa.

— Nie powinien był wyjść? — powtórzył Edmund zdumiony.

— Tak, panie.

— Dlaczego?

— Przypuściwszy, że matka tego dziecięcia, lub która z osób interesowanych, przyszła zażądać owego dokumentu, powinna jej być wydana kopia, a nigdy oryginał. Ten dowód autentyczny winien był pozostać nienaruszonym w aktach archiwum. Powtórnie przeto zapytuję pana, jakim sposobem pomieniony dokument znalazł się w jego ręku?

— Sposobem bardzo prostym... Został mi udzielonym przez osobistość, której sprowadził wiele złego, a gdy użyto go dla spełnienia niegodziwości, chcę się dowiedzieć, kto go zażądał i komu on został wydany?

— Ów dowód, jak widzę z pańskiego opowiadania, został skradzionym z archiwum.

— Przez kogo?

— Będę się to starał wyświecić. Gdyby nawet, przypuścimy, wydano ów akt przez pomyłkę zamiast kopii, winno być na to odebraniem pokwitowanie. Raczej pan pójsz zemną. Natychmiast bez straty czasu przekonamy się, czy to nastąpiło przez oszustwo lub nieświadomość.

I mer wraz z Edmundem Castel udał się do swego biura, rozkazując tamże przywołać sekretarza.

— Proszę mi natychmiast wyszukać akta z roku 1862 zawierające protokoły mamek z naszego okręgu, oddających dzieci do przytułku—rzekł do wchodzącego urzędnika.

— Zajmę się tem bezzwłocznie — odparł sekretarz, zgadzając po brzmieniu głosu i gestach mówiącego, iż idzie tu o jakąś ważną sprawę.

— Pośpiesz pan, proszę, bo na to czekam.

Sekretarz szybko wybiegł. Nieobecność jego krótko trwała. Po kilku minutach ukazał się z paką ksiąg rejestrowych, z którymi widzieliśmy Raula Duchemin, wydającego do wód Owidyuszowi.

— Oto są, panie merze...—rzekł, kładąc rejestra. Księgi te zawierają lata od 1859 do 1866-go.

— Przeszukaj pan dwie księgi z roku 1862-go.

Sekretarz przerzucał karty drżącą ręką.

— Znalazłem...—wyrzekł po chwili.

— A gdzież protokół, który powinien tu być dołączonym?—zawołał mer, wskazując palcem kartę rejestru.

— Ja nie wiem nic, panie...—jąkał zmieszany urzędnik.

— Jakto? pan nie wiesz? — fuknął mer ze wzrastającym gniewem. — Proszę mi odpowiedzieć, czy należy do pana wiedzieć o tem, albo nie wiedzieć? Wszakże za wszystko, co się tu dzieje, pan jesteś odpowiedzialnym. Brak w aktach autentycznego dokumentu, a pan mi odpowiadasz, że nie wiesz, gdzie on się podział! Piękna zaiste odpowiedź! Otóż ja pana powiadomię, gdzie on jest—wołał mer, kładąc przed oczyma osłupiałego sekretarza arkusz papieru. — Zamiast wydać kopię, pan

oryginał wydałeś! Pokaż mi, proszę, pokwitowanie z odbioru tego dokumentu, bez tego albowiem nie mogłeś go wydać.

— Panie! pan ciężko obwiniasz wszystkich urzędników merostwa!—wołał sekretarz, błędniejąc.

— Mówię to, co jest, panie! Tak... w rzeczy samej, oskarżam... kogo?... nie wiem tego... lecz twierdzę, że już od roku żadnej kopii nikomu nie wydałem, a ostatnia, zeszłego lata podpisana przezemnie, nie była tą, którą pan widzisz.

— Pan więc sam masz tylko prawo wydawania kopij protokołów, gdy ktoś zażąda takowych? — pytał Edmund Castel.

— Tak, panie... Żądanie może być w biurze wniesionem, a następnie przedstawionem mi ono zostaje. Przywołaj pan następcę Raula Duchemin—rzekł mer do sekretarza. Jest on przyjętym do merostwa od dwóch tygodni. Być może, iż nie znając przepisów, popełnił to przez nieświadomość.

XXXIII.

— Ależ pomieniony dowód dawniej niż przed dwoma tygodniami został wydanym—rzekł Edmund Castel.

— Nie mógłżebyś mi pan ściśle czasu oznaczyć?

— Owszem... jest temu blisko miesiąc...

— Duchemin więc znajdował się tu naówczas—odparł sekretarz i z pewnością cała ta sprawa sięga owej chwili, gdy popłacił swe długi. Gubiono się w domysłach, zkąd on wzięł pieniądze?

— Obwiniasz go pan zatem?

— Podejrzynam, iż to uczynił. Wkrótce po spotkaniu się z jakimś nieznanym w hotelu, nagle się zbogacił, a służący hotelowy mówił mi, iż widział, jak ów nieznanomy dawał mu bilety bankowe.

— Ja również — odparł mer — sądzę go być zdolnym do podobnej nikczemności i dla tego to właśnie z biura go usunąłem. Czy nie wiesz pan jak się nazywał ów nieznajomy?

— W hotelu zapisał się jako baron de Reiss.

— Znasz pan owego barona de Reiss? — pytał mer Edmunda.

— Nie panie... nie znam go wcale.

— Poślij pan, panie sekretarzu woźnego, aby przywołał odźwierną.

Wzmiankowana kobieta, wkrótce się ukazała.

— Pani masz dobrą pamięć... pani Bizet — zapytał mer — przypomnij sobie, komu i kiedy dawałaś klucze od archiwum. Wszak zachowujesz je pani u siebie?

— Tak, panie merze.

— I wiesz pani zawsze, kto je bierze?

— Wiem panie.

— Przypomnij sobie zatem, czyli tutejszy urzędnik, pan Duchemin, nie brał ich od pani przed wyjazdem?

— Pamiętam doskonale! Brał je przed miesiącem.

— Na pewno?

— Przysiędź gotowam... pamiętam, jak gdyby to było wczoraj! Pewnego rana przybył do biura wcześniej niż zwykle, co mi się być dziwnem wydało, ponieważ zawsze się opóźniał; i zażądał odemnie natenczas kluczków od archiwum.

— Jakiż pozór dał temu żądaniu?

— Powiedział, że ma robić jakieś poszukiwania... porządkować papiery.

— Przez jak długi czas były te klucze u niego?

— Blisko przez pół godziny.

— Nie ulega wątpliwości — zawołał sekretarz — iż on popełnił tę kradzież! On wydarł arkusz z rejestrowej księgi! Ja będę tego dochodził!.. Na światło wyprowadzić to muszę!

— Możesz odejść pani Bizet... — rzekł mer do odźwiernej. — Odtąd polecam ci surowo, dawać jedynie klucze od ar-

chiwum panu sekretarzowi, prócz niego nikomu więcej... rozumiesz pani?

— Rozumiem... — rzekła, wychodząc odzwierna.

— Któż to był ów Duchemin? — pytał Edmund Castel.

— Pewien młody urzędnik, inteligentny, lecz człowiek słabego charakteru. Niektóre jego sprawy, nie pozwoliły mi trzymać go nadal w merostwie.

— Koniecznym byłoby, panie merze, wybadać go w tym względzie — odrzekł artysta. — Dowiedzielibyśmy się komu on wydał ów wykradzony dokument.

— Duchemin wyjechał już z Joigny — odparł sekretarz — udał się do Paryża, przed dwoma tygodniami, a w drodze spotkał go nieszczęśliwy wypadek.

— Cóż takiego?

— Pociąg, którym jechał, wykoleił się w Bois-le Roi, w pobliżu Mèlun... Czytałem jego nazwisko zamieszczone na liście ofiar wypadku, ogłoszone w dzienniku.

— Umarł więc?! — zawołał Edmund Castel.

— Pisali, że został ciężko ranionym... Być może, iż już nie żyje.

— Otóż pan widzisz... — rzekł mer, zwracając się ku artyście, iż mimo najszczerzej chęci, nie jestem w możności dostarczenia panu innych objaśnień ponad te, które podałem. Napiszę zaraz do prokuratora w Paryżu, aby odszukano niezwłocznie Duchemin'a, jeżeli żyje jeszcze... Czy nie mógłbyś pan mi powiedzieć, do czego posłużył ów wykradzony dokument — pytał dalej Edmunda.

— Do popełnienia nikczemnego czynu.

— Nie dziwię się temu. Wszystko mi teraz jasno staje przed oczyma. Pieniądze, jakimi Duchemin popłacił swe długi, były mu dane za kradzież. Wynajdą agenci policyjni owego barona de Reiss, będą się o to starał całą siłą, ażeby wyjść czystym z tej sprawy. Obecnie zatrzymuję ten dokument, a panu wydać rozkażę kopię, z moim własnoręcznym podpisem.

— Proszę o to — rzekł Castel.

— Racz pan wejść do mego gabinetu, kopia za chwilę będzie gotową.

Edmund poszedł za merem.

W pół godziny później, z owym dowodem w kieszeni wsiadł na pociąg odchodzący do Paryża, który się zatrzymywał w Bois-le-Roi. Przybywszy tam, udał się do naczelnika stacyi.

— Wybacz pan — rzekł do niego — iż prosić cię będę o małe objaśnienie.

— Jestem na pańskie usługi... o cóż chodzi?

— O jedną z osób ranionych, podczas wypadku na drodze żelaznej, jaki tu miał miejsce przed dwoma tygodniami.

— O ranioną kobietę?

— Nie... o młodego mężczyznę.

— Nazwiskiem?

— Duchemin.

— Pan Duchemin, został ciężko ranionym w rzeczy samej, ale obecnie jest zdrow zupełnie. Odebrał sumę pięć tysięcy franków, która została mu wypłaconą przez Towarzystwo dróg żelaznych, tytułem odszkodowania, sam mu oddałem do rąk te pieniądze.

— Czy przebywa jeszcze tu w Bois-le-Roi?

— Był przed trzema dniami, lecz pragnął jaknajrychlej odjechać do Paryża. Nie wiem czyli już wyjechał.

— Nie możnażby się o tem dowiedzieć?

— Owszem... udaj się pan do hotelu, w którym go leczono.

— Jak się nazywa ów hotel?

— Jest to oberża pod znakiem *Domku myśliwych*, o! tuż za stacją... bardzo ztąd blisko.

Edmund Castel, podziękowawszy naczelnikowi, udał się w miejsce wskazane. Oberża była opróżnioną zupełnie. Edmund znalazł w sali tylko służącą, która wybiegła naprzeciw niego. Była to znana nam Magdalena.

- Co pan sobie życzysz? — pytała.
- Szklanke kawy z mlekiem i parę objaśnień.
- Jestem na usługi.
- Proszę mi powiedzieć, czy tu mieszka pan Duchemin, raniony podczas wypadku na drodze żelaznej?
- Tak... mieszkał tu... panie.
- Zatem wyjechał? — zawołał artysta.
- Wyjechał wczoraj wieczorem.
- Gdzie?
- Do Paryża.
- Nie pozostawił czasem swego adresu?
- Nie, panie, lecz można będzie pozyskać takowy.
- Powróci więc tu?
- Tak... ma tu przyjechać w Niedzielę, z panną Amandą.
- Któż to jest ta panna Amanda?
- Młoda, bardzo piękna osoba, która dowiedziawszy się, że został ranionym, przychodziła go odwiedzać. Zdaje się, że ona jest *jego przyjaciółką*. Pan Duchemin to ładny chłopiec zarówno.
- Czy panienka wiesz adres tej pani?
- Nie, panie.
- A znałaś ją przedtem?
- Znałam od chwili, gdy zamieszkała tu u nas w willi Róż, należącej do właścicielki tego hotelu z pewnym panem w podeszłym wieku, który zdawał się być jej protektorem.
- Któż on był?
- Ha! panie... była to osobistość nie lada... baron... ni mniej ni więcej pan baron!..
- Baron? — powtórzył artysta.
- Tak... baron de Reiss.
- Na te słowa Edmund zadrżał pomimowolnie.
- Mówiłaś... baron de Reiss? — powtórzył, nie wierząc sam sobie.
- Tak, panie... człowiek z wielkiego świata.
- Znał on więc pana Duchemin'a?

— Nie... to nie sędzę...

— Dlaczego?

— Ponieważ panna Amanda czekała na wyjazd barona, ażeby się widzieć z Duchemin'em.

— Nie jest wam wiadomy wypadkiem adres owego barona?

— Nie, panie.

— Ależ musicie mieć tu meldunkową księgę, w której zapisujecie przybyłych.

— Mamy ją...

— Zatem ów baron de Reiss, musiał w niej swój adres zamieścić.

— Być może... nie wiem tego. Lecz otóż właścicielka, ona powiadomi pana lepiej w tym razie. Ja biegnę, ażeby kawę przygotować.

XXXIV.

Edmund Castel, powtórzył oberżystce wyż wymienione zapytania.

— Ta dziewczyna mylnie pana objaśniła — wyrzecze właścicielka hotelu. — Posiadam adres barona de Reiss; meldunkowych księzek jednakże nie udzielam moim podwładnym; mnie samej tylko wiadomemi są nazwiska przyjezdnych.

— Pojmuję to w zupełności — odrzekł artysta; — a pragnę zasięgnąć bliższych szczegółów względem barona de Reiss, ponieważ wiąże nas obu z sobą szczerą przyjaźń. Poznałem się z nim w Niemczech, w czasie podróży; baron odprawiając bezustanne wędrówki, w których ma zamiłowanie, nie posiada stałego miejsca zamieszkania. Służąca pani wypadkowo wymieniła mi jego nazwisko, gdyby więc znajdował się on obecnie w Paryżu, radbym niewymownie z nim się widzieć.

— Uczynię natychmiast zadość pańskiemu żądaniu — odparła właścicielka hotelu i dobywszy z szafy meldunkową księgę, przeglądać ją zaczęła.

— Baron de Reiss — wyrzekła po chwili — zamieszkuje w Paryżu, przy ulicy de Vintimille, numer 19.

Edmund podziękowawszy, zapisał sobie adres w konotniku. Po wypiciu kawy, podążył na pociąg drogi żelaznej. Śpieszył się z powrotem do Paryża, gdzie przybył o jedenastej z rana.

Nie tracąc chwili czasu, kazał się zawieść na ulicę Vintimille, by sprawdzić dokładność adresu, protektora panny Amandy, w jaki nie bardzo wierzył. Wiemy, iż miał zupełną słuszność w tym względzie. Baron de Reiss był zupełnie nieznanym w domu pod numerem 19, jak również pod 17 i 21, które artysta sprawdzał kolejno, aby przekonać się o ścisłości pozostawionego adresu.

Im bardziej Edmund objaśnić się w tem wszystkiem pragnął, tem w grubszą ciemność zapadał. Kto był ów człowiek noszący niewątpliwie fałszywe nazwisko, który popłacił w Joigny długi Duchemin'a i otaczał swoją protekcją kochankę tegoż? Jemu to, niewątpliwie teraz artysta, Duchemin wydał ukradziony dokument z archiwum merostwa. Wypływało ztąd, iż kupił ów dowód dla dostarczenia go Pawłowi Harmant; to nie ulegało zaprzeczeniu. Ale gdzie szukać klucza do dalszego rozwiązania owej zagadki? Trzy osoby jedynie udzielić by go mogły: Duchemin, panna Amanda i baron de Reiss, lecz wszystko troje, zniknęły z oczu obecnie. Duchemin miał wprawdzie spędzić nadchodzącą niedzielę w Bois-le Roi, tak o tem przynajmniej oznajmił w oberży, lecz czy przyjedzie?

— Piękne rezultaty otrzymałem z mojej wędrownki — szepnął Edmund Castel, wracając do siebie na ulicę Assas. — Ha! nie ufaj sobie nazbyt człowieku, bo nagle ciężki zawód spotkać cię może.

*

*

*

Przez cały ów czas stracony na daremnem poszukiwaniu i wyświeceniu prawdziwego mordercy Juliana Labroue, a tym sposobem zrehabilitowania Joanny, dwaj nikczemnicy, jak wiemy, przygotowywali zgon tej kobiecie.

Pozostawiliśmy Owidyusza Soliveau, wmykającego się ukradkiem w głąb domu przy ulicy Git-le-Coeur i zaczajonego w alkwie na czwartem piętrze, gdzie położywszy się na podłodze, noc spędzić postanowił, oczekując sposobnej chwili, do spełnienia swej zbrodni. Zbrodnia ta, potrzebowała pewnych przygotowań, jakie nie mogły być dokonane w ciemności, a przynajmniej bez światła latarni, roztropność zaś nie pozwałała złoźyńcy uciekać się do środka, który mógłby zdradzić obecność jego w pustym domu. Czekać więc do rana postanowił.

Świtać zaczynało o piątej godzinie. Skoro więc blade brzaski dziennny rozpraszać zaczął ciemności, Owidyusz wyszedłszy z alkwy, cicho na palcach, aby nie czynić hałasu, podszedł ku oknu i wyjrzał, rozpatrując się w naprzeciw stojącej kamienicy.

Wszystkie okna szczelnie zamknięte, zapuszczonemi były roletami, głębokie milczenie panowało w okolo.

Soliveau powiedział sobie, iż i on może zarówno spuścić przybitą do okna roletę, co też bezwłocznie uczynił. Tym sposobem mógł pracować wewnątrz pokoju, nie będąc przez nikogo dostrzeżonym, sam zaś mógł przez szpary z dwóch boków okna, wyglądać na ulicę dowolnie.

Liny, utrzymujące bloki rusztowania, były, jak to objawiliśmy powyżej, przywiązane do sztab żelaznych, tworzących dno okna i podparę. Nie można się było jednak spodziewać, aby rusztowanie uwolnione z tych haków, spadło odrazu; potrzeba było w takim razie rozwiązać węzły sznurów, poprzekanych jedno przez drugie i złączyć liny te razem. Wtedy to rusztowanie ze jednym cięciem upadłoby płasko na trokar. Koniecznem było więc oba sznury, utrzymujące rusztowanie z dwóch boków zadzierzgnąć w jeden węzeł łatwy do

rozcięcia, co sprawiłoby błyskawiczny upadek tegoż na ziemię. Owidyusz bezwzględnie zabrał się do tej roboty. Rozwiązał węzeł z prawej strony, przesunął go przez antabę żelazną okna z lewej i z drugiego boku uczynił to w przeciwnym kierunku na odwrót. Nie chcąc wszelako, by rusztowanie zmieniło pozycję w czasie tej czynności na zewnątrz, albo się za chwiało, zmuszonym był wyteńczyć całą siłę mięśni, by je utrzymać w równowadze. Pot strumieniem spływał mu z czoła. Dobywszy z kieszeni postronek od bicia bardzo mocno spleciony, związał nim dwie liny schodzące się w głównym punkcie od rogu ulicy św. Andrzeja, przesuwając jedną przez drugą z prawej strony na lewą i odwrotnie. Zrobił sześć takich zabezpieczeń, wiążąc je z sobą silnie.

Sznury, trzymając się mocno, nie mogły puścić w tym miejscu. Łotr na tę robotę spożytkował dość długi przeciąg czasu. Ukończywszy to, cofnął się, aby odetchnąć i spojrzął na zegarek. Była godzina szósta.

— Właśnie w tej chwili Joanna wychodzi z piekarni — wyszepnął; — pozostaje jeszcze dwadzieścia minut. Przez ten czas trzeba porozwiązywać inne węzły i w tenże sam sposób resztę urządzić.

Zabrał się do rozwiązywania węzłów na krzyż pozadzierzanych z prawej i lewej, dokonywając tego z nadzwyczajną ostrożnością, gdyby bowiem ciężar rusztowania przychylił się na jedną stronę, zawałiłoby się ono odrazu i wszyscy byliby straconem.

Pierwszą linę rozwiązał nareszcie, rusztowanie obniżył się z prawej strony, ale na kilka centymetrów zaledwie. Pyskoczył do drugiego węzła i rozplątał go, ściskając linę silnie w rękę, aby utrzymać równowagę, poczem przechodził kolejno do następnych węzłów.

Dokonawszy w ten sposób całej roboty i przygotowałszy wszystko tak, iżby za jednym cięciem noża zważyło się rusztowanie, wyjrzał na ulicę, by się przekonać, czy nie nadchodzi roznosicielka chleba. Nikogo jeszcze widać nie było. W pra-

wej i lewej gdzie niegdy otwierały się drzwi domów, chłopcy sklepowi podnosili okienice, ziewając.

Naraz Owidiusz spostrzegł odzwierną domu, w którym się znajdował. Z naczyniem od mleka w rękę przechodziła poprzek ulicę, aby się dostać na przeciwległy chodnik.

— Pośpiesz się, stara!...—szepnął z demonicznym uśmiechem—radzę ci w twym własnym interesie wracać jaknajprędzej... Za chwilę nastąpić tu może coś nieprzewidzianego...

Spojrzawszy powtórnie w stronę ulicy św. Andrzeja, drżał pomimowolnie.

W oddaleniu ukazała się Joanna, pchająca swój wózek, napełniony chlebem w stronę, gdzie śmierć niechybna ją oczekiwała.

— Otóż jest! — zawołał, wstrząsany nerwowem drżeniem.—Och! och! odwagi... odwagi! Cios tym razem chybić nie powinien!

I z oczyma, wlepionemi w roznosicielkę, śledził jej kroki. Joanna zbliżała się zwolna, zatrzymując się przed niektórymi domami dla dostarczenia tam chleba. Mijali ją przechodnie; byli to po większej części robotnicy, dążący do dziennej swej pracy.

— Do czarta!—pomyślał z przestraczem Soliveau—może się zdarzyć, że ktoś wraz z nią jednocześnie przechodzić będzie pod rusztowaniem. Ha! to zły los...—dodał z bezczelnym zrywaniem... Nie robi się omletu bez potłuczenia jaj!... Bądź co bądź, będzie to prosty wypadek... Przedsiębiorca robót za to odpowie... Wyplaci odszkodowanie za złe urządzenie rusztowania.

Joanna wciąż się zbliżała. Zaledwie dziesięć kroków miała ją od wspomnianego domu, gdy zatrzymawszy się, wesoło poszła do sklepu. Po kilku minutach znów się ukazała, pchając kosz na kółkach przed sobą.

Chłopiec piętnastoletni, prawdziwy ulicznik paryski, szedł przed nią, pogwizdując wesoło. Spostrzegłszy go, Owidiusz zmarszczył czoło z niezadowoleniem. Tak roznosicielka chleba, odpalaczka, Tom V.

chleba, jak i ów chłopiec, byli już o krok odległości od rusztowania.

Owidyusz wyciągnął rękę bez wachania i jednym rzeniem noża przeciął postronek, utrzymujący dwie liny.

Łoskot i huk przerażający dał się słyszeć nagle. Skrzyknęły liny pod ciężarem rusztowania, które zapadło się z głośnym skrzękiem, odrapując mury. Zewsząd dały się słyszeć odgłosy trwogi.

Soliveau jednym skokiem wybiegł na schody, przez które przeleciał na dół mgnieniem błyskawicy.



KONIEC TOMU V-go.



Odkwaszone

-- 10-2011

.....